



WŁOSY
STAJĄ DĘBA,
GDY SŁUCHAMY,
CO WYGADUJE
TRZASKOWSKI

JAK DZIAŁA
WATYKAN,
GDY PAPIEŻ
CHORUJE

EWA STANKIEWICZ
O PRAWDZIWYM CELU
NAJAZDU WŁADZY
NA JEJ DOM

SIECI

**PILNUJCIŁE WYBORÓW,
NAM JE UKRADLI!
OSTRZĘGA
POLAKÓW
RUMUŃSKI
POLITYK**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

12 (642) 2025
17-23 marca 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

KULISY SUKCESU TELEWIZJI

wPolsce/24

**GWIAZDY NAJSZYBCIEJ ROSNĄCEJ
NOWEJ STACJI TV SZCZERZE JAK NIGDY
MÓWIĄ NAM O TYM, KTO CHCE JĄ ZNISZCZYĆ,
A KTO UDZIELA WIELKIEGO WSPARCIA**



INDeksu 287393 ISSN 2544-2694

9 772544 269502

12

17-23 marca 2025



Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

**Pomagamy, troszczymy się,
jesteśmy blisko.**



Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy

FUNDACJA STEFCZYKA

Żeby było miło



Ile ja się muszę na temat Trumpa nasłuchać, naciерpieć, ile obelg zebrać. Że jestem naiwny, nie potrafię dostrzec, iż król nagi, tylko wciąż wierzę i wpatruję się jak urzeczony w tłuste cielsko. Na szczęście nie stanowią zaleczone intelektualnego prawicy, więc nie do mnie kieruje pretensje Piotr Skwieciński w swoim tekście „Prawica śpi i boi się obudzić” w „Dzienniku Gazeta Prawna”. Wspominam o tym artykule, bo w przejrzysty sposób udało mu się sformułować tezy, które całkowicie odrzucam. Otóż wedle niego polska prawica powinna porzucić swój bałwochwalczy stosunek do Trumpa i dostrzec, że nie wie, co czyni, że chodzi na pasku Putina i wszystko psuje. Zgadza się natomiast z ministrem Witoldem Waszczykowskiem, który na portalu wPolityce pisze, iż w Polsce trwa operacja zohydzenia Trumpa, mająca zmienić proamerykańskie postawy w polskim społeczeństwie, by rząd Tuska mógł w spokoju realizować to, co wymyśla Berlin, Paryż i Bruksela.

Jestem prostaczkiem i nie dostrzegam złożoności zjawisk, nie dokonuję analiz szóstego stopnia, więc świat jawi mi się takim, jaki jest, i oto widzę, jak barbarzyńca Trump wchodzi na salony, mówi: „Ale tu śmierdzi” i bezceremonialnie otwiera okna albo nawet wybija szybę, nie zwracając uwagi na to, że wokół towarzystwo płasza w tiulach i rajtukach. Jeszcze nie wiem, co zobaczę, gdy wychylę się przez okno, może nawet wypadnę, ale lubię smagnięcie wiatrem po pysku, ziąb i tłuczenie donic, które pospadały od przeciągu. Wyfiokowane jaśnie państwo kuli się po kątach z zimna i piszczy, a cham, który nie rozumie globalnej polityki, odgraża się, że jeszcze odkręci szlauch i tak będzie zmywał parkiety sali balowej.

A tak było ciepło i miło. Pleśń i zgnilizna parowały, słodki smród się unosił, aż przyszedł nowy dozorca i zaprowadza nowe porządki. Jakie one będą, dopiero się przekonamy, ale te stare, utrzymywane według tych samych, zawsze załganych reguł, były nie do zniesienia. To „waszyngtońskie bagno” – „washington swamp” i unijne ze swymi wyziewami zatrulo świat, a nie Trump arogancją i brutalnością. To nie on kładł Nord Stream. To nie on budował Putinowi instalacje do skraplania gazu, tylko Francuzi. To nie on mimo embargo

sprzedawał mu broń, tylko Paryż i Berlin. To nie on jak Biden zdejmował sankcje, tylko je nakładał. To on słał napadniętej Ukrainie broń, a nie koce, jak Biden z Obamą. To nie on uzależniał Unię od rosyjskich paliw, tylko Berlin i Bruksela. To nie on teraz kupuje ruski gaz, ropę i sący nędzną pomoc Ukrainie, byle jakoś trwała. To nie kumple Trumpa pracują dla ruskiego reżimu, tylko stada byłych europejskich ministrów i premierów.

W Europie wszystko jest drogie, tylko słowa są tanie, więc obieca się wszystko. Ale gdy ktoś zakrzyknie „Show me the money!” – „Pokaż mi pieniądze!”, iluzja pryska. Japonia pomaga Ukrainie bardziej niż Francja. Dwie trzecie wsparcia, którym chwala się Niemcy, to pomoc ukraińskim uchodźcom w Niemczech – np. na przyuczanie do zawodu rzeźnika, by mogli robić w ubojni. Ludzi trzeba na roboty. Europa jest przerażona, że Ameryką ją porzuci. Przecież od kilkudziesięciu lat Paryżowi i Berlinowi chodzi o to, by ją wypchnąć ze Starego Kontynentu. To pierwsza rzecz, jaką obiecał przyszły kanclerz Niemiec Merz.

Gdy wycisnąć jazgot, który się rozlega, to się okaże, że zostają pretensje o to, że Trump jest niemiły. Co się pogorszyło w sytuacji Ukrainy, odkąd został prezydentem? Co dobrego stałoby się dla światowego ładu, gdyby Biden zaczynał swą drugą, a w rzeczywistości Obama czwartą kadencję? Halo, słucham. Gdzie są te wszystkie wcześniejsze pomysły, które miałyby prowadzić do jakiegoś pokoju? Pokażcie je. Że niby Trump opowiada o resecie z Rosją. Ci przenikliwi analitycy nie mają pojęcia, czy to pozycja negocjacyjna, fałszywe tropy, mamienie, czy prawdziwe intencje. Piszcza tylko na jeden głos w jednym chórze.

Nie wiemy, co chce zrobić Trump, ale załuguje na szansę. Wszyscy inni swoje już załupaścili, przez lata dając pokazy głupoty i bezradności. Znamy stare pomysły postępowej i oświeconej Europy: dużo kłamać, saczyć pomoc, bo jak trwa wojna, to Rosją jest na musiku i taniej sprzedaje surowce. A im bardziej Ukraina jest zniszczona, tym łatwiej ją będzie skolonizować i kontrakty na odbudowę będą większe. Łatwiej też ściągać daninę od poddanych i zagarniać władzę w imię bezpieczeństwa. Żaden kryzys, żadna wojna nie mogą się zmarnować.

Dariusz Matuszak



34

Polska bomba
Marek Budzisz



44

Życie jak w Madrycie
Konrad Kołodziejcki



53

Gorączka w Watykanie
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

- 5 UNIA PRZECIW EUROPIE**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 PO CO NAM SZKOŁA?**
Dorota Łosiewicz
- 9 PLAN RATUNKOWY DLA
MOTORYZACJI? RACZEJ PLASTER
NA ZŁAMANY KRĘGOSŁUP**
Daniel Obajtek
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 WIĘCEJ KOMISJI!**
Jan Pietrzak
- 12 OKRĄGŁY STÓŁ BRUKSELSKICH
ANTYDEMOKRATÓW**
Arkadiusz Mularczyk
- 13 FORMUŁA LORDA ISMAYA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA MACIEJA SIKORSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 Z CZEGO JESZCZE NAS OSZWABIA
UŚMIECHNIĘCI OBYWATELE?**
Samuel Pereira
- 17 EUROPA CZY AFRYKA?**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 18 KULISY SUKCESU WPOLSC24**
Rozmowa Doroty Łosiewicz

KRAJ

- 24 PAN BANAŁÓW**
Marek Pyza
- 28 Z GEORGE'EM SIMIONEM**
rozmawia Michał Karnowski
- 32 RUMUŃSKA LEKCJA DLA POLSKI**
Dariusz Matuszak
- 34 POLSKA BOMBA. CZY I W JAKI
SPOSÓB MOŻEMY STAĆ SIĘ
PAŃSTWEM NUKLEARNYM**
Marek Budzisz
- 37 DOBROWOLNIE W KAMASZE**
Andrzej Skwarczyński
- 40 JAK NAWROCKI ZNOKAUTOWAŁ
„NIKOSIA”**
Wojciech Bieroń
- 42 POMPOWANIE MENTZENA**
Stanisław Janecki

44 ŻYCIE JAK W MADRYCIE

Konrad Kołodziejcki

47 BEZPRAWIE SZERZONE SIŁĄ

Z Ewą Stankiewicz rozmawia

Piotr Gursztyn

ŚWIAT

50 LEKCJA 10 DNI KRYZYSU

Jan Rokita

53 GORĄCZKA W WATYKANIE

Grzegorz Górny

HISTORIA

56 PATRIOCI W KAJDANACH

Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

59 ORŁY I DZIEWCZYNA

Jolanta Gajda-Zadworna

61 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

62 POLSKI ETOS I TELOS

Maciej Walaszczyk

64 NASZEGO QUISLINGA
TRZYMAJMY W PIWNICY

Robert Tekieli

66 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY

Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: MICHAŁ KONDRAT

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

73 OSZUŚCI Z NORWEGII. TYLKO ONI?

Ryszard Czarnecki

74 BŁOGOSŁAWIONA NUDA

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

BRONISŁAW WILDSTEIN

Unia przeciw Europie

W wydarzenia, które najbardziej mogłyby uzasadniać istnienie UE, najmocniej dowodzą czegoś wręcz odwrotnego. Tak było z pandemią COVID-19, tak jest obecnie z rosyjską agresją na Ukrainę.

Unia lepiej powinna radzić sobie z zarazą niż państwo narodowe. Produkcja, zakup i dystrybucja leków oraz szczepionek wydają się bardziej efektywne na ponadpaństwową skalę, tak jak i zatwierdzanie międzynarodowych rozwiązań w obliczu wirusa, który nie przejmując się granicami. Biurokracja unijna nie poradziła jednak sobie z tymi zadaniami, a pod szyldem wspólnego dobra sprzedawany był interes kontynentalnych potęg.

Niemcy i Francja robiły wszystko, aby zdezwuować produkowaną w Wielkiej Brytanii astrazenecę i wypromować swoje preparaty. A kiedy strategia wspólnych zakupów została wynegocjowana i ogłoszona jako bezwzględnie obowiązująca dla całej Unii, okazało się, że Berlin na boku nabywa ogromne ilości szczepionki. Bruksela ogłosiła zatem, że to, co do tego momentu było europejskim prawem, jest ledwie zaleceniem, które nikogo, a zwłaszcza najsilniejszych, nie wiąże.

UE nabyła zdecydowanie za dużo szczepionek, z których znaczna część musiała zostać zniszczona. Europejski Trybunał Rozrachunkowy, który domagał się dokumentów w sprawie, po raz pierwszy w historii ich nie otrzymał. Ostatnią porcję zakupów za 35 mld euro, już w momencie zamierania pandemii, z szefem Pfizera wynegocjowała indywidualnie i bez żadnych uprawnień przewodnicząca UE Ursula von der Leyen. Cena została zawyżona i wprowadzony został obowiązek nabycia szczepionek przez poszczególne kraje. Pomimo wezwań (niektórych) dziennikarzy porozumienia między Pfizerem a KE nie ujawniono. W listopadzie ub.r. TSUE uznał, że Komisja powinna pokazać e-maile między kontrahentami, ale... nie zostały one odnalezione.

Von der Leyen nie tłumaczyła się, a sprawa nie wpłynęła na jej kolejną nominację na szefa KE. I to tłumaczy, dlaczego działania na szczeblu państw narodowych, w których politycy muszą jakoś odpowiadać przed obywatelami, są zdecydowanie bardziej efektywne.

Reset, który Donald Trump ogłosił z Rosją kosztem Ukrainy, wywołał retoryczne wzmożenie w Europie. Jej przywódcy ogłosili autonomię militarną kontynentu i stworzenie jego armii. Jak będzie wyglądała, kto będzie ją ekwipował, w jaki sposób będzie organizowana oraz dowodzona – nie wiemy, a więc nie wiemy nic poza tym, że przy niezwykle optymistycznych założeniach uda się ją powołać za 10 lat. A Putin niszczy Ukrainę dziś.

Jeśli traktowalibyśmy poważnie deklaracje europejskich liderów, to należałoby zasoby i energię skierować na pomoc

Ukrainie. Państwa UE stać na jej wyekwipowanie, tak aby sama mogła się obronić. Niestety przekazywane dotąd środki są żalosem i nic nie wskazuje, aby miało się to zmienić. Program uzupełnienia ukraińskiej amunicji utkwił w kolejnych komisjach, które dbają chyba wyłącznie o to, aby wszystko przebiegało zgodnie z procedurami. W tej kwestii przewodnicząca KE nie wykorzystuje swojej szczególnej pozycji.

Ponad trzy lata od ataku Moskwy na Kijów potęgi UE poza deklaracjami nie zrobiły nic, aby zwiększyć swoją sprawność obronną. A byłoby to proste w przeciwieństwie do budowy „europejskiej armii”.

Wszystko wskazuje więc, że projekt samodzielności militarnej Europy nie ma na celu obrony przed Rosją, ale oderwanie się od USA i przebudowę Unii w neoimperium, czemu służyć miałyby gigantyczne pożyczki, które zaciągniemy na poczet wspólnych sił zbrojnych. Stanu obronności UE w dostępnej nam perspektywie czasowej nie poprawią, ale potrzeba ich spłaty podporządkuje jeszcze bardziej kraje Europy władzy centralnej, którą stanowi układ Berlina, Paryża i brukselskiej biurokracji. Francja i Niemcy, a tym bardziej urzędnicy w Brukseli, nie czują się zagrożeni przez Rosję, a na bezpieczeństwie „nowej Europy”, do której jesteśmy zaliczeni, specjalnie im nie zależy.

Ekipa rządząca w Polsce i sekundujący jej publicyści lubią mówić o Unii w pierwszej osobie liczby mnogiej. Mogłoby to śmieszyć, gdyby nie chodziło o nasze przetrwanie. Liderzy Unii z uśmiechem poklepią naszych Europejczyków po plecach i przekażą dyspozycje do wykonania. Np. w sprawie Clean Industrial Deal, nowego aktu walki z CO₂.

Wydawałoby się, że konsekwencje zielonego szaleństwa dla Europy ujawniły się już w pełni. Gospodarka kontynentu, a wraz z nią jej możliwości obronne załamują się, a przemysł przenosi do krajów takich jak Chiny czy Indie, które z radością zastępują Europę, zwiększając globalną emisję CO₂. Za to rosną zyski niewielkiego, ale niezwykle bogatego lobby producentów zielonych technologii. Dotknięta tym w sposób wyjątkowy Polska nie ma w tej kwestii (jak i w innych) nic do gadania. W ramach rekompensaty może podłączona zostanie do nowego gazociągu z Rosji, który otwarty zostanie po porozumieniu się Unii z Moskwą. Będziemy wtedy mogli zaoszczędzić na uzbrojeniu. 



Sygnalista nadaaje

 **Donald Trump** to straszny oszust. Dogadał się z Zełenskim i znów posyła Ukrainie broń. A nawet dane wywiadowcze. Wygląda na to, że Zełenski to też oszust, a pewnie nawet i onuca. Cała ta jego kłótnia w Białym Domu to ustawka dla mediów. A tak mu kibicowaliśmy, gdy dogadywał Trumpowi. Setki naszych wpisów internetowych, w których ostro jechaliśmy po tej ruskiej onucy Trumpie, po prostu się zmarnowały. To samo się stało z gorącymi komentarzami naszych ośmiogwiazdkowych dziennikarzy. Dziwne, że Trump to wszystko wytrzymał i nie podał się do dymisji, bo przecież były też apele naszych największych autorytetów moralnych z legendarnym noblistą na czele. Wielka szkoda, bo mamy jeszcze przygotowane sporo memów z karykaturami Trumpa jako sługusa Putina (część już do obejrzenia pod hasztagiem „Silni Razem” i kontach internetowych pana mecenasa oraz jego najbliższych współpracowników). Na razie ich nie wyrzucamy. Przydadzą się na później, bo pewnie niedługo premier Tusk znowu zarządzi, aby dojechać Trumpa w internetach.

 Ciekawy artykuł przeczytaliśmy w naszej ukochanej „Gazecie Wyborczej”. Redaktor Wielowiejska napisała, że Trump kopnął w tyłek PiS, bo woli się dogadać z premierem Tuskiem (to normalne, że każdy woli dogadywać się z naszym premierem). „Prezydent USA nie lubi Tuska, ale liczą się interesy” – bardzo mądrze napisała ceniona przez nas osoba redaktorska. Dodała też, że **Radek Sikorski** ma znakomite relacje z niejakim Markiem Rubio. To było dwa dni przed epickim bojem,

który nasz Radek stoczył o starlinki z Elonem Muskem i Rubio. Nie tracimy jednak wiary w doniesienia redakторыni Wielowiejskiej, bo poza tym uważamy, że Radek fajnie wdeptał w ziemię całą Amerykę. To w ogóle jest gość. Siedzi sobie w Chobielinie, pije jedną szklanczkę whisky, potem następną, potem jeszcze jedną. I kolejną, bo wtedy najlepiej pisze się ostre jak brzytwa wpisy w internecie. Dla nas Radek to wzór. Murem za Radkiem! My też tak robimy, choć nie mamy palacu ani whisky. Ale wystarczy nam zgrzewka piwa z promki i też piszemy. Na Kaczora, na pisiórow, na Dudę, trochę też na Mentzena. Osiem gwiazdek i te rzeczy. Fajnie wychodzi, bo raz dostaliśmy nawet lajka od samego mecenasa Giertycha.

 Przyzwoicie zachował się marszałek Hołownia. Może mu nie idzie w sondażach, ale za to fajnie gada. Dobra TVN-owska szkoła. Po tym, jak Musk i Rubio byli niegrzeczni dla naszego ministra Sikorskiego, Szymek zapowiedział, że wdepta ich w ziemię. Tak jak zapowiedział to Putinowi, Mentzenowi, teraz Braunowi, Jakubiakowi, Zandbergowi i Tanajnie. Tym wszystkim (oprócz Putina) za to, że zachowują się nieprzyzwoicie w kampanii prezydenckiej i beczelnie wyprzedzają go w sondażach. Jest za to łaskawy dla Magdaleny Bieja, bo ona go nie wyprzedziła, nawet uprzejmie ustąpiła miejsce i dała się wyprzedzić pod względem sondaży temu gościowi z brodą, który myśli o sobie, że jest Karolem Marksem. Mowa oczywiście o Zandbergu. Nigdy nam się nie podobał, a teraz jeszcze bardziej nas wkurza, bo gada, jakby był pisiorem. A to już kolejny lewak, który idzie tą

drogą. Wystarczy, że kompletnie spisieli Jan Śpiewak i Rafał Woś. Wszyscy powariowali przez te prawa pracownicze, równe szanse, wrażliwość społeczną i inne takie bzdury.

Szymek Hołownia dużo mówiło o tym, że Tenkraj (chyba chodziło mu o Polskę) jest dumnym Tenkrajem, więc ani Musk, ani Rubio nie mogą go poniżyć. To akurat jasne, jeśli chodzi o tych dwóch typów, bo oni nie są ani z Brukseli, ani z Berlina, więc stracili okazję, aby siedzieć cicho. Ale o co chodzi z tą dumą? Do tej pory jak wyjeżdżaliśmy za granicę, to udawaliśmy, że nie rozumiemy po polsku i rozmawialiśmy tylko w języku language. Wiemy, że zmieniła się narracja, że teraz nie nosimy flagi unijnej, tylko tę miejscową (na Malcie mają podobną), ale żeby aż tak? Słyszeliśmy kiedyś, jak sąsiad prawak puszczał piosenkę „Biały honor, biała дума”. Skoro jest potrzeba, żeby dojechać kaczystów-trumpistów, to i takie piosenki możemy teraz śpiewać. Całe Jagodno będzie nas słyszało.

Znacie gościa o nazwisku Gawkowski? Naprawdę istnieje, jest nawet wicepremierem i ministrem cyfryzacji. To nie żart, ma nawet własne hasło na Wikipedii. Ale do rzeczy. Ten nikomu nieznan facet, z twarzy podobny do nikogo, dołączył do naszego frontu „Yankee go home”. Po wnikliwym zebraniu informacji na jego temat (a nie było łatwo, bo nikt o nim nie słyszał) rysuje się całkiem ciekawy obraz: otóż Krzysztof (ponoć tak ma na imię) jest wielkim przeciwnikiem internetów i głosi hasło ich zamknięcia. A teraz wyszedł z ciekawym pomysłem, aby na te amerykańskie internety nałożyć srogi podatek. I co, panie Musk? Szach-mat, mały człowieku!

Kolejna dobra wiadomość: premier Tusk ogłosił powstanie nowej, inkluzywnej, prawdziwie europejskiej armii. Nie jakiejś tam prawacko-kaczyńskiej. Zaraz chyba to będzie modne, aby zgłosić się na przeszkolenie. Ciekawe, jakie ciuchy dadzą? Te od Bossa były fajne. I jaki będzie wybór potraw wege? Pan premier przedstawił zarąbiastą ofertę szkoleń: jednodniowe dla ludzi normalnych, czyli tych, co nie chcą zarywać całego weekendu. Trzydniowe – dla jakichś ekscentryków, którzy mają za dużo wolnego czasu. No i miesięczne. Ale to dla jakiejś prawackiej biomasy ze wschodniej Polski. To widzimy się na tych jednodniowych. Oj, będzie się działo, kręciola i siema! No i kupa serducha!

I znów good news: wielki powrót **Sławka Nowaka**. Nareszcie, bo brakowało go w polskiej polityce. Wraz z nim wrócą wysokie standardy etyczne i unikalne kompetencje. Na co dzień Sław

wek, po tym jak go niszczone pod zarzutem korupcji, zajął się malarstwem. A teraz zajmie się sprawiedliwością, bo przecież on na tym się zna. „Ale spokojnie, jeszcze zdążycie poznać Pana Sławka. Pora na moją sprawiedliwość! Bądźcie pewni, że wam nie odpuszczę – miękiSZONY” – napisał oznajmiając swój powrót. Uśmiechnięta Polska na to czekała. Ziobrowska bezpieka już nie ściga kryształowo czystego człowieka, jakim jest marszałek Senatu Tomasz Grodzki. Wrócili już Stanisław Gawłowski i Włodzimierz Karpiński. Czas jeszcze na Sławomira Neumanna i Mirosława Drzewieckiego. Wtedy będzie wreszcie normalna i praworządna Polska.

Unieważnić Nawrockiego! Dożywotnio! Kampania prezydencka robi się męcząca, Rafał ma już dosyć, o czym mówi wyraźnie i często. Więc po co męczyć człowieka? Dał nam przykład Bukareszt, jak zwyciężać mamy! Zabronili startować niejakiemu Georgescu, który ponoć jest onucą, a na pewno wkurzył prawdziwych demokratów tym, że miał już prawie 50 proc. poparcia. Zrobimy tak u nas. Potem tylko uchwała Sejmu, tweet pana premiera i po wszystkim. Zgodnie z hasłem: „Nasz premier, nasz prezydent”. Do tego delegalizacja PiS, a jak trzeba, to i Konfederacji. Z Mentzenem można podobnie. Jego unieważni Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Wszyscy przecież wdzieli, jak się opijał browarem.

Mecenas Roman wezwał, aby porzucić Nawrockiego, bo on się nie podniesie, i zająć się kimś innym: „Nasza kampania musi przestawić się na walkę z Mentzenem”. Ciekawa sprawa, bo wygląda, że Roman uwierzył w dwa sondaże, według których Sławek prześcignął Karola. Stary koń, a taki naiwny. Nawet Sławek nie wierzy w te sondaże, mówi na lewo i prawo, że ktoś go wrabia. Bo po pierwsze, chce pokłócić z pisiorami. A po drugie, gdy w rzeczywistości dostanie mniej głosów niż w tych fejkowych sondażach, to rzucą się na niego wszyscy ci, których teraz on wycina w Konfederacji. I w odwecie wytną jego.

Rafał „Bonjour” Trzaskowski wezwał polskich naukowców pracujących w innych krajach, aby wrócili do Polski. Kapitalny pomysł, choć ma jedną wadę. Apel byłby skuteczniejszy, gdyby obok Rafała stanął były minister nauki Darek Wieczorek. On zadziałałby jak magnes na tulających się na obczyźnie polskich mędrców. Gdyby Darek z Rafałem jasno powiedzieli, że czeka na nich Sieć Badawcza Łukasiewicz, to przecież wszyscy by im uwierzyli.



WIEŻA BAB

Pomysły resortu edukacji na zmiany w polskiej szkole nie mają niestety końca. Po ograniczeniu lektur, wprowadzeniu rozporządzenia o nieobowiązkowych i nieocenianych pracach domowych, decyzji o niewliczaniu do średniej oceny z religii, zapowiedzi wprowadzenia (na razie nieobowiązkowej) edukacji zdrowotnej z komponentem edukacji seksualnej czy planie likwidacji wychowania do życia w rodzinie, MEN rozważa likwidację ocen.

Posel Piotr Górnikiwicz z Trzeciej Drogi zapytał MEN w interpelacji o plany dotyczące oceniania. „Obecnie trwają prace nad całościową zmianą podejścia do oceniania uczniów w ramach przygotowywanej reformy systemu edukacji” – napisała w odpowiedzi na interpelację Katarzyna Lubnauer, wiceminister edukacji.

Szczegóły reformy na razie nie są znane. Nie można jednak wykluczyć, że dojdzie do całkowitej zmiany obecnego systemu, a resort zdecyduje się na wprowadzenie oceny opisowej zamiast stopni. Zmiany są tym bardziej prawdopodobne, że już nieco ponad rok temu wspominała o nich Dorota Łoboda, posłanka Koalicji Obywatelskiej i prezes fundacji Rodzice Mają Głos. W rozmowie z portalem Prawo.pl powiedziała: „Zarówno jako ekspertka edukacji, jak i jako matka uważam, że nadmierną wagę przywiązujemy do ocen w naszym systemie edukacji. Zbyt często stają się one celem samym w sobie, więc zmiany dotyczące zniesienia ocen z plastyki, muzyki czy wf można rozważyć. Myślę jednak, że wszystko to powinno być elementem ogólnej, ewolucyjnej zmiany w sposobie myślenia i oceniania. Należy przemyśleć choćby to, czy likwidujemy oceny w ogóle, czy np. przechodzimy na oceny opisowe”. Łoboda dodała też, że jest zwolenniczką jak najszerzego stosowania oceniania kształtującego i ocen opisowych, bo dają one informacje zwrotne zarówno dziecku, jak i rodzicowi. Jej zdaniem takiej funkcji nie spełniają oceny w formie stopnia.

To jeszcze nie wszystkie pomysły MEN. Kilka tygodni temu media obiegrała informacja, że będą trzy semestry i pięć dni wolnego na przełomie października i listopada, w okresie Wszystkich Świętych. Po tych doniesieniach resort Barbary

Po co nam szkoła?

Teraz minister Nowacka, widząc, jakiego bajzlu narobiła, twierdzi, że prace domowe jednak są potrzebne



Nowackiej poinformował, że „nie prowadzi prac nad wprowadzeniem ferii jesiennych, ale zna postulaty dotyczące zmian w organizacji ferii i że pochyłają się nad nimi eksperci z Instytutu Badań Edukacyjnych – Państwowego Instytutu Badawczego (IBE-PIB)”.

Na razie nauczyciele, rodzice i dzieci zmagają się z katastrofalnymi skutkami rozporządzenia dotyczącego prac domowych, a sama szefowa MEN uważa, że nauczyciele je źle zrozumieli i zapowiada ocenę wprowadzonych zmian. „Będzie ewaluacja, będą wnioski. Chciałabym jednak przypomnieć, że nauczyciele mogą zadawać prace do-

movy i wręcz czasami powinni zadawać, natomiast nie powinny być one oceniane. I to dotyczy szkół podstawowych. To nie znaczy, że młodzież ma nie pracować w domu. Chodzi tylko o to, żeby nie było oceny za pracę, którą wykonuje korepetytor lub rodzic” – mówiła w Polsat News minister Nowacka. „Ewaluacja ma pokazać efekty, na pewno wesprzeć nauczycieli, bo widzę, że jest duże niezrozumienie” – dodała.

Wiadomo. Najwygodniej zwalić teraz winę za skutki własnych decyzji na nauczycieli, którym najpierw ograniczono autonomię, pozbawiając ich możliwości utrwalania wiedzy u uczniów przez prace domowe. Zgodnie z rozporządzeniem, które obowiązuje już niemal rok, w klasach I–III szkoły podstawowej nauczyciele mają nie zadawać prac domowych do wykonania przez ucznia w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wyjątek stanowią prace dotyczące usprawniania motoryki małej, czyli ćwiczeń polegających na rozwijaniu umiejętności ruchowych dłoni. W klasach IV–VIII szkoły podstawowej uczniowie nie mają obowiązku wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie jest oceniane.

Wprowadzając te przepisy, minister twierdziła, że uczniowie mają mieć więcej czasu na realizowanie własnych pasji i odpoczynek. Teraz już Barbara Nowacka, widząc, jakiego bajzlu narobiła, twierdzi, że prace domowe jednak są potrzebne, a młodzież powinna pracować w domu. Już nie odpoczywać i realizować swoich pasji?

Barbara Nowacka to najgorsze, co mogło spotkać polską szkołę. Tylko czekać, jak zdecyduje, że szkołę należy zlikwidować, bo to źródło frustracji i nierówności wśród dzieci.

Dorota Łosiewicz

Plan ratunkowy dla motoryzacji? Raczej plaster na złamany kręgosłup

W kolejnej odsłonie pierwszych 100 dni pracy Komisja Europejska postanowiła „uratować” europejski przemysł motoryzacyjny. Po latach zaciskania pętli na szyi producentów, po narzuceniu nierealnych norm emisyjnych i po forsowaniu elektrycznej rewolucji bez pokrycia w rzeczywistości w Brukseli nagle ktoś się obudził.

„Oj, chyba mamy problem!” – pomyśleli eurokraci, widząc jak europejskie fabryki zamykają linie produkcyjne, a kolejne koncerny motoryzacyjne błagają o rozsądek. I co wymyśleli? „Wspomniały” plan ratunkowy. Taki prawdziwie brukselski – zbiór pustych obietnic, pobożnych życzeń i dobrze brzmiących komunalów, które na papierze wydają się świetnie, ale w rzeczywistości są warte tyle, co zeszłoroczna ulotka wyborcza.

Największy hit? Przesunięcie celów emisyjnych o całe trzy lata! Tak, to ma być ta wielka ulga dla branży. Unia Europejska łaskawie zgodziła się, by producenci mieli trzy lata więcej na dostosowanie się do absurdalnych norm emisji CO₂. Świetnie, dziękujemy, ale czy ktoś w Brukseli zauważył, że problemem nie jest harmonogram, tylko sam pomysł? W 2035 r. i tak ma obowiązywać zakaz sprzedaży nowych aut spalinowych. Czyli co, motoryzacja nie padnie w 2032 r., ale trzy lata później? To jak powiedzieć pacjentowi z pękniętym kręgosłupem, że dostanie plaster i dodatkowy tydzień życia.

W Komisji Europejskiej nikt nie zadał sobie trudu, by zapytać przemysł, czego tak naprawdę potrzebuje. A potrzebuje stabilnych regulacji, które uwzględniają realne technologie, realne potrzeby konsumentów i realną dostępność surowców. Bo co z tego, że Bruksela zadekretuje, iż od 2035 r. po drogach mają śmigać tylko elektryki, skoro nie ma wystarczającej liczby ładowarek i odpowiedniej infrastruktury, a ceny aut elektrycznych wciąż są kosmiczne?

W Brukseli nadal wierzą, że jeśli coś zapiszą w rozporządzeniu, to automatycznie się wydarzy. W ten sposób próbowali już ustalić, że wiatr zawsze wieje, słońce zawsze świeci,



Największy hit? Unia Europejska łaskawie zgodziła się, by producenci samochodów mieli trzy lata więcej na dostosowanie się do absurdalnych norm emisji CO₂

a teraz magicznym ruchem długopisu chcą stworzyć „zieloną, konkurencyjną” motoryzację. Problem w tym, że samochody elektryczne są obecnie dostępne głównie dla bogatszej części społeczeństwa. Co z ludźmi, którzy nie mają 200 tys. zł na nowe auto? Co z setkami tysięcy mechaników, którzy od pokoleń naprawiali silniki spalinowe i nagle dowiadują się, że ich zawód jest skazany na wymarcie? Co z fabrykami, które nie przestawiają się na elektryki, bo po prostu ich na to nie stać?

Najlepsze jest to, że w tym całym planie „ratowania” europejskiej motoryzacji, największym beneficjentem będzie... chiński przemysł samochodowy. Bo kiedy europejskie marki walczą o przetrwanie w unijnym gorszej regulacji, Chińczycy producenci aut elektrycznych rozwijają się bez przeszkód i zdobywają rynek. W efekcie za kilka lat Europa może się obudzić z monopolem na auta, ale nie swoich, tylko azjatyckich firm. To nie teoria spiskowa, to już się dzieje. W Niemczech BYD sprzedaje więcej elektryków niż Volkswagen. A będzie jeszcze gorzej, bo przy braku realnej konkurencji europejskie marki będą upadać lub kupować chińskie technologie, a to oznacza jedno: utratę suwerenności technologicznej.

Nie oszukujmy się – w Brukseli nadal rządzi ekoreligia i urzędnicze wizje oderwane od rzeczywistości. Nie liczy się rynek, nie liczy się konkurencja, nie liczy się zdrowy rozsądek. Liczy się tylko to, by pokazać, że

„robimy coś dla klimatu”. Nieważne, że to „coś” rujnuje gospodarkę i doprowadzi do masowego bezrobocia. Komisja Europejska ogłosiła swój plan „ratunkowy” i uważa temat za zamknięty. Niech przemysł sobie radzi. A jeśli upadnie? Cóż, wtedy Bruksela uruchomi kolejną rundę dotacji, kolejne subsydia i kolejny „deal” dla branży, która już dawno przeniesie produkcję gdzieś, gdzie regulacje są bardziej przyjazne dla przedsiębiorców, np. do USA. I tak Europa sama kopie sobie motoryzacyjny grób. Ale przynajmniej będzie „zielono”.

Daniel Obajtek



Niemcy 

Most powietrzny dla imigrantów

Podczas gdy lider zwycięskiej chadecji i przyszły kanclerz Friedrich Merz obiecywał zaostrzenie przepisów migracyjnych i zawracanie każdego imigranta na granicy, ci dalej docierali do kraju w ramach procedury, którą niemiecki dziennik „Die Welt” nazwał „finansowanym przez państwo szaleństwem”.

25 lutego, dwa dni po wyborach do Bundestagu, na lotnisku w Berlinie wylądował czarterowy samolot. Na pokładzie znajdowało się 155 Afgańczyków – mężczyzn, kobiet i dzieci. Był to już kolejny taki lot z Islamabadu zorganizowany przez MSZ z „uchodźcami” na pokładzie. Od chwili przejścia władzy przez talibów w 2021 r. aż 48 tys. Afgańczyków trafiło w ten sposób do Niemiec.

Po rzekomo starannej selekcji dokonanej przez aktywistów i przedstawicieli niemieckich służb.

„Uchodźcy” dołączyli do 360 tys. Afgańczyków, którzy od 2015 r. złożyli wnioski o azyl w RFN. MSZ, którym kierują Zieloni, czyli najbardziej proimigrancka partia, tłumaczy loty koniecznością udzielenia schronienia osobom, które w przeszłości współpracowały z niemieckim wojskiem i którym w związku z tym groziła prześladowania. Jednak jak pisze „Bild”, nie ma na to żadnych dowodów, a to, że talibowie pozwolili tym ludziom wyjechać autokarami do Pakistanu, „powinno dać rządzącym do myślenia”. Według gazety z tych 155 Afgańczyków, którzy 25 lutego przybyli do Niemiec, tylko dwóch faktycznie pracowało dla Bundeswehry i Ministerstwa Pomocy Rozwojowej. Tożsamość pozostałych jest „wątpliwa lub nawet całkowicie niejasna”.

Jak twierdzi „Bild”, co najmniej część Afgańczyków posługiwała się falszowanymi dokumentami.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że w czasie kampanii wyborczej dwa takie loty z „uchodźcami” zostały odwołane. W końcu w czasie tejże kampanii Afgańczyk wjechał samochodem w tłum demonstrantów w Monachium. Żle by to wyglądało, gdyby obywatele w takim momencie dowiedzieli się o lotach.

Tymczasem tzw. Federalny Program Przyjęć (BAP), zwany też „mostem powietrznym do Kabulu”, trwa w najlepszej formie. Chadecy zażądali natychmiastowego wstrzymania lotów, ale Zieloni wydają się zdeterminowani, by przed zmianą rządu ubogacić Niemcy, jak najbardziej się da, a skoro czeka ich przejście do opozycji, z powrotem przymilić się do środowisk lewicowych. Ciekawe, co się stanie z tymi Afgańczykami, których Baerbock ściągnęła do Niemiec i których nie uda się z odesłać z powrotem. Gdzie trafią? To pytanie, nad którym warto się w Polsce zastanowić. 

Aleksandra Rybińska

Tajlandia 

Rząd Tajlandii rozważa budowę muru na granicy z Kambodżą, który miałby utrudnić przenikanie do kraju chińskich gangów specjalizujących się w oszustwach komputerowych. Zdaniem tygodnika „The Economist” ten rodzaj przestępczości internetowej jest obecnie najgroźniejszą i najszybciej rozwijającą się branżą oszustw w świecie.

Podczas pandemii COVID-19 chińscy przestępcy rozlokowali się we wszystkich państwach Półwyspu Indochińskiego, skąd penetrują całą Azję i Afrykę Zachodnią. W lutym Tajlandia rozpoczęła zakrojoną na szeroką skalę operację wymierzoną w działające na pograniczu z Mjanmą gangi, które na niekontrolowanych przez nikogo terenach zbudowały kilkadziesiąt baz. Władze w Bangkoku odcięły w tych rejonach prąd, internet oraz zablokowały dostawy paliwa. Podczas operacji zatrzymano 2,2 tys. osób powiązanych z gangami i uwolniono niemal 7 tys. osób uwięzionych przez bandytów.

Podobne działania podjęto na granicy z Kambodżą. Zniszczono kilkadziesiąt wież sieci komórkowej na granicy, a także przeprowadzono nalot na miejscowość Poipet, która stała się jednym z głównych ośrodków przestępczości internetowej.

Mur przeciw gangom internetowym

W czasie tej akcji uwolniono 215 osób przetrzymywanych w charakterze zakładników do momentu, aż rodziny „wykupią” ich w związku z rzekomymi „długami”.

Te działania są wynikiem presji Pekinu po skandalu związanym z Wangiem Xingiem, popularnym 22-letnim aktorem, który w styczniu zniknął na pograniczu Chin i Mjanmy. Jak się okazało, wpadł on w ręce tamtejszych gangów i został uwolniony w wyniku policyjnej akcji.

Mur, którego budowę rozważają władze Tajlandii, ma mieć długość 55 km, co oznacza, że będzie obejmował jedynie część liczącej 817 km granicy z Kambodżą, ale jego głównym zadaniem ma być nie tyle całkowite zablokowanie nielegalnych przekroczeń, ile utrudnienie chińskim gangom możliwości penetrowania obszarów nadgranicznych.

Jacob Sims, dziennikarz portalu The Diplomat, jest przekonany, że walka z przestępcami nie będzie łatwa ze względu na skalę procederu. Ocenia się, że w kontrolowanych przez gangi call centers pracuje 100 tys. osób, które korzystają z „ochrony” rebeliantów walczących z juntą w Mjanmie. 

Marek Budzisz



Wojna za europejskie pieniądze

Unia Europejska wydaje więcej pieniędzy na rosyjskie paliwa kopalne niż na pomoc finansową dla Ukrainy – wynika z raportu przygotowanego przez fińskie Centrum Badań nad Energią i Czystym Powietrzem (CREA).

Według ekonomisty Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej (IfW Kiel) Christopha Trebescha Europa nie tylko pompuje miliardy w rosyjską maszynę wojenną, kupując ropę i gaz z Moskwy, lecz także jej wkład w obronę Ukrainy jest znacznie niższy od tego, który włożono we wsparcie Kuwejtu podczas irackiej inwazji na ten kraj w 1990 r. Z kolei Rosja nauczyła się sprawnie obchodzić nałożone na nią sankcje, a sprzedaż rosyjskiej ropy naftowej do Chin, Indii i Turcji gwałtownie rośnie. „Dochody Rosji w trzecim roku wojny spadły zaledwie o 8 proc. w porównaniu z rokiem poprzedzającym inwazję na Ukrainę” – zauważono w raporcie CREA. W trzecim roku wojny Rosja zarobiła 242 mld euro na eksporcie paliw kopalnych, a jej łączne zyski od początku inwazji „zbliżają się do biliona” – czytamy.

Według obliczeń w 2024 r. kraje europejskie wydały 23 mld dol. na zakup rosyjskiego paliwa w porównaniu do 19,6 mld dol. pomocy udzielonej w tym samym czasie Ukrainie. I choć wydatki Unii na rosyjskie paliwo zmniejszyły się o 6 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem, wynikało to głównie

ze spadku cen, ponieważ wolumen rosyjskich produktów importowanych przez Unię spadł tylko o 1 proc. W tej chwili kraje Unii zapewniają ok. jedną czwartą dochodów Rosji z eksportu paliw kopalnych.

Jak wynika z danych norweskiego ośrodka analitycznego Rystad Energy, w 2024 r. Europa sprowadziła 49,5 mld m³ rosyjskiego gazu za pośrednictwem rurociągów i kolejne 24,2 mld m³ w postaci LNG na statkach, którego import rośnie bardzo szybko. W ub.r. Rosja zdołała wyprzedzić Katar, stając się drugim po Stanach Zjednoczonych dostawcą skroplonego gazu ziemnego do Unii.

Zdaniem Jonathana Bassa, założyciela firmy Argent LNG zajmującej się handlem skroplonym gazem, rosnąca popularność rosyjskiego surowca w Europie wynika z błędów popełnionych przez administrację Joe Bidena, który ograniczył wydobycie gazu łupkowego i w ten sposób oddał pole rosyjskiej konkurencji. Wprawdzie Donald Trump zniósł wprowadzone limity, ale amerykański przemysł LNG będzie potrzebował czasu, aby podjąć walkę z rosyjskimi rywalami. Jednak nawet gdy to nastąpi, Europejczycy – w opinii Bassa – mogą mieć obiekcje wobec amerykańskich dostaw, które okazały się niepewne. Unia będzie prawdopodobnie dążyła do wznowienia dużych zakupów gazu w Rosji, gdy tylko pozwolą na to warunki polityczne.

Konrad Kołodziejski



Kiedy 8 grudnia islamistyczna organizacja Hajat Tahrir al Shams (HTS) obaliła wspierany przez Rosję i Iran rząd Baszszara al-Asada, w wielu stolicach Zachodu zapanowała radość. Media ujawniały masowe zbrodnie upadłego reżimu, a nowe władze deklarowały, że skończą z praktyką prześladowania opozycji. Ich przywódca Ahmad asz-Szara, który 29 stycznia został prezydentem, odżegnywał się od swoich związków z Al-Kaidą. Uspokajał przerażonych chrześcijan, że nie mają się czego obawiać, ponieważ prawa mniejszości religijnych będą przestrzegane.

Nie minęły trzy miesiące, a zaczęła się krwawa rozprawa z przeciwnikami politycznymi. Rządowe siły bezpieczeństwa w ciągu zaledwie trzech dni dokonały egzekucji ponad 1 tys. osób. Ich ofiarami padli głównie alawici, druzowie i chrześcijanie. Alawizm to odmiana islamu, której wyznawcy zamieszkują głównie Syrię. Choć stanowią oni ok. 10 proc. ludności kraju, pełnili w nim rolę nieproporcjonalną w stosunku do swojej liczebności. Alawitami byli bowiem przywódcy partii Baas, która w 1963 r. dokonała zamachu stanu i przejęła władzę. Przedstawiciele tej religii (na czele z klanem Asadów) stworzyli elitę nowego świeckiego państwa, wywołując niezadowolenie islamskich fundamentalistów. Rządzili ponad 60 lat i teraz doczekali się odpłaty.

Rząd w Damaszku zaprzecza, że chodziło o polityczną zemstę. Według niego ofiary były częścią samozwańczej armii lojalnej wobec Asada, która postanowiła zbuntować się przeciw nowym władzom. W rzeczywistości jednak, jak donoszą naoczni świadkowie, oddziały rządowe rozstrzeliwały całe rodziny łącznie z kobietami i dziećmi. Celem czystki byli alawici, a druzowie i chrześcijanie padli jej ofiarą przez przypadek. W szeregach HTS walczą bowiem milicje dżihadystyczne złożone głównie z obcokrajowców, m.in. Czeczenów, Afgańczyków czy Turkmenów, którzy często nie mówią po arabsku i nie potrafią odróżnić alawitów od innych społeczności niesunnickich. To oni stali za masakrami chrześcijan i druzów.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wiecej komisji!

Z braku lepszych/głupszych (niepotrzebne skreślić) pomysłów, Sejm powołał kilka komisji, których głównym zadaniem jest pozorowanie jakiejś państwowo-twórczej aktywności. Zamulanie świadomości społecznej drugorzędnymi sporami, by kwestie najwyższej wagi, jak ceny gazu czy wysokość podatków, przykryć bezładnym gadulstwem i fałszywymi emocjami. Za pomocą ukradzionych Polakom mediów oraz tradycyjnych niemieckich gadzinówek, które już dawno nam tu zainstalowano.

To przykre, w jakiej pułapce znaleźliśmy się przed wyborami następnego prezydenta. Otumaniona część elektoratu ma szansę wybrać najgłupiej, jak to możliwe, czyli wbrew swemu interesowi. Głupcem nie jest bowiem ten, kto wie, że od zblatowanej władzy zostanie dostęp do karuzeli VAT-owskiej i będzie mógł kraść do woli z państwowej kasy. To jest łobuz z własnego wyboru. On na swój złodziejski sposób jest mądry. A kim jest ten, kto nie chce kraść, ale nie chce też wiedzieć, że ludzie, którym oddaje władzę nad Polską, są oszustami, złoczyńcami? Sprawa terminologii jest ważna. Od niej zależą wyroki. Który paragraf dla kogo? Jeżeli w ogóle uda się ustanowić uczciwe sądy.

Odczuwam pewien absmak, kiedy osoby rządzące w poprzednich kadencjach grożą obecnym decydentom, jak to ich pozamykają. A wcześniej nie mogli? Przecież mieli wiele lat na

przywrócenie poczucia sprawiedliwości w życiu publicznym i urzędowych obyczajach. Co kadencja, trudniej będzie przywrócić wartość słowom. Jak pisał Tuwim: „My, ludzie skromni, ludzie prości, / żądni nadludzie ni olbrzymy, / Boga o inną moc prosimy, o inną drogę do wielkości: [...] / ziemi, gdy z martwych się obudzi i brzask wolności ją ozłoci, / daj rządy mądrych dobrych ludzi, mocnych w mądrości i dobroci [...] / Lecz nade wszystko – słowom naszym / zmienionym chytrze przez krętaczy, / jedność przywróć i prawdziwość: / niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość [...]”. Czy tego wiersza nie naucza się przypadkiem w szkołach? Natychmiast należy powołać komisję, która zbada, kto do tego dopuścił, gdy obowiązuje dyrektywa „j...ć prawo i sprawiedliwość”. Hasło nieprzypadkowo finansowane przez zagraniczne służby.

W tym kontekście aktyw domaga się od komisji Sroki wyjaśnienia, co się dzieje obecnie z Pegasussem? Dla kogo pracuje, czy nie dla Putina? Bo chyba nie dla Trumpa, który zna wszystkie tutejsze ruchy ze starlinków Muska. Czujny Sikorski zdradził tajemnicę państwową i zagroził wstrzymaniem 50 mln dol. Na co Musk odpisał: „Zamknij się, mały człowieczku”. No pięknie! To dopiero temat dla komisji śledczej! Jak można tak traktować sołtysa z Chobiolina? Co on, wypadł Sroce spod ogona? Komisja potrzebna natychmiast!



**Jan
Pietrzak**

Okrągły stół brukselskich antydemokratów

W polityce widzieliśmy już wiele form nacisków, ale pomysł wiceprzewodniczącej Komisji Europejskiej Henny Virkkunen, by zorganizować okrągły stół na temat polskich wyborów, przypomina niebezpieczną grę, jaką obserwujemy obecnie w Rumunii. W ostatnich miesiącach dochodzi tam do podważania wyników demokratycznych wyborów, bo nie wygrał ten, kto powinien. Mało tego, kandydat, który zwyciężył w pierwszej unieważnionej turze wyborów prezydenckich, nie może zarejestrować się do „dogrywki”, a ta już w maju. Dzisiaj tę metodę, choć pod bardziej eleganckim szyldem, chce stosować Komisja Europejska w Polsce.

Czy dziwi to kogoś, kto śledzi polityczne manewry w Brukseli? Przecież już widzieliśmy, jak przewodnicząca Ursula von der Leyen ostrzegała Włochów przed wyborami, sugerując, że je-

śli zagłosują inaczej, niż chce Bruksela, czekają ich konsekwencje. Wtedy nie udało się powstrzymać naszych kolegów z Braci Włochów i premier Giorgii Meloni. W Polsce też wstawiono Donalda Tuska na urząd za pomocą podsycania negatywnych emocji wobec Prawa i Sprawiedliwości... jak się dziś okazuje – za euro, dolary, a także ruble. Teraz wiadać, że podobny plan jest przygotowywany na polskie wybory prezydenckie.

Komisarz Virkkunen od lat wspiera politycznego pupila Brukseli – Trzaskowskiego. Nie brakuje na to dowodów, a jej obecne działania można uznać za przygotowanie „odsieczy” na wypadek, gdyby Polacy zdecydowali inaczej, niż wymarzone w unijnych gabinetach. To budzi nasze oburzenie. Demokratyczne wybory w państwach członkowskich nie mogą być przedmiotem politycznych manipulacji Komisji Europejskiej. Nie możemy pozwolić

na rozzuchwalanie się europejskich biurokratów w tej sprawie. Dlatego postanowiłem wystosować oficjalne zapytanie do KE o niezależność pani komisarz Virkkunen. Podpisało się pod nim 26 europosłów z różnych krajów i grup politycznych, co pokazuje, że nie jest to jedynie polska sprawa, ale szeroki europejski problem.

Jeśli pozwolimy KE decydować, kto ma prawo wygrać wybory, to z demokracji zostanie tylko fasada. Okrągły stół? Dzisiaj wiadać, że Komisja chce być nie tylko sędzią, zresztą nawet do tego nie ma prawa, lecz także zawodnikiem – i to takim, który nie zamierza przegrać.

Arkadiusz Mularczyk



Formuła lorda Ismaya



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W światowych mediach pojawiły się doniesienia o możliwym przeniesieniu amerykańskich baz wojskowych z ich obecnej lokalizacji w Niemczech na Węgry. Brytyjski „Daily Telegraph” donosi, że prezydent Donald Trump rzekomo rozważa utworzenie na Węgrzech nowego dowództwa europejskiego. Według gazety prezydent USA skłania się do takiego posunięcia ze względu na rosnącą frustrację związaną z niechęcią Europy do realnego zaangażowania się w proces pokojowy na Ukrainie, a także niewystarczające wydatki Niemiec i niektórych innych państw członkowskich UE na zdolności obronne.

Zwiększanie obecności wojskowej USA byłoby pożądane przede wszystkim w Polsce. Gdyby w regionie bałtyckim doszło do kryzysu, jest mało prawdopodobne, aby Amerykanie wysłali większość swoich sił bezpośrednio do Estonii, Łotwy czy Litwy. Zwiększenie liczby amerykańskich żołnierzy w Europie Środkowej nie powinno się jednak odbywać całkowicie kosztem przyczółka w Niemczech, gdzie w czasie zimnej wojny siły amerykańskie liczyły miliony, a w ciągu ostatnich kilku dekad 35 tys. żołnierzy.

W okresie międzywojennym USA nie zdecydowały się na przystąpienie do Ligi Narodów, wybierając politykę izolacjonizmu – jednego z głównych czynników, które doprowadziły do powstania totalitaryzmu w Europie w latach 30. XX w. i dokonania przez Niemców wyboru nazistowskich rządów. W lutym 1945 r. w Jaltie zdecydowano o podziale Niemiec i Berlina. Po zakończeniu wojny niemiecka stolica została zajęta przez Armię Czerwoną, a później podzielona na strefy interesów między Związkiem Radzieckim, Anglią, Francją i USA. Europa Wschodnia, w tym po 1949 r. Niemcy Wschodnie (Niemiecka Republika Demokratyczna), była okupowana przez Związek Radziecki, podczas gdy Stany Zjednoczone kontrolowały Niemcy Zachodnie (Republika Federalna Niemiec). Prezydent Roosevelt zgodził się, aby narody Europy Wschodniej graniczące ze ZSRR pozostały „przyjazne” rządowi radzieckiemu, który chciał ustano-
wić strefę buforową przed możliwą przyszłą agresją niemiecką. Kiedy porozumienia jaltańskie zostały upublicznione, wielu Amerykanów krytykowało Roosevelta za przekazanie Europy Wschodniej ZSRR. Istniała obawa, że gdy pod koniec wojny Sowietci przesuną się na zachód, pozostaną w Europie Wschodniej bez zamiaru opuszczania jej. Dla utrzymania równowagi sił kluczowa byłaby obecność USA w Europie Zachodniej.

Odbudowa państwowości zachodnoniemieckiej po II wojnie światowej dokonała się dzięki pomocy USA w formie liberalnej demokracji, przygotowanej i niemal narzuconej przez Amerykanów. RFN służyła amerykańskiej strategii jako tania przeciwno imperialnym zakusom ZSRR wobec Europy Zachodniej. Po-
wodem obecności Amerykanów w RFN była także potrzeba nadzoru nad narodem z sumieniem obciążonym zbrodniczą ideologią i okrucieństwami oraz grabieżą dokonaną w czasie wojny. Wedle pomysłu Waszyngtonu włączenie Niemiec Zachodnich do struktur sojuszników NATO w 1955 r. miało sta-

nowić najlepsze zabezpieczenie przed reaktywacją zagrożenia niemieckiego. *Vide* formuła lorda Hastingsa Lionela Ismaya, pierwszego sekretarza generalnego NATO: „Keep Russians out, Germans down and Americans in”.

Stała obecność Amerykanów w Niemczech z pewnością była jednym z czynników decydujących o utrzymaniu Niemiec Zachodnich w ryzach demokracji. Z perspektywy czasu zburzenie muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec wydaje się momentem, w którym rozpoczął się proces stopniowego przejmowania RFN przez Niemcy Wschodnie (NRD) wraz z wszelkimi tego postkomunistycznymi konsekwencjami wzmacniającymi relacje na linii Niemcy–Rosja. Te ostatnie zaś zaowocowały m.in. inwestycjami w postaci rurociągów Nord Stream, które utoczyły państwo funkcjonariusza KGB (w latach 1985–1990 służącego w NRD) na tyle, że było ono w stanie rozpętać pełnoskalową wojnę przeciwko Ukrainie i całemu cywilizowanemu światu. Niemcy, odwołując się do komunistycznego manifestu z Ventotene, chcą zaś przeprowadzić Europie przekształconej w superpaństwo. 

REKLAMA



**Transmisja nabożeństwa
Drogi Krzyżowej
z Parafii Matki Bożej Częstochowskiej
w Wołominie
piątek, godz. 19.00**

**Radio 106.2
Warszawa**
dobrze słuchać

09/0225/F



Walizka

Macieja Sikorskiego

założyciela Teatru Exit

Mój początek podróży z Teatrem Exit wiąże się z zupełnie niespodziewaną i dodatkowo złożoną w trudnym dla mnie zawodowo momencie propozycją nie do odrzucenia. Traktuję ją jako prezent. To była oferta poprowadzenia teatru z osobami z różnymi niepełnosprawnościami. I była bardzo stanowcza. Ktoś powiedział: „Chcę, żebyś to był ty, tylko ty, i proszę, nie odmawiaj mi”. Na początku miałem obawy, bo nie posiadałem ani pedagogicznego wykształcenia, ani doświadczenia w pracy z ludźmi z niepełnosprawnościami umysłowymi czy porażeniem mózgowym. Zaczęliśmy ze spektaklem, który nazywał się „Exit” – jak nasz teatr – i był stworzony na podstawie Księgi Wyjścia. Pomyślałem wtedy, że jej treść dotyczy historii każdego człowieka, który przeżywa różne etapy: może być w niewoli, potem z niej wychodzi, potem się boi i chce wrócić do tej niewoli. Zrozumiałem, że nazwa sztuki i teatru nie jest przypadkowa, bo moi aktorzy zaczęli wychodzić z niewoli niepełnosprawności, natomiast artyści, którzy gościnnie pojawiali się u nas na deskach lub grali w filmach, wychodzili z jeszcze większej niewoli – egoizmu. I tak już wychodzimy dziewiąty rok. Stworzyliśmy 16 tytułów teatralnych, filmowych, także teledysków i cały czas jesteśmy w drodze. Był kiedyś film pt. „Kiniarze z Kalkuty” o objazdowych kinach w Indiach. My z kolei jesteśmy obwoźnymi teatrarzami jeżdżącymi po Polsce i Europie. Kilkakrotnie byliśmy za granicą, m.in. na Węgrzech, w Szwecji, nawet w Japonii. Cieszymy się, że to, co robimy, jest czytelne także poza Polską. Mamy na koncie kilka nagród, ale najważniejszy jest dla nas kontakt i interakcja z człowiekiem. Tworzymy sztukę nastawioną na spotkanie.



KASZKIET

Pojawił się w momencie, gdy zaczęliśmy tworzyć własny wizerunek artystyczny. Stoczyłem wtedy bój z rodzinami i opiekunami niepełnosprawnych osób grających w spektaklach, żeby zaczęły ich traktować jak prawdziwych artystów. Zresztą sami aktorzy też potrzebowali czasu, żeby zacząć się tak identyfikować. To wtedy pojawił się pomysł wizerunkowy związany z kapeluszami nawiązującymi do włoskiej mafii z lat 70.



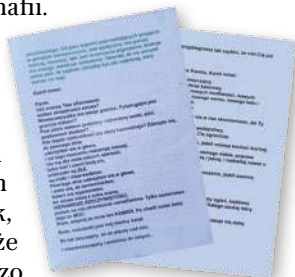
CYGARA, FAJKA

Jestem pracocholikiem i niestety dużo pracuję. To dla mnie przerwany, gdy mogę zebrać myśli. Poza tym cygaro pasuje do włoskiej mafii.



SCENARIUSZ

Scenariusze to moja codzienność. Jestem autorem praktycznie wszystkich scenariuszy do naszych sztuk, filmów i teledysków, z tym że są to adaptacje biblijne i bardzo specyficznych tekstów. Dlatego spędzam bardzo dużo czasu, czytając różne rzeczy.



EPIKRYZY

To część naszej twórczości związanej z tym, że mieliśmy siedzibę w teatrze znajdującym się na terenie szpitala psychiatrycznego. Wejście w świat ludzi z „Po drugiej stronie dnia” było niezwykle podróżą, w której chciałem oddać głos ludzi, którzy są go pozbawieni. Zaczęłem kolekcjonować relacje pacjentów psychiatryka, tego, co przeżywają, i zderzać je z diagnozami szpitalnymi.



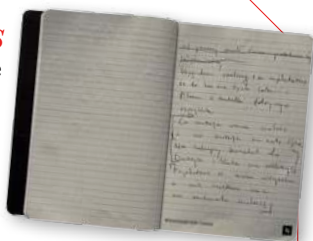
WYDAWNICTWO RUMAK

Prawdopodobnie ewenement w skali światowej. Wydawnictwo RUMAK poety Waldemara Gawrona wydaje poezję pacjentów Szpitala Klinicznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie. Dzięki niemu pracujemy nad piosenkami, które w większości składają się z wierszy zaprzyjaźnionych z nami poetów. Są tam niezwykle perły.



NOTES

Nieodłączne narzędzie pracy, w którym szlifuję scenariusze spektakli, filmów i teledysków, a także słowa piosenek.



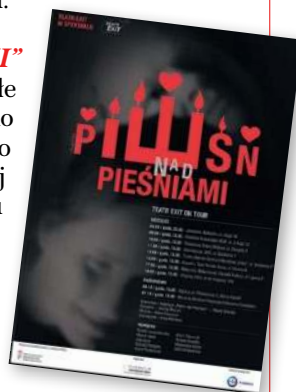
CRACOVIA

To nasza odskocznia. Ponieważ głęboko siedzimy w tematach duchowych, czasami potrzebujemy codziennie, uziemienia się. Dlatego raz na dwa tygodnie chodzę z moimi aktorami na mecz. Jest to dla nas ważne, bo możemy być razem, nie pracując, i wziąć udział w czymś prostym, zwykłym, będącym odskocznią od naszego teatru.



„PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI”

To absolutnie niezwykle doświadczenie, jakby docieranie do jądra miłości, patrzenie na nią po zdjęciu wszystkich filtrów – sztucznej atrakcyjności, wybujałego erotyzmu i pustych, emocjonalnych gier. Docieranie do całkiem nieznanego obszaru – uczuć czystych i ich obrazu bez krzywego zwierciadła.



„GENESIS”

Spektakl w konwencji teatru cieni z muzyką na żywo bazujący na biblijnych tekstach opowiadających o stworzeniu świata. Po występie zaproszeni goście będący przedstawicielami różnych gałęzi nauki próbują odpowiedzieć na pytania o związek współczesnej fizyki i biblijnego opisu stworzenia świata oraz aktualności Księgi Rodzaju.

„BEZDOMNY JEZUS”

Zebrał przez Grzegorza Kicińskiego chwytające za serce historie z hospicjum scenarzysta wpisał w misterium Drogi Krzyżowej. Każdy z 14 prawdziwych dialogów, które miały miejsce przy łóżkach umierających, są jak struny, których dźwięk budzi wspomnienia każdego z widzów. Bo każdy z nas stracił bliskiego, popełnił jakiś błąd.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

Z czego jeszcze nas oszwabia uśmiechnięci obywatele?

Gdy czytałem newsa, którego ujawnił Wojciech Biedroń na portalu wPolityce.pl, że Ministerstwo Finansów postanowiło zagłodzić sędziów Trybunału Konstytucyjnego, nie wypłacając im miesięcznych wynagrodzeń, łapałem się za głowę. Nie ze zdziwienia, bo niestety od grudnia 2023 r. można się spodziewać wszystkiego, ale uzmysławiając sobie, co dalej za tym idzie.

Zacznijmy od tego, że odmowa wypłaty wynagrodzeń sędziom TK narusza co najmniej kilka artykułów Konstytucji RP, a konkretnie: 10, 173, 178 (ust. 2) i 216 (ust. 1), które gwarantują niezależność władzy sądowniczej, odpowiednie wynagrodzenie sędziów oraz obowiązek wydatkowania środków publicznych zgodnie z ustawą budżetową. Działania te same w sobie stanowią próbę ograniczenia niezawisłości sędziowskiej i osłabienia konstytucyjnego organu państwa. Tyle było śmiechu z „zamachu stanu”, a co zrobił rząd? Najpierw siłowo i nielegalnie przejął instytucje, do których przejęcia nie miał prawa i mandatu wyborczego, a później metodą salami, krok po kroku, okrajał



**Samuel
Pereira**

państwo. Potem wziął się za portfele obywateli, którym kazał płacić PIT wyższy niż obiecany, a następnie okradł ich z pieniędzy z podatków przeznaczonych na partie polityczne – najpierw zabierając należne środki największej partii opozycyjnej, a następnie okradając z należnego wynagrodzenia sędziów TK. Dlaczego? Bo mają czelność być niezależni od władzy Donalda Tuska i nie złożyli „samokrytyki” przed jedynowładcą.

Zastanawia mnie tylko, dlaczego po czymś takim Polacy nie wychodzą na ulicę. Powód jest prosty, ale wyjątkowo ponury. Dzieje się tak, ponieważ obecna rządząca ekipa wykonała ogromną pracę, żeby zaszczuć PiS oraz sędziów TK – właśnie po to, żeby w momencie, gdy rząd będzie zabierał pieniądze, obywatelom nie było ich żal. Partię Jarosława Kaczyńskiego zohydzono jako złodziei i morderców (słowa Tuska z kampanii parlamentarnej: „Ta władza to są seryjni zabójcy kobiet!” nie były przypadkowe), a sędziów jako podludzi, gatunki, na które należy polować aż do skutku. A teraz rządzący robią z nimi i będą robić z następnymi grupami, co będą chcieli. Chyba, że to zatrzymamy. 

Bo jest to film bardzo „mój” i „nasz”

Z Marią Zbąską, reżyserką filmową, operatorką, fotografką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Jak się pani czuje jako „odkrycie roku”?

Maria Zbąska: Przede wszystkim cieszę się, że nasz film został odkryty. Przez innych twórców i widzów, bo dzięki festiwalowi, który towarzyszył 27. edycji Polskich Nagród Filmowych Orły, bardzo dużo osób obejrzało naszą skromną produkcję.

Zatytułowaną przewrotnie „To nie mój film”?

Tak, bo jest to film bardzo „mój” i „nasz” – wszystkich, którzy go współtworzyli. Na początku nie byłam przekonana do tego tytułu, ale kiedy od tyłu widzów słyszę zapewnienia, że jest to też bardzo „ich” film, wiem, że nie mógłby być lepszy.

Udał się pani ten pełnometrażowy debiut?

Jest nie tylko mój. Choćby Zofia Chabiera – nie jest wykształconą aktorką, to pieśniarka.

Marcin Płaszczyk, doświadczony scenograf, nie pracował wcześniej przy takiej produkcji. Ja pierwszy raz stałam za kamerą jako operator, reżyser i scenarzysta pełnometrażowej fabuły. Był to film pełen osób w nowych dla siebie rolach.

Mieście nominacje w trzech kategoriach: najlepszy film, reżyseria i odkrycie roku, tyle że „Dziewczyna z igłą” rozbila bank z Orłami. Jak pani odebrała tę produkcję?

To niezwykle piękny obraz, doskonały. Nie dziwi, że zgarnął tyle nagród, chociaż czasem trochę żal, że się nimi nie podzielił. Niezwykle obrazy mają jednak to do siebie, że wszystko w nich współgra ze sobą i ciężko oddzielić np. scenografię od zdjęć czy scenariusz od reżyserii, więc po jednych nagrodach zgarniają następne. Film to naprawdę złożona rzecz. 

Europa czy Afryka?

Jak będzie wyglądać Polska po zasiedleniu setkami tysięcy (milionami?) ciemnoskórych migrantów? Czy Warszawa upodobni się do Sztokholmu, Berlina, Brukseli? Czy kilkaset płonących na przedmieściach Paryża samochodów również w naszej stolicy stanie się nową sylwestrową tradycją? Czy tak jak Anglikom spowszednia nam masowe gwałty na dziewczynkach? A może nie będzie aż tak źle? Może nielegalni nachodzący, ujęci naszą gościnnością ucywilizują się, podejmą uczciwą pracę, przyczynią się do wzrostu PKB i ochoczo wesprą kulejącą demografię? Może zaakceptują polskie prawo, zwyczaje i kulturę, a gospodarzy zaczną traktować z szacunkiem?

Niestety żadne z tych pobożnych życzeń nie spełni się, a niedoinwestowana policja nie poradzi sobie z nowymi zagrożeniami. Tak jak nie radzi sobie z gruzińską czy ukraińską mafią.

Islam z założenia wojuje z chrześcijaństwem, do kobiet ma stosunek pogardliwy, uprzejmość odbiera jako tchórzostwo, a białych maminsynków traktuje z butą. Czy zagrożeni Polacy zaczną tworzyć oddziały samoobrony, by np. patrolować ulice i tak chronić swoje rodziny? Wątpię. Spytałem znajomego Szweda, gdzie się podzieli ci wszyscy waleczni wikingowie. Odpowiedział mi z uśmiechem: w klubach gejowskich.

Zapewne niektóre młode Polki, łącząc się w mniej lub bardziej formalne związki z ciemnoskórymi przystojniakami, ocieplą ich wizerunek, ogłaszając wszem wobec, jakie to jest super! W ich opowieściach egzotyczni partnerzy będą tacy kochani, tacy męscy, tacy zaradni (mieszkanie, socjal itd.). Z czasem jednak coraz trudniej będzie wytłumaczyć czy zapudrować nowe siniaki na twarzy. Cóż, każda kultura inaczej objawia swą miłość.

Wstępowaliśmy do Unii Europejskiej kuszeni jej dobrobytem. Dziś w pakiecie dostajemy „ubogacenie” z Afryki.

Podobno ciężkie czasy tworzą silnych ludzi. Przekonamy się o tym już za chwilę. Za to ostatnie lata obrodziły w megagłupotę: sami zaoralismy referendum w sprawie nielegalnej migracji!

Lech Makowiecki



POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

Z OKAZJI SZCZYTU KLIMATYCZNEGO COP30 W BRAZYLII ORGANIZATORZY BUDUJĄ PRZYJAZNĄ ŚRODOWISKU CZTEROPASMOWĄ AUTOSTRADĘ PRZEBIEGAJĄCĄ PRZES AMAZOŃSKI LAS DESZCZOWY. OBUŻONYCH USPOKAJAMY: PLANOWANE SĄ PASY DLA ROWERZYSTÓW.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA
AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,

81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA, PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN, FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:

TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)

PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE

WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO

WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:

KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.

OGLĄSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH

PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST

ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT.: ANDRZEJ WINKTORIJS, KAROL MAKURAJA/REPORTER, ARCHIWUM FRATRIA, SHUTTERSTOCK/ DROP OF LIGHT

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PREENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej



Kulisy sukcesu wPolsce24

W lutym telewizja wPolsce24 przekroczyła 1 proc. widowni w grupie ogólnej. To duży sukces stacji działającej nieco ponad pół roku. Z tej okazji w tygodniku „Sieci” zorganizowaliśmy spotkanie, na którym gwiazdy stacji mówią szczerze, kto chce ją zniszczyć, a kto udziela wielkiego wsparcia

Dorota Łosiewicz (dziennikarka „Sieci” i wPolsce24): Telewizja wPolsce24 wystartowała ponad pół roku temu i już udało się osiągnąć, a nawet przekroczyć 1 proc. udziałów widowni ogólnej. To duży sukces całego zespołu i powód do świętowania. Jak się to udało?

Michał Adamczyk (dyrektor programowy wPolsce24): Było kwestią czasu, kiedy osiągniemy ten wynik. W ostatnim roku nasza telewizja była najdynamiczniej rozwijającą się stacją informacyjną. Zanotowaliśmy trzykrotny wzrost oglądalności. A to dopiero pierwszy etap, będziemy ros-

nać w siłę. Nasza oferta programowa jest coraz lepsza. Wiele osób nad tym pracuje, także nad tym, by pojawiały się nowe formaty. Mamy już trzy programy z udziałem publiczności: „Teoria spiskowa” Magdaleny Ogórek, „Młódzież pyta” Marty Kielczyk oraz „Strefa starcia”. Badania pokazują,

Fot. Andrzej Wiktor

że widzowie bardzo lubią formaty z udziałem publiczności. Reagujemy na to, co jest ważne, szukamy tematów, które elektryzują opinię publiczną, którymi żyją widzowie.

Są nowe produkcje, a także programy, które widzowie znają z dawnego TVP Info. Czy macie poczucie, że widzowie odnajdują to, co lubili?

Magdalena Ogórek (prowadząca audycje publicystyczne we wPolsce24): Czytasz mi w myślach. Zanim dołączyłam do zespołu, mnóstwo ludzi zatrzymywało mnie i mówiło o tęsknocie za nami, za ich ulubionymi programami. To jest wielkie wyróżnienie, przecież jesteśmy dzięki widzom i dla widzów. Jeśli się okazuje, że nas potrzebują i chcą, jest to wielka satysfakcja. Często słyszałam, że z TVP Info, którego już nie ma, oni czuli się jak w domu, a po siłowym, antydemokratycznym przejściu TVP utracili to, co kochali. Oni potrzebowali, żeby przywrócić im, chociaż częściowo, ten dom, który utracili. I my to robimy. Dlatego musiało się nam udać. Jestem zaskoczona tym, że ten 1 proc. przyszedł tak szybko, już po pół roku bardzo intensywnej pracy całego zespołu. Mocno kojarzymy się z naszym brandem wPolsce24. Ta stacja wtapia się w myślenie Polaków, choć musimy pracować, żeby to było jeszcze silniejsze. Czuję energię Polaków, czuję sympatię. Musimy po prostu jeszcze szerzej trafiać pod strzechy.

Michał Karnowski (członek zarządu grupy medialnej Fratria): Mam złą wiadomość dla tych, którzy źle nam życzą. Dopiero zaczynamy! Zgadza się z Magdaleną Ogórek, że sukces przyszedł szybko. Wszystko trochę zależy od perspektywy. Na rynku jest oczywiście duża konserwatywna stacja, która wykorzystała moment i w grudniu była już gotowa. Ktoś wcześniej wspierał tę stację, choć teraz woli ona o tym nie pamiętać. Kiedyś poznamy kulisy tego, jak to się wszystko rozgrywało, czy ktoś tego nie zaplanował. Nikomu nie odbieram sukcesu, ale prawdę też trzeba mówić. U nas znaleźli swoje miejsce

dziennikarze brutalnie wyrzuceni z mediów publicznych, którzy połączyli siły z dziennikarzami wPolsce.pl, stopiliśmy wszystko w jeden projekt. Wielokrotnie słyszę od ludzi zajmujących się rynkiem telewizyjnym: „Osiągnęliście nieprawdopodobny

Mam złą wiadomość dla tych, którzy źle nam życzą. Dopiero zaczynamy!

sukces”. Gdy patrzymy przez pryzmat wielkiej medialnej konkurencji, nasze osiągnięcia nie wydają się tak znaczące. Jednak obiektywnie ten sukces jest wielki. Mamy w Polsce kilkadziesiąt stacji telewizyjnych. Wiele, w które zainwestowano gigantyczne środki, nie osiągnęły tego, co my w pół roku. A przecież mamy jeszcze braki zasięgowe. Jednak wciąż rośniemy. Mamy stabilną oglądalność, programy i formaty, które dojrzewają. Tak naprawdę dopiero zaczynamy, a do końca roku podwoimy oglądalność. Niebawem uda nam się też poszerzyć zasięg, ale o tym poinformujemy w odpowiednim momencie. Mam apel do widzów: jeśli ktoś nie ma w kablówce naszej stacji, to proszę dzwonić do operatora i się tego domagać.

M.A.: Faktycznie jest tak, że na początku ludzie pytali, gdzie nas oglądać, a teraz coraz więcej osób już wie, gdzie jesteśmy. Liczba widzów rośnie. I oni się autentycznie cieszą, że wróciło to, co mieli, co lubili, co 20 grudnia zostało im brutalnie zabrane. O części programów już mówiliśmy, ale chcę jeszcze wspomnieć program, który prowadzi m.in. Dorota Łosiewicz i Magdalena Ogórek, czyli „Politykę na deser”, która jest nowym odpowiednikiem „W tyle wizi” ze starego TVP Info. Twarze niemal te same, formuła także.

M.K.: Teraz mamy jeszcze wielki powrót programu, który nawiązuje do dobrej energii „Studia Polska” prowa-

dzanego przez Magdę Ogórek. Chodzi oczywiście o „Teorię spiskową”. To audycja redagowana z wrażliwością społeczną, otwarta na różne poglądy, poszukująca prawdy i mocnej pointy. **M.O.:** Od zawsze przeglądam tweety widzów, to dla mnie ważne. O „Teorii spiskowej” przeczytałam, że to program pomiędzy „Sprawą dla reportera” Elżbiety Jaworowicz a „Studium Polska” – to znaczy, że tamte formaty mocno zapadły w serca. Formaty to często twarze. Zanim poznałam Michała Adamczyka, oglądałam „Wiadomości” TVP, które prowadził, bo była to dla mnie emanacja profesjonalizmu, kultury, coś, na co czekałam każdego dnia. „Wiadomości” wPolsce24 są dla wielu jak powrót do domu. Podobnie jest z innymi programami, które kojarzą się z konkretnymi twarzami.

M.K.: Muszę wspomnieć jeszcze o „Salonie dziennikarskim”, który też się znakomicie ogląda. Ten program ma swoją historię. Powstał po czystkach, które miały miejsce po katastrofie smoleńskiej. Został stworzony przy współpracy Radia Warszawa 106,2 FM na Mazowszu, potem pojawił się w TVP Info, a teraz można go oglądać w telewizji wPolsce24. Ma on ogromną widownię.

Wróćmy jeszcze do Telewizji Republika, o której wspominałeś. Widzowie sygnalizują, że nie podoba im się konflikt z tą stacją. Jest on realny czy sztucznie nagłośniony?

M.K.: To nie my ogłosiliśmy, że pluralizm w mediach po stronie konserwatywnej to wojna domowa. To nie my przetrzymywaliśmy w studiu gości, by nie mogli dotrzeć do konkurencyjnej stacji. To nie my opieramy swój projekt na dążeniu do monopolu. Mówimy tylko, że nie może być monopolu, bo wiem on zawsze szkodzi. Czasem na spotkaniach widzowie pytają: „Czy moglibyście się połączyć, tak żeby była jednak duża konserwatywna telewizja?”. I ja wtedy pytam: „Czy naprawdę chcą państwo świata jednej telewizji?”. Był kiedyś taki świat: jednej telewizji, jednej gazety. I wtedy przychodzi refleksja: „No nie chcemy, a nawet odpowiada nam, że możemy sobie wybierać



w ofercie tych stacji, decydować, która wrażliwość bardziej nam odpowiada". Niektórzy myśleli, że nas zadepczą. Z różnych stron rzucono nam kłody pod nogi, utrudniano start, próbowano blokować. Wciąż trwa wojna psychologiczna. Nie udało się. Jesteśmy, żyjemy, mamy prawo do istnienia.

M.A.: Bardzo rozczarował mnie moment emisji filmu „Przejęcie” Marcina Tulickiego. To ważny dokument. Nie tylko o nielegalnym przejęciu mediów publicznych, lecz także Prokuratury Krajowej. W tym czasie niektóre telewizje postanowiły przykryć tę premierę swoimi produkcjami. Tak postąpiła TVP w likwidacji i ku mojemu zdumieniu także Telewizja Republika, która w tym samym czasie wyemitowała bardzo dobry film Anity Gargas. A przecież można to było zrobić dzień później. Z jednej strony jest konkurencja, ale z drugiej jest też dobro wyższe, dobro Polski.

M.K.: Stacje liberalno-lewicowe nie robią sobie takich numerów, jakie robiono nam. Nie wydłużają dwukrotnie programów informacyjnych, żeby przykryć programy informacyjne innych stacji. Mimo tych wszystkich brudnych chwytów widzowie do nas przychodzą i bardzo im za to dziękujemy. W redakcji zawsze mówię: „Nie oglądamy się na konkurencję, tylko robimy jak najlepiej swoją robotę”.

Stacje liberalno-lewicowe nie robią sobie takich numerów, jakie robiono nam. Nie wydłużają dwukrotnie programów informacyjnych, żeby przykryć programy innych stacji. Mimo tych wszystkich brudnych chwytów widzowie do nas przychodzą i bardzo im za to dziękujemy

M.O.: Ja też się czasem zastanawiam nad paroma elementami tej układanki. Zostałam wyrzucona z TVP z dnia na dzień, bez uszanowania warunków umowy łączącej mnie prawnie z TVP. Do tej pory zachodzę w głowę, skąd dwójka innych znanych dziennikarzy wiedziała, że w grudniu powinni rozwiązać umowy, jeszcze przed wyłączeniem sygnału, skąd wiedzieli, co się wydarzy? Teraz są w konkurencyjnej stacji. Ja nie miałam takich sygnałów ani możliwości.

M.K.: Gdy Michał Adamczyk, Marcin Tulicki, Samuel Pereira czy ja i brat bywaliśmy na pl. Powstańców, by bronić siedziby TVP przed zaku-

sami uzurpatorów, dostawaliśmy sygnały ze źródeł, które powinny być zaangażowane w obronę, by iść do konkurencyjnej stacji. Pytania o to, kto i w co grał w tamtym czasie i w co gra teraz pozostają otwarte.

Opowiedzmy teraz czytelnikom o kulisach naszej pracy. Jak powiedział wcześniej Michał Karnowski, do małej telewizji wPolsce, która istniała wcześniej, przyszli dziennikarze z TVP, by wspólnie budować nowy projekt. Jak udało się to poukładać?

M.A.: Zostaliśmy bardzo ciepło przyjęci. Poniekąd pewnie dlatego, że znaliśmy dużo osób, które tu pracowały. Okazało się, że musimy robić ten sam program skromniej-

szymi środkami i zasobami ludzkimi oraz na mniejszej przestrzeni. Jednak to jest wielka frajda uczestniczyć w projekcie od początku. Wiemy, że za kilka lat ta telewizja będzie w zupełnie innym punkcie.

M.O.: Mnie bardzo zaskoczyła rodzinna, rodzinna atmosfera i duża przychylność wszystkich. Znałam część osób z TVP, ale nie wszystkich. Poznanie reszty zespołu było wspaniałym doświadczeniem, zostałam przyjęta jak członek rodziny, który przez chwilę był gdzieś za granicą. Wszyscy dają z siebie bardzo dużo, wykonując wiele funkcji. Przy okazji pierwszego odcinka „Teorii spiskowej” sama mu-



siałam przejąć obowiązki kierownika produkcji. To nas rozwija. Ważne jest to, że bardzo wspierają nas widzowie. Pierwszy odcinek nowego programu miał satysfakcjonujące wyniki, mimo że na powodzenie każdego programu trzeba przecież długo pracować.

M.K.: Wyniki były świetne, choć parę elementów trzeba oczywiście dopracować. Wojna z nami i próba zniszczenia nas przybiera nieraz satyryczny kształt. Plotkarskie portale uwielbiają pisać, że programy Magdaleny Ogórek źle się oglądają i Magda zaraz straci pracę, a jest dokładnie odwrotnie.

M.O.: Znamy te wojny psychologiczne z TVP. Mieliśmy świetne wyniki, a pisano, że nikt tego nie ogląda. Zresztą po przejęciu TVP, gdy odpłynęło 75 proc. widzów, okazało się, jaka była prawda. Podobnie dzieje się teraz. Pewnego dnia jeden wiodący portal plotkarski o godz. 10.00 napisał o „Salonie politycznym Magdaleny Ogórek”, że program ogląda się bardzo dobrze, bo gromadzi przed ekranami niemal 100 tys. widzów, a Magdalena Ogórek może to dopisać do listy swoich sukcesów. O godz. 16.00 ten sam portal piórem innego autora poinformował, że ten program to spektakularna porażka.

M.K.: Przyszedł cenzor i kazał zmienić wersję.

M.A.: Program „Strefa starcia” pozostał w TVP Info w likwidacji. Zmie-

Widzowie nas wspierają, za co bardzo im dziękuję, ale to jest zobowiązanie. Te pieniądze muszą być szanowane. Dostajemy je nie po to, by mieć ruchome schody czy złote klamki, ale żebyśmy patrzyli władzy na ręce

niono mu tylko tytuł. Teraz jest to „Bez retuszu”. I proszę sobie wyobrazić, że w tej naszej niewielkiej stacji z naszą „Strefą starcia” mamy znacznie lepsze wyniki od „Bez retuszu”. To jest niebywale, biorąc pod uwagę zasięgi, technologię czy możliwości promocji.

M.K.: Wróć jednak do pytania o to, jak było z tym połączeniem i nowym projektem. Powiem szczerze, że ciężko i to był jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Nie wiedzieliśmy, czy wygramy miejsce na multipleksie MUX. 2 września 2024 r. to był termin startu, mieliśmy mało czasu, toczyły się rozmowy inwestorskie. Część wyszła, część nie. Zielone światło przyszło późno. Nie byliśmy gotowi technologicznie, było dużo stresu. Uczyliśmy się. Ludzie, którzy przy-

szli z dużej TVP, to profesjonaliści, którzy jednak mieli swoje nawyki, które niekoniecznie pasowały do stacji komercyjnej. Musieliśmy się nauczyć rozmachu i zrozumieć, że duża telewizja informacyjna potrzebuje inwestycji. Musieliśmy znaleźć kompromis, musimy na siebie zarabiać. Widzowie nas wspierają, za co bardzo im dziękuję, ale to jest zobowiązanie. Te pieniądze muszą być szanowane. Dostajemy je nie po to, by mieć ruchome schody czy złote klamki, ale żebyśmy patrzyli władzy na ręce. Przed nami, a dzielą nas od tego tygodnie, powiększenie siedziby. Warunki pracy będą więc niebawem lepsze.

Dorzuć swoje trzy grosze odnośnie do tego, co usłyszałam podczas objazdu naszym telewizyjnym bussem. Podeszła do mnie starsza pani i mówi, że stale wspiera naszą stację. Powiedziała, że jutro dostanie emeryturę, więc zrobi przelew. Zapytałam, czy się nie martwi, że nie starczy jej na życie, a ona mi na to: „Pani Dorotko, ja mogę nie zjeść kotleta, ale chcę mieć wolne media”. To było wzruszające. Przy okazji przypominam, że darowiznę można przekazywać na konto: 69 1020 4900 0000 8202 3036 2577. Ale zmieńmy temat. Prowadzisz, Magdo, różne programy, każdy ma swoją specyfikę, wymaga innych umiejętności. Który jest twoim ulubionym?



M.O.: Bardzo czekałam na taki format, jak nasza nowość, czyli „Teoria spiskowa”. Mamy tu element żywiołu, nie wiemy, co się wydarzy, jak w „Studiu Polska”. Ktoś może się z kimś pokłócić, są emocje. Uwierbiałam takie nieprzewidywalne sytuacje. A wśród publiczności są ludzie o różnych poglądach, które się ścierają. Głęboko w sercu mam też „Politykę na deser”, czyli dawne „W tyle wizji”. Sama wiesz, Doroto, bo też prowadzisz ten program, jak wielką informację zwrotną dostajemy od widzów. Zawsze się wzruszałam, gdy widzowie mówili, że o godz. 21.50 jesteśmy w ich domach i z nami kończą dzień. Znów dajemy im to w telewizji wPolsce24. Dla Polaków, którzy borykają się z wieloma problemami, rosnącymi rachunkami, drożyzną, to odskocznia, balsam i wytchnienie, zamknięcie dnia.

Czasem słyszę, że jesteśmy jak „Zakazane piosenki”, że to takie odreagowanie od trudnej rzeczywistości.

M.O.: I nie jest to uśmiech uśmiechniętej Polski, tylko szczery, od serca.

M.A.: „Polityka na deser” to jedna z naszych lokomotyw, jeśli chodzi o oglądalność. Od początku świetne wyniki. Także „Salon dziennikarski”. Ostatnio

Pracujemy nad jedną rzeczą – jeśli się uda, będzie to wielkie bum. To jest ambitny projekt i moje marzenie. Coś, co wisi w powietrzu i na co wszyscy czekają. Ale więcej zdradzę w odpowiednim czasie

to było aż 4 proc. Inne lokomotywy to „Wiadomości”, „Strefa starcia”, „Tele-Ekspres”. Za chwilę lokomotywą będzie też „Teoria spiskowa”, o której już mówiliśmy. Jeżeli chodzi o mój ulubiony program jako prowadzącego, to oczywiście „Strefa starcia”. Program wymagający, ale dający dużo satysfakcji. Czekam też na „Debatę”. Mam nadzieję, że będziemy mogli zadać pytania kandydatom na prezydenta.

M.K.: A ja się najbardziej spełniam w roli komentatora oraz reportera i bardzo lubię wracać do tej reporterki. Ostatnio robiłem to przy okazji wyjazdu busem. Lubię robić relacje zza granicy. Powiem jednak coś od strony programowej. Mamy nasze lokomotywy, ale także je trzeba poprawiać, bo ocena widzów jest najważniejsza.

Teraz w zespole kierowniczym, który tworzą Jacek Karnowski, Michał Adamczyk, Marcin Tulicki, Marcin Wikło i Agata Rowińska, będziemy się koncentrować na poprawianiu słabych punktów anteny. Trudne pasmo to godz. 12–17 i tu będziemy się bić o widza. Musimy też powalczyć jeszcze o niedziele, które również są trudne. Będziemy starali się wyróżnić ten dzień. Poza tym w każdym programie będziemy szukać nowych pomysłów, nowej energii, nowych tematów. A przecież w Polsce, w której żyjemy, skandal goni skandal, dzieje się dużo zła i bezprawia. Tematów nie brakuje.

M.O.: A kłód pod nogi rzuca nam się dużo. Spójrzmy, jak traktuje nas sztab Rafała Trzaskowskiego. Jesteśmy wyrzucani z otwartych spotkań. Bardzo trudno uzyskać jakikolwiek komentarz polityków koalicji w bieżącej sprawie. A jest przecież co komentować. Jednak po „Salonie politycznym” czy „Teorii spiskowej” dostaję komentarze od polityków koalicji, że chętnie przyjdą do programu. To jest osiągnięcie.

A przecież wiemy, że członkowie rządu, nawet wiceministrowie, mają zakaz przychodzenia do nas. Jeden radny został zawieszony, inny wiceminister miał spore kłopoty po pojawieniu się w naszej stacji.

M.A.: Ale nasza redakcja jest otwarta, regularnie ich zapraszamy, o czym informujemy na antenie. Zawsze aktualne jest zaproszenie dla premiera Donalda Tuska. Jeśli ktoś mówi, że nie jest tu zapraszany, to mija się z prawdą. To kłamstwo było powielane jeszcze w TVP. Przedstawiciele dzisiejszego obozu władzy twierdzili, że nie byli zapraszani, a po prostu odmawiali przychodzenia.

M.K.: Ta sytuacja niestety dużo nam mówi o tym, jak władza wyobraża sobie świat. Chcieliby wyłącznie mediów przyklaskujących, konferencji bez trudnych pytań, bez krytycznego głosu. Przecież nigdy nie przekroczyliśmy żadnej granicy, po prostu zadajemy pytania. Ale im przeszkadza nawet platforma X. To znaczy, że obrona wolności jest ważna, bo ta wartość jest realnie zagrożona, a nigdy nie była zagrożona za poprzedniej władzy. Politycy Zjednoczonej Prawicy byli

drapieżnie przepytывani na każdej konferencji przez dziesiątki dziennikarzy. A dziś po prostu dziennikarzy nie wpuszcza się na konferencje. Tak się łamie zasadę równości w traktowaniu podmiotów gospodarczych czy swobodnego dostępu do źródeł informacji. A to jest niezgodne z prawem.

M.A.: A to przecież my mówimy dziś o kwestiach, o których milczy medialny mainstream. Pierwsza z brzegu sprawa, jakże ważna – podrzucanie nam nielegalnych migrantów przez Niemcy. Nigdzie się o tym nie mówi. A sprawa przyspiesza, są konkretne polityczne deklaracje z niemieckiej strony, są fakty. Mamy bardzo odważnych reporterów, którzy nie poddają się mimo zmywu milczenia: Szymon Szereda, Piotr Czyżewski, Stanisław Pyrzanowski, Rafał Jarząbek.

Porozmawiajmy jeszcze o busie wPolsce24, który wyruszył w objazd po kraju. Skąd ten pomysł i czego oczekują widzowie?

M.K.: Ten bus to odpowiedź na potrzeby Polaków. Mieliliśmy mnóstwo sygnałów, że widzowie chcą się z nami spotykać, a ta władza próbuje zastraszyć ludzi, przekonać ich, że są sami w swoich poglądach. Jest więc głód bycia razem, spotkania. My też potrzebujemy usłyszeć, że jesteśmy potrzebni, a to właśnie mówią z troską o los Polski obywatele. Ta troska jest bardzo silna, a nasi widzowie to bardzo mądry ludzie, którzy szukają prawdy, głęboko analizują rzeczywistość i boją się utraty dorobku kraju ostatnich lat. Martwią się o przyszłość dzieci i wnuków. Słychać społeczny alarm, że źle się dzieje i Polacy szukają nadziei, że wróci normalność i jeszcze będzie dobrze. Oczywiście jest to też promocja naszej stacji, prosimy, by mówiono o nas innym, że jesteśmy, że nas nie uciszą. Pozyskujemy też informacje o tym, gdzie nie można nas oglądać. Reagujemy od razu. Bycie z ludźmi jest istotą dziennikarstwa. My po prostu lubimy ludzi i chcemy być blisko nich.

M.O.: To ogromna energia, którą dostajemy. Siedząc przed kamerą, nie widzimy widzów, a spotkania dają nam taką możliwość. To serce, które okazują nam widzowie (a które dałam w swoim

podpisie widniejącym na busie) jest ogromne i daje siłę do pracy. Zawsze jest mnóstwo pozdrowień dla całego zespołu. Ludzie przekazują nam rysunki, swoje wiersze, pamiątki, ściskają, przytulają. Wracamy z tą energią do domu. Aż chce się żyć i pracować.

M.A.: Te spotkania są potrzebne i nam, i widzom. Pojawiają się prośby o nagranie filmiku z pozdrowieniami dla kogoś z rodziny, pytania o nowe produkcje.

Na koniec, skoro widzowie pytają, uchylmy rąbka tajemnicy o planach na przyszłość. Czy nie za dużo zmian zachodzi na antenie? Widzowie lubią przecież pewną stabilizację.

M.A.: Rewolucyjne zmiany nie są wskazane, ale przecież jesteśmy na początku drogi i musimy się zmieniać. Zmian będzie coraz mniej, ale będziemy dopracowywać konkretne produkcje. Największa, która się dokonała, to wprowadzenie formatów z udziałem publiczności, o czym już mówiłem. To jest serce telewizji. Oczekiwania są różne. Ktoś chce pro-

gramów o tematyce międzynarodowej, ktoś poradników zdrowotnych. Te wszystkie pomysły to zawsze początek redakcyjnej burzy mózgów.

M.K.: Stacja, która powstaje, nie ma idealnej ramówki, więc musimy się zmieniać. Niektóre nasze intuicje były trafione, inne nie, zmieniają się oczekiwania, robimy badania. Zmiany powodują też napięcia wewnątrz zespołu, ale są nieuniknione. Dochodzimy do momentu, w którym zmian będzie mniej, antena jest coraz bardziej dojrzała. Ale ta praca nigdy się nie kończy, kto się nie zmienia, stoi w miejscu.

M.O.: Chcę się teraz skupić na dopracowaniu „Teorii spiskowej”, zależy mi na jasnym komunikacie, że jest tam miejsce dla ludzi o wszystkich poglądach. To miejsce do szerokiej wymiany myśli.

M.K.: Pracujemy nad jedną rzeczą – jeśli się uda, będzie to wielkie bum. To jest ambitny projekt i moje marzenie. Coś, co wisi w powietrzu i na co wszyscy czekają. Ale więcej zdradzę w odpowiednim czasie.



Rozliczasz PIT?

Przekaz 1,5% podatku
na rozwój patriotycznych mediów!

KRS0000053057 Cel szczegółowy: rozwój mediów

WESPRZYJ wPolsce24!

Zbiórka przez Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej
Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

AUTOPROMOCJA



Pan banałów

To, że Rafał Trzaskowski nie lubi się przemęczać, jest wiedzą powszechną. Ale można się było spodziewać, że chociaż do wiecowych przemówień bardziej się przyłoży. Nic z tych rzeczy. Objeżdża kolejne miasta, powtarzając te same zdania wypchane pustostłowiem i fałszami. Analizujemy kampanijną retorykę kandydata Tuska na prezydenta



MAREK PYZA

Zadałem sobie trud uważnego przesłuchania siedmiu wystąpień Rafała Trzaskowskiego z ostatnich dni kampanii. To przemówienia wygłoszone pomiędzy 28 lutego

a 12 marca w Radomsku, Mielcu, Rzeszowie, Mikołowie, Pyrzycach, Gorzowie Wielkopolskim i Zielonej Górze.

Są jak ze sztancy, wyuczone i powtarzane, z tymi samymi manipulacjami, kłamstwami, a nawet bon motami, które w kolejnych odsłonach robią coraz bardziej żenujące wrażenie.

Wszystkie koncentrują się na bezpieczeństwie. W ten sposób wiceprzewodniczący Platformy utrwała wykreowany specjalnie na tę kampanię swój najnowszy wizerunek, udając twardego polityka, gorliwego patriotę, odwiecznego

rusofoba skupiającego się na sprawach obronności. Jak to robi?

ŻABA PODSTAWIA NOGĘ

Na początek warto zapytać, dlaczego hymn narodowy był śpiewany tylko na tych spotkaniach z Trzaskowskim, które odbywały się na Podkarpaciu. Czy był to w istocie tandetny zabieg obliczony na zyskanie sympatii w regionie tradycyjnie nastawionym bardziej konserwatywnie? Dlaczego od „Mazurka Dąbrowskiego” nie zaczęły się imprezy

prezydenta Warszawy na Śląsku czy w Lubuskiem? Czyżby uznano, że tam najważniejsza polska pieśń Trzaskowskiemu nie pomoże, a zaszkodzi?

„Dziwny jest ten świat” – ten wyświechtany cytat z Czesława Niemena otwiera spotkania Rafała Trzaskowskiego i wprowadza słuchających w temat bezpieczeństwa, które kandydat PO uznaje dziś za sprawę najważniejszą. To otwarcie kłamry, którą zamyka, kończąc wystąpienia passusem: „I czym bardziej dziwny jest ten świat, tym bardziej potrzebujemy normalnych, odpowiedzialnych polityków” (w domyśle: jego).

„Czujecie się bezpiecznie?” – tym pytaniem lubi nawiązać pierwszy kontakt z publicznością. Gdy zgromadzeni na rynku w Mikołowie odpowiedzieli gromkim: „Nie!”, Trzaskowskiego nieco zbiło to z pantafiku. Cóż to bowiem oznacza? Że pod rządami jego partii Polacy obawiają się o swoje jutro. Kandydat musiał więc szybko ratować sytuację: „Ja uważam, że trzeba uspokajać. Jesteśmy bezpieczni. Wykonaliśmy swoją pracę. W czasie, gdy inni jej nie wykonywali, my w Polsce pracę wykonaliśmy. Zabezpieczyliśmy granicę i zabezpieczyliśmy się na każdą ewentualność”. Taka konstatacja powtarza się wszędzie, gdzie występuje Trzaskowski.

Ale kto wykonał tę pracę? Czy on sam? Nie, na szczęście nigdy nie decydował o polskim bezpieczeństwie. Może więc jego partia? Też nie, bo gdy rządziła, zmniejszała armię, likwidowała jednostki wojskowe, cięła wydatki, a bronić się przed agresorem chciała na linii Wisły. To okres rządów Zjednoczonej Prawicy przyniósł skokowe zwiększenie liczebności naszych sił zbrojnych i olbrzymie zakupy sprzętu. Opozycja to torpedowała, kpiąc z tworzenia Wojsk Obrony Terytorialnej, podważając sensowność wielkich kontraktów podpisywanych z USA i Koreą Południową. Głosowała przeciw nawet w sprawie budowy zapory na granicy z Białorusią w najgorętszym okresie hybrydowego ataku na Polskę.

„Na szczęście ostatnie lata nie zostały zmarnowane i przynajmniej co do wzmacniania naszej armii mieliśmy zgodę w Polsce” – mówi dziś Trzaskowski, a powyższe fakty pokazują, jak kiepskie ma mniemanie o inteligencji i pa-mięci słuchających.

„Od prezydenta Wałęsy do prezydenta Dudy wszyscy prezydenci mówili jednym głosem, jeśli chodzi o nasze członkostwo w NATO, o silną politykę obronną” – to kolejna teza powtarzana przez Trzaskowskiego przy każdej okazji. Ale znów nieprawdziwa, bo przecież prezydentura Wałęsy to m.in. półtora roku forsowania pomysłu budowy NATO-bis i EWG-bis, a także parcie do tworzenia polsko-rosyjskich spółek joint venture na terenach jednostek wojskowych, w których stacjonowali w naszym kraju żołnierze radzieccy.

Polityka obronna w czasach Bronisława Komorowskiego też pozostawiała

Rafał Trzaskowski to niezły bajerant. Potrafi nauczyć się przemówienia i nieźle je odegrać, mówić ze swadą, kiedy trzeba – przyaktorzyć, rzucić dowcipem, wystrzelić serią kalumnii wymierzonych w Prawo i Sprawiedliwość, by spuwentować ją apelem o... niemówienie o PiS

wiele do życia. Wtedy przecież powstała w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego strategia bezpieczeństwa, która nie wskazywała na jakiegokolwiek zagrożenie ze strony Rosji. Bo Komorowski go nie widział, dlatego zapraszał na 20-lecie BBN Nikołaja Patruszewa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej i byłego szefa FSB (następczyni KGB).

Mówiąc o polskiej armii, nie wiedzieć czemu Trzaskowski regularnie posługuje się historycznym kłamstwem. Szkoda, że samorządowiec zarządzający polską stolicą nie czyta tygodnika „Sieci”. Gdyby czytał, już od dwóch tygodni przestałby się kompromitować

powtarzaniem do znudzenia twierdzeniem, że polskie wojsko nigdy w historii nie było większe od niemieckiego czy brytyjskiego. Napiszmy więc jeszcze raz, może teraz jakoś to do niego dotrze i przestanie robić ludziom wodę z mózgu – w dwudziestolecie międzywojennym Wojsko Polskie było liczniejsze zarówno od Reichswehry, jak i armii brytyjskiej.

Gorsze od braków w wiedzy historycznej jest to, co planuje Trzaskowski. A okazuje się zwolennikiem rezygnacji z całościowego wzmacniania naszych sił zbrojnych. Tak mówił o polityce zakupowej w Europie: „Kupujemy sprzęt tak, jakbyśmy nie byli jedną potęgą, duplikujemy swoje zdolności obronne, bo każdy

jednak do tej pory przede wszystkim myślał o tym, jak wzmacniać swój kraj. Gdybyśmy to robili jako Europejczycy, wspólnie planowali kupowanie sprzętu, kupowali ten sprzęt razem, byłoby taniej i sensowniej. Razem byśmy zintegrowali swoje zdolności obronne, byłibyśmy dużo bardziej efektywni”.

To *de facto* postulat budowy europejskich sił zbrojnych i przepis na uzależnienie się w razie „W” od innych państw Starego Kontynentu. Trzaskowski nie nauczył się jeszcze, że sojusznicy w Europie zawodzą i nawet ostatnie trzy lata wojny ich nie otrzęźwiły.

PLAN WIDMO

„Potrzebny jest prezydent, który nie będzie podburzał emocji, ale będzie miał plan” – mówił w Gorzowie, lecz moglibyśmy przyporządkować ten cytat do każdego innego wystąpienia, bo we wszystkich podkreślał, jaki ma świetny plan. Tyle tylko, że go jeszcze nie przedstawił.

Chyba że za masterplan uznamy zestaw marzeń i pustych zdań o tym, co „trzeba” – rozwijać przemysł, wzmacniać wojsko i sojusze oraz sprzedawać na świecie polskie nowoczesne technologie, w których rzekomo liderujemy.

Gdy w Rzeszowie rzucił hasło budowy nowego Centralnego Okręgu Przemysłowego, wydawało się, że za

chwile padną konkretne pomysły – jakie zakłady, gdzie i w jaki sposób mają powstawać. Zamiast tego usłyszeliśmy podsumowanie ostatnich wycieczek Trzaskowskiego, w czasie których dowiedział się, że w Polsce jeszcze funkcjonuje jakiś przemysł: „Byłem w Stalowej Woli, wcześniej w Bełchatowie w łódzkim, w zagłębiu miedziowym i widzę dumnych ludzi, którzy walczą o miejsca pracy, którzy chcą, aby ich zakład się rozwijał, aby nie było tak, jak w latach 90. Ci wszyscy ludzie, którzy walczą o swoje miejsca pracy, pokazują nam dumę, godność, od nich możemy się uczyć”.

Ale się nie uczycie! Co Trzaskowski powie zwalnianym każdego tygodnia setkom pracowników kolejnych zamykanych zakładów? Co z 8 tys. pracowników Poczty Polskiej, którzy mają trafić na bruk? Co z zostawionymi na lodzie 700 pracownikami raciborskiej spółki Rafako, której upadłość w grudniu ogłosił sąd?

Na konferencji w Katowicach Trzaskowski był pytany o obietnicę Tuska z 2023 r. uratowania Rafako i wiarygodność Platformy oraz jego samego. „Moja? A ja coś obiecywałem w tej sprawie? O moją wiarygodność trzeba pytać warszawiaki i warszawiaków” – dość beczelnie odpowiedział kandydat na prezydenta. Ale skoro tak mu zależy, to przejdźmy do Warszawy.

W Mielcu Trzaskowski przekonywał: „Jeśli na serio mówimy o bezpieczeństwie, to również umocnienia, schrony, które powinny być w każdej gminie i są na to pieniądze. [...] W Finlandii byłem oglądać ich schrony, robią to najlepiej na świecie, my też możemy to robić. Schron w każdej gminie pokaże, że jesteśmy odporni, że budujemy możliwość odstraszenia w każdym możliwym aspekcie”.

Super! Szkoda, że nie dodał, ile tych schronów (na które „są pieniądze”) zbudował w stolicy przez 6,5 roku swojego urzędowania. Niech pokaże chociaż jeden! Nie pokaże i nawet koalicjanci z lewicy publicznie drwią z niego w tej sprawie. Ale jeszcze ciekawsze jest to, po co są nam te schrony. Otóż one będą... odstraszać Putina!

„Jeśli będą schrony i zabezpieczenie infrastruktury krytycznej, to nas się nie da zdestabilizować i każdy się dwa razy zastanowi, zanim nas zaatakuje” – mawia

prezydent Warszawy. Wyobrażają sobie państwo naradę w rosyjskim sztabie generalnym i konstatację: „Polaków już nie mamy co atakować, oni mają schrony...”. Inna sprawa, że tych schronów nie mamy.

W Rzeszowie był jeszcze bardziej buńczuczny: „Nie chodzi o to, by kogokolwiek straszyć, bo my jesteśmy bezpieczni. Inwestowaliśmy pieniądze w swoją obronność. Jeśli Putin połamal

„Czujecie się bezpiecznie?”

– tym pytaniem lubi nawiązać pierwszy kontakt z publicznością. Gdy zgromadzeni na rynku w Mikołowie odpowiedzieli gromkim: „Nie!”, Trzaskowskiego nieco zbiło to z pantafelów. Cóż to bowiem oznacza? Że pod rządami jego partii Polacy obawiają się o swoje jutro

sobie zęby na Ukrainie, to się trzy razy zastanowi, zanim zaatakuje kogoś, kto jest tak gotowy jak my, kto ma taką armię, kto ma takie przygotowanie i kto ma tak zabezpieczoną granicę jak Polska. Trzy razy się zastanowi!”. Zabrakło tylko dopowiedzenia czegoś o wgniataniu Putina w ziemię. Komedia byłaby dopełniona. Ruski dyktator ani nie połamal sobie bowiem zębów na Ukrainie, ani nie ma dziś podstaw do obaw, że jego żołdacy dostaliby łupnia za Bugiem.

WIELKI POWRÓT? WIELKA ŚCIEMA

Podróże kształcą. Wiceprzewodniczący Platformy też się o tym przekonał. Kilka wycieczek zorganizowanych przez jego sztabowców pozwoliło mu się dowiedzieć, że polskie firmy produkują drony

(wizyta w WB Electronics musiała zrobić na nim wrażenie, bo wspomina tę spółkę na lewo i prawo), że kilku naszych naukowców uczestniczyło w projektowaniu ChatGPT, często zachwala też łódzką firmę Digica, której technologia z wykorzystaniem sztucznej inteligencji pozwala szybko analizować zdjęcia rentgenowskie samochodów i chronić granicę amerykańsko-meksykańską.

To wszystko warte odnotowania osiągnięcia, ale jednak jednostkowe, wcale nie-sprawiające, że Polska stała się potęgą technologiczną. Trzaskowski widzi to inaczej: „Pokazywać Trumpowi i innym jedno: kochany panie prezydencie, opłaca się robić biznes z Polską [...] mamy swój przemysł, swoją sztuczną inteligencję, swoje technologie, chętnie się nimi podzielimy” – mówił w Rzeszowie.

Opowiadał też o swoim pomysle (na razie ogranicza się on wyłącznie do hasła) „wielkiego powrotu”, czyli tworzenia zachęt do powrotu do Polski naukowców pracujących na Zachodzie.

W Mielcu przekonywał: „Nie mamy się czego wstydzić – nasze uczelnie, również te na Podkarpaciu, są rewelacyjne”.

Zakłęcie, jak to zakłęcie – brzmi ciekawie, ale z prawdą ma niestety niewiele wspólnego. W najbardziej prestiżowym rankingu szanghajskim najwyższą klasyfikowaną polską uczelnią (Uniwersytet Jagielloński) znajduje się w 4. setce, a żadna z podkarpackich nie mieści się w pierwszym tysiącu rankingu.

Najważniejsze, że rektor Uniwersytetu Rzeszowskiego może być zadowolony po tym występie. To w końcu kolega z klasy żony Trzaskowskiego. W czasie kampanii europejskiej zabronił organizowania na uczelni spotkania szykowanego przez EKR z udziałem Daniela Obajtka. Rektor tłumaczył się apolitycznością uczelni, ale w kampanii prezydenckiej gościł Trzaskowskiego i chętnie się z nim fotografował.

O jakich zachętach dla akademików mówimy, skoro w obszarze nauki za-

plecze polityczne Trzaskowskiego wygenerowało tyle skandali w kilkanaście miesięcy? Wymieńmy tylko dekapitację zajmującej się sztuczną inteligencją spółki IDEAS NCBR, zabranie pieniędzy na komputer kwantowy, szantażowanie rektorów czy przypadki nepotyzmu na uniwersytetach.

MARZENIE O ŻÓŁTYM FOTELU

Wróćmy do polityki międzynarodowej. Tu kandydat Platformy na najwyższy urząd w państwie kreuje się wręcz na zbawcę narodu – rzekomo jedynego w stawce, który ma doświadczenie, kontakty (szkoda, że nie w tej ekipie, która właśnie przedstawia cały świat), no i umie się dogadać.

Cytat z Radomska: „Jeżeli Trump będzie prowadził politykę taką, jaką chce prowadzić – wprowadzając cła, oddzielając się od nas, to tylko tłumaczyć mu możemy w ten sposób: jesteście potęgą gospodarczą, kupujemy twoje produkty, a ty chcesz kupować technologie od nas. I wtedy on zupełnie zmienia swoje podejście do rozmówcy. [...] Chcesz z nami rozmawiać? Proszę cię bardzo, ale my jesteśmy jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek. My jesteśmy państwem, które ma technologie, które są tobie potrzebne. [...] Jak ja bym rozmawiałem z Trumpem, to bym powiedział: »Słuchaj, Donald, dzięki naszej technologii jest realizowane twoje marzenie« [o ochronie granicy – to znów nawiązanie do produktu firmy Digica – przyp. red.]”.

Trzaskowski już widzi siebie w gabinecie owalnym. Chętnie wraca do głosnej rozmowy Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zelenskim w Białym Domu. Za każdym razem mówi o żółtych fotelach i podkreśla, jak wybitnie zachował się w tym anturazju jego przyjaciel Emmanuel Macron, smyrając gospodarza spotkania po nodze: „[...] wiedzieć, co robić – prezydent od tego jest. Nie od tego, żeby nerwowo chodzić po pokoju w lewo i w prawo, tylko żeby na serio wiedzieć, co robić. Że jak już się siedzi na tym żółtym fotelu, to jak prezydent Macron – rozparty, zadowolony. Tak się pokazuje siłę, nawet za kolano można prezydenta Trumpa złapać”.

Wspomnienie Macrona pełni w przemówieniach Trzaskowskiego jeszcze jedną

funkcję – pozwala nawiązać do umiejętności lingwistycznych. Na każdym spotkaniu kandydat podkreśla, jak to pisowcy drwią z jego znajomości francuskiego. Chyba jednak musi go to uwierać, skoro tak często do tego wraca. Albo po prostu sprytnie się chwali, że taki światowy.

Najczęściej robi to, budując kontrę do Karola Nawrockiego, którego próbuje zohydzać słuchającym, uparcie zestawiając go tylko z hantlami, siłownią czy robieniem pompek. Nic dziwnego, że popierany przez PiS kandydat na jednym z wieców nie pozostał dłużny, stwierdzając, że „Donalda Trumpa nie będą interesować moje hantle czy pana pilnik do paznokci i zestaw do makiżażu w pana kosmetyczce [...] Donalda Trumpa będzie interesować to, że jak spotka się z Karolem Nawrockim, to spotka się z człowiekiem, który reprezentuje interes Polek i Polaków. Jak

„Potrzebny jest prezydent, który nie będzie podburzał emocji, ale będzie miał plan” – mówił w Gorzowie, lecz moglibyśmy przyporządkować ten cytat do każdego innego wystąpienia, bo we wszystkich podkreślał, jaki ma świetny plan. Tyle tylko, że go jeszcze nie przedstawił

spotka się z tobą, to będzie wiedział, że spotyka się z zastępcą Tuska, który mu ubliżał”.

Przemówienia Trzaskowskiego nieco się zmieniły wraz z przenosinami jego kampanii do Lubuskiego. Tam elektorat jest wierniejszy, więc można było sobie pozwolić na zrzucenie maski i przypomnienie, kim się jest naprawdę. „Obiecaliśmy zmianę tego prawa średniowiecznego antyaborcyjnego. Ja wam obiecuję, że nie odpuszczę!” – deklaro-

wał w Zielonej Górze. Tam też przedstawił jedyne (innego nie podał) rozwiązanie problemu demograficznego, na jakie wpadł. To oczywiście metoda in vitro, która wywołuje w Trzaskowskim nadspodziewanie silne emocje („Mam dreszcze za każdym razem, kiedy dostaję informację, że rodzą się kolejne dzieci”). Tyle że kontrowersyjna metoda zapłodnienia wcale nie rozwiązuje problemów z malejącą liczbą urodzeń w Polsce. Po wprowadzeniu państwowej refundacji w ciążę poprzez in vitro zaszło niespełna 7 tys. kobiet. To nie jest liczba mająca znaczenie demograficzne w skali kraju (252 tys. urodzeń w 2024 r.).

Na koniec warto przytoczyć scenkę z Pyrzyc, bo takich ustawek zapewne będzie się pojawiać tym więcej, im bliżej do wyborów. Do mikrofonu podchodzi kilkuletnia Amelka: „Panie prezydencie, ja się chciałam zapytać, czy ja, mój

brat, siostra, kuzyni i kuzynki, wszystkie inne dzieci w Polsce, gdy pan zostanie prezydentem, będziemy mogli czuć się bezpiecznie?”. Nasz bohater oczywiście zadeklarował, że dzieci będą mogły się czuć bezpiecznie na 100 proc., a jego sztabowcy chyba nie poczuli, że wykorzystywanie małych na politycznym wiecu może być nie na miejscu.

Rafał Trzaskowski to niezły bajerant. Potrafi nauczyć się przemówienia i nieźle je odegrać, mówić ze swadą, kiedy trzeba – przyaktorzyć, rzucić dowcipem, wystrzelić serią kalumnii wymierzonych w Prawo i Sprawiedliwość, by spuwentować ją apelem o... niemożliwość o PiS. Zapatrzeni weń zwolennicy

mają pewne powody, by sądzić, że jest elokwentny, umiarkowany i mądry.

Gorzew, gdy ktoś chce usłyszeć konkretny pomysł na rozwiązanie jakiegoś problemu. Wtedy na scenie pozostaje nagi prestidigitator, z jednej strony deklarujący pełną współpracę z gabinetem swojego szefa, a z drugiej przedstawiający wizję Polski, której obecne rządy są zaprzeczeniem.

Ukraińcy wybrali sobie na prezydenta aktora. My nie musimy. 



Pilnujcie wyborów, pilnujcie wolności

Polska była poligonem w sferze bezprawnego używania środków policyjnych i prokuratorskich wobec sił politycznych nie lubianych przez establishment. Rumunia jest z poligonem w obszarze możliwości otwartego zablokowania wyborów, odebrania ludziom prawa głosu, zakwestionowania demokracji

*Michał Karnowski rozmawia z **George'em Simionem**, liderem rumuńskiej partii AUR, która należy do grupy politycznej Europejskich Konserwatystów i Reformatorów*

Wydarzenia w Rumunii zszokowały polskich patriotów. Najpierw unieważnienie pierwszej tury wyborów przez Sąd Najwyższy, bo wygrał ją niespodziewanie Călin Georgescu, kandydat niepopierany przez establishment. Następnie spektakularne zatrzymanie tego polityka przez policję, postawienie zarzutów, wykreślenie jego kandydatury. Jak by pan podsumował, nazwał te wydarzenia?

Georg Simion: To jest zamach stanu przeprowadzany przez aktualny establishment, który, jak się okazało, nie uznaje demokracji, nie przestrzega naszej konstytucji i prawa, w ogóle nie wyobraża sobie pokojowego przekazania władzy. Oni *de facto* ogłosili, że nigdy nikomu nie oddadzą władzy i wola rumuńskiego narodu nic dla nich nie znaczy. Nie możemy się na to zgodzić. Călina Georgescu można lubić lub nie, można cenić lub nie mniej, można cenić lub nie prezydenta Donalda Trumpa, ale ludzie mają prawo wybrać tego, kogo uważają za najlepszego kandydata!

Twierdzą, że Călin Georgescu to „zagrożenie dla demokracji”.

Establishment nauczał wszystkich, na czym polega demokracja, a sam właśnie odrzuca jej podstawową zasadę: wybory wygrywa ten, kto zdobył najwięcej głosów. Wyborów nie można anulować, jeśli komuś nie podoba się wynik. Było mi przykro, że nie wszedłem do II tury wyborów prezydenckich, ale natychmiast zaakceptowałem wolę ludzi. Oni podeptali wszelkie zasady. Wedle naszej konstytucji człowiek ma prawa wyborcze nawet w więzieniu, a oni bez żadnej podstawy uznali zwycięzcę pierwszej tury wyborów za „zagrożenie dla demokracji”. W rzeczywistości to oni są tym zagrożeniem. Wolę narodu i wybory chcą zastąpić zasadą, że rządzi ten, kogo wskazuje przez telefon Ursula von der Leyen. Nie, tak nie będzie!

W obecnej sytuacji zdecydował się pan kandydować?

Tak, z poparciem Călina Georgescu. Nasze poglądy nie są zgodne we wszystkich sprawach, ale obaj uznaliśmy, że w tej trudnej sytuacji to najlepsza formuła obrony naszych praw. Zjednoczeni wytrwamy i zwyciężymy. Obywatele Rumunii chcą zmian, są niezadowoleni ze stanu spraw w kraju, nie ufają obecnemu establishmentowi. I co go najbardziej przeraża – w ogóle nie słuchają już największych telewizji. Wiarygodność tych polityków w oczach zwykłych ludzi jest zerowa. To ma swoje polityczne konsekwencje. W moim kraju większe niż gdzie indziej.

Krzyczą, że Elon Musk dokonuje „ingerencji” w proces demokratyczny. Nawet jeśli, to jemu nie wolno, a pani Ursuli von der Leyen już tak?

Dlaczego?

Musimy sięgnąć do historii. W Rumunii nie było okrągłego stołu jak w Polsce czy aksamitnej rewolucji jak w Czechosłowacji. U nas była bardzo krwawa rewolucja. Wtedy po raz pierwszy zastosowano manipulację telewizyjną na wielką skalę, władza trafiła w ręce ludzi z kręgu dyktatora Ceaușescu, którzy po jego upadku zbudowali patologiczny system z ogromnymi wpływami ludzi z tajnej służby Securitate. Członkowie okrutnego komunistycznego reżimu nagle nazwali się „demokratami” i zaczęli budować „demokrację” oraz „kapitalizm”. Byliśmy wtedy głodni, biedni i dość głupi, by właściwie rozeznaczyć w tym, co się dzieje. Stacje telewizyjne długo zapewniały tym ludziom bezkarności, chroniły ich i niszczyły wszystkich pragnących zmian w kraju. Ale to już nie działa. Gdy w telewizji mówią, że coś jest czarne, ludzie wiedzą, że zapewne jest białe.

Sam bardzo aktywnie pan posługuje się mediami społecznościowymi. To odpowiedź na dyktat tradycyjnych mediów lewicowo-liberalnych?

Korzystam z każdego sposobu dotarcia do moich rodaków, organizuję bardzo wiele bezpośrednich spotkań. Media społecznościowe bez wątpienia zmieniły reguły gry, dały tlen nowym inicjatywom, głos zwykłym ludziom. Dlatego establishment cały czas myśli o ich cenzurowaniu, chce zamykać portale, których nie kontroluje. Krzyczę, że Elon Musk dokonuje „ingerencji” w proces demokratyczny. Nawet jeśli, to jemu nie wolno, a pani Ursuli von der Leyen już tak?

Pieniądze miliardera Sorosa pakowane w promowanie lewicy na całym świecie to z kolei wychwalana „aktywność obywatelska”. Podobnie jak lewicowych administracji amerykańskich, które, jak się okazało, milionami dolarów finansowały lewicowe organizacje w Polsce.

Nazywają go wręcz „filantropem”. To są wszystko podwójne standardy. W uczciwych warunkach, przy zbalansowanych mediach i takim samym finansowaniu każdej strony, ci ludzie by nie wygrali, dlatego zakładają blokadę, używają wsparcia z zewnątrz.

Też wierzę, że ludzie tak łatwo nie oddadzą wolności osobistej i niepodległości swoich państw. Jak Rumunii przyjęli sytuację, w której próbuje się im odebrać prawo wyboru?

Ludzie są przede wszystkim zawstydzeni. Pytają mnie: „Czy już jesteście republiką bananową?”. Każdy czuje fałsz tych wszystkich argumentów. W naszej konstytucji są mechanizmy kontrolne, można pozbawić władzy nawet prezydenta, jeśli oszaleje lub udowodni mu się zdradę. Ale nie są w stanie zrobić nic takiego, zdecydowali się więc na brutalną przemoc pod nędną przykrywką „sądowej decyzji”.

Dla nas, Polaków, też jest szokiem, jak po wyborach w 2023 r. nowa ekipa bezczelnie sięgnęła po bezprawie, przemoc, rządy policyjne w wielu obszarach. Widzi pan jakieś podobieństwa między naszymi krajami?

Tak. Polska była poligonem w sferze bezprawnego używania środków policyjnych i prokuratorskich wobec sił politycznych nie lubianych przez establishment. Rumunia jest z kolei poligonem w obszarze możliwości otwartego zablokowania wyborów, odebrania ludziom prawa głosu, zakwestionowania demokracji. Jeśli nie będzie sprzeciwu i oporu, są gotowi powtórzyć to także w Polsce. Dlatego apeluję do Polaków: pilnujcie wyborów, nam je ukradli. Apeluję też do Bułgarów, Włochów, Niemców. Bo wolność każdego narodu jest dziś zagrożona.

Wolnych Rumunów mocno wsparł wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance, który na konferencji w Monachium powiedział: „Przeraża mnie, że były komisarz europejski niedawno wystąpił w telewizji i mówił zachwycony, że rząd rumuński właśnie unieważnił całe wybory. Ostrzegam, że jeśli sprawy nie pójdą zgodnie z planem, to samo może się zdarzyć w Niemczech. Takie oświadczenia tak lekko wygłaszane są szokujące dla amerykańskich uszu” – stwierdził. Czy w Rumunii usłyszano ten głos?

Oczywiście! Był to dla wolnych Rumunów moment wielkiej satysfakcji i moralnego wsparcia. Walczymy przecież o nasze prawa, o sprawiedliwość i oto przedstawiciel największej demokracji na świecie mówi nam – tak, macie rację, dzieje się zło.

Jesteście w kontakcie z ekipą Donalda Trumpa?

Wszyscy europejscy konserwatyści z sympatią patrzą na walkę Donalda Trumpa, który, przypomnę, o mało nie został zamordowany, a wcześniej był prześladowany. Jesteśmy zatem w oczywisty sposób w kontakcie z ekipą nowego prezydenta, gościliśmy ludzi z tego środowiska na naszych konferencjach MEGA – Make Europe Great Again, nawiązującego do słynnego hasła MAGA. To są świetni, odważni i dzielni ludzie.

A jak na mowę Vance’a zareagował rumuński establishment?



Establishment nauczał wszystkich, na czym polega demokracja, a sam właśnie odrzuca jej podstawową zasadę: wybory wygrywa ten, kto zdobył najwięcej głosów. Wyborów nie można anulować, jeśli komuś nie podoba się wynik

dzieci nie ma przyszłości, umieramy jako narody. Rumunia jest dziś kolonią, gdzie te wszystkie niemądre pomysły są kopiowane. W wielu krajach rządzą po prostu ludzie z sieci Sorosa. Ta sieć jest dziś wściekła, że utraciła kontrolę nad Stanami Zjednoczonymi i boi się podobnej porażki na Starym Kontynencie.

Wiem, że ma pan w Polsce wielu przyjaciół, odbywa dużo spotkań. Spotykał się pan ostatnio z prezydentem Prawa i Sprawied-

liwości Jarosławem Kaczyńskim, byłym premierem Mateuszem Morawieckim i innymi politykami PiS. Obserwuje pan kampanię dr. Karola Nawrockiego. Jak pan ocenia jej przebieg i szanse tego kandydata?

Z Karolem Nawrockim łączą mnie nie tylko poglądy na wiele spraw, lecz także fakt, że obaj jesteśmy historykami. Uważnie przestudiowałem historię Polski, z dużym zainteresowaniem czytałem o marszu Józefie Piłsudskim, przedwojennym sojuszu polsko-rumuńskim, naszych zmaganiach o utrzymanie niepodległości w czasie, gdy wiały potężne

Jak widzieliśmy, jeden z prowadzących to spotkanie po prostu się popłakał. Wiceprezydent Vance mówił nie tylko do establishmentu rumuńskiego, lecz także do wszystkich grup rządzących dziś Unią Europejską. Pokazał im, jak są niekonsekwentni i słabi, jak ciągną naszą wspólnotę w dół, choćby przez oszustwo tzw. Zielonego Ładu. Przecież ci ludzie chcą zamordować nasz przemysł, miejsca pracy, chcą, byśmy wrócili do ery pierwotnej bez samochodów i podróży samolotami. Promują chore tezy, że aby chronić planetę, nie możemy mieć dzieci. To przecież jest koniec cywilizacji. Bez

wiatry historii. Choćbyśmy chcieli, nie uciekniemy od wspólnoty losów: patrzysz na Rumunię i widzisz wątki polskie, spoglądasz na Polskę i dostrzegasz podobieństwa do sytuacji rumuńskiej. Oczywiście nie zawsze, nie wszędzie, ale bardzo często. Ale wracając do kampanii wyborczej: u was głównym kandydatem lewicy jest prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, a w Rumunii burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan.

Podobni?

I to jak! Jest dla mnie szokujące, jak oni są do siebie podobni, jak z jednej matrycy. Jakby ktoś ich zaprojektował. Obaj popierają i promują LGBT+, nie lubią patriotów, obu wspierają rozmaite międzynarodówki, a krajowe media robią im propagandę. A wracając do polskich wyborów, powiem tak: z mojej perspektywy byłoby wspaniale, gdyby nowy prezydent kontynuował linię prezydenta Andrzeja Dudy. To wspaniały lider, polityk bardzo szanowany na świecie, ma za sobą bardzo dobre dwie kadencje. Mam nadzieję, że Polacy podzielą moją opinię i w swojej dobrej mądrości wybiorą polityka, który będzie kontynuował linię polityczną i moralną prezydenta Dudy. Zwłaszcza że czasy są niełatwe. Jeśli nie zatrzymamy wojny na Ukrainie, grozi nam, iż nasi żołnierze będą tam wysyłani. Musimy zrobić wszystko, by zatrzymać tę wojnę i głęboko wierzę, że prezydent Donald Trump to osiągnie.

Pańska partia AUR (Sojusz na rzecz Jedności Rumunów) aktywnie działa na forum Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Jesteście obecni w Parlamencie Europejskim. Jak by pan krótko opisał tę stworzoną przez pana stosunkowo nową siłę polityczną?

AUR został stworzony z pragnienia narodu rumuńskiego, by funkcjonować jako w pełni niepodległe i wolne państwo, by zarządzili nami prawdziwi liderzy, a nie marionetki Berlina, Paryża czy Brukseli. Wie-

rzymy w zdrowy rozsądek, chcemy, by nasze dzieci były wychowywane w silnych rodzinach, by to rodzice decydowali o ich edukacji, a państwo nie zajmowało się propagowaniem demoralizacji. Pragniemy utrzymania chrześcijańskiej tożsamości naszego kontynentu, redukcji europejskiej biurokracji, rozwoju prywatnych firm funkcjonujących w warunkach realnej i uczciwej konkurencji. Kładziemy też nacisk na konieczność podniesienia poziomu życia Rumunów, bo coś tu nie działa, ktoś tu źle

Wracając do kampanii wyborczej: u was głównym kandydatem lewicy jest prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, a w Rumunii burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan. Jest dla mnie szokujące, jak oni są do siebie podobni, jak z jednej matrycy. Jakby ich ktoś zaprojektował

rządzi. Mamy potężne złoża ropy, złota, gazu, mamy piękne Karpaty i dostęp do Morza Czarnego, a obok Bułgarów jesteśmy jednym z najbiedniej żyjących narodów w Unii Europejskiej. 6 z 19 mln Rumunów pracuje poza granicami kraju. Widać, że naród nie jest głównym beneficjentem bogactwa narodowego. Nie walczymy przeciw żadnemu narodowi, walczymy tylko o naszą niepodległość.

Wprost odwołujecie się do idei głoszonych przez Donalda Trumpa?

Tak, jesteśmy stosunkowo świeżą partią utworzoną w 2019 r. i idee ruchu MAGA inspirują nas w wielu obszarach. Współzałożyłem ruch MEGA, bo chcemy, by Europa też wybrała kurs na wielkość i rozwój. Musimy

również bronić o utrzymania silnych więzi między Europą a Stanami Zjednoczonymi, bo ci, którzy dziś rządzą UE, mogą je zniszczyć. Czyż właśnie tego nie chce Putin? Czy to nie Rosja pragnie wypchnąć USA z naszego kontynentu? Kto zatem jest realnie współnikiem Kremla?

Dlaczego uznał pan, że przeciwstawi się potęgom medialnym, biznesowym i innym rządzącym dziś Rumunią? Co zdecydowało?

Miłość do wartości, które wskazałem powyżej. Ale także pamięć o totalitarnym doświadczeniu mojego narodu, który przeszedł przez straszliwy czas komunistycznej dyktatury. Nie chcemy, by kiedykolwiek w przyszłości ktokolwiek znowu przeprowadzał na nas jakiegokolwiek eksperymenty społeczne, by nas reedukował, by nam mówił, jak żyć, by na świecie znowu była tylko jedna właściwa ideologia. Chcę, by moje dzieci mogły żyć wolne w prawdziwie niepodległym kraju. To było marzenie moich dziadków i moich rodziców. Polacy, także zamknięci przez dekady za żelazną kurtyną, doskonale to rozumieją.

Sądzi pan, że narody zdołają powstrzymać tę potężną presję na unifikację wszystkiego, stworzenie europejskiego superpaństwa, w którym kraje staną się takimi większymi landami bez żadnych uprawnień? I jak z tym walczyć?

Wciąż jeszcze możemy zmienić rządy w naszych państwach, musimy więc na tym się skupić. Gdy kilka lat temu udzielałem pierwszego wywiadu tygodnikowi „Sieci” i powiedziałem, że przy wszystkich różnicach obecna Unia Europejska chce panować nad narodami jak kiedyś Związek Sowiecki, choć za pomocą bardziej miękkich metod, w Rumunii rozpętało się piekło. Ale nie żałuję tych słów, bo taka jest prawda. Nie spodziewałem się, że właśnie w moim kraju te słowa tak szybko się sprawdzą. Ale to u nas spróbowali, czy można ludziom odebrać także prawo do głosowania. Jeśli to nie jest czerwony alarm, to co nim będzie? 

Rumuńska lekcja dla Polski

Dawna opozycja totalna zmieniła się w autokratyczną władzę totalną, więc na swej drodze powinna napotkać na zorganizowany, totalny opór społeczny



DARIUSZ MATUSZAK

Już wiadomo, że wybory prezydenckie nie odbędą się w sposób uczciwy. Otwartą kwestią pozostaje tylko to, jaka będzie skala oszustw, manipulacji, nagięcia czy też łamania prawa, jakich dopuści się rządząca koalicja. Aparat państwa od wielu miesięcy jest podporządkowany temu, by osadzić na fotelu prezydenckim Rafała Trzaskowskiego i domknąć system uśmiechniętej – wyszczerzonej demokracji walczącej, którą zaprowadza w Polsce Donald Tusk. A skąd on wziął tę całą demokrację walczącą? A z Niemiec, bo to jest wehrhafte Demokratie. Ten termin można tłumaczyć jako demokracja obronna, ale

w Niemczech mówi się też o walczącej. Po polsku „walcząca” brzmi lepiej, bo budzi szlachetne skojarzenia, np. z Polską Walczącą. A że Donald Tusk i jego otoczenie są propagandowo sprytni, to nadali takie miano niemieckiemu wynalazkowi.

WEHRHAFFE DEMOKRATIE, CZYLI CO?

Koncept demokracji walczącej powstał w czasach Republiki Weimarskiej, potem był rozwijany w latach 40. i 50. XX w., a dziś przeżywa w Niemczech renesans. W teorii ma odpowiedzieć na pytanie, czy w porządku demokratycznym jest miejsce dla takich partii jak NSDAP i jak zaprojektować porządek konstytucyjny, który gwarantuje demokratyczne prawa i wolności oraz jednocześnie mieć instrumenty zapobiegające obaleniu demokracji metodami demokratycznymi. Stąd wehrhafte Demokratie – demokracja walcząca o demokrację. By nie dopuścić nazistów do władzy, wszystkie

chwytły są dozwolone, więc jak już ta demokracja walczy o demokrację, to może się posługiwać metodami obcych demokracji. Zawieszać demokrację i stosować prawo tak, jak się żywnie podoba, czy jak je pojmują Tusk albo Bodnar. W oczach demokratów walczących dzisiejszym NSDAP jest PiS. I nawet nie stanowi to przenośni, skoro Tusk mówi o skazywaniu i wsadzaniu za kraty polityków tej partii, a także tych, którzy tylko jakoś z nimi „kolaborowali”, na skalę, jaka towarzyszyła procesom norymberskim.

Ta konstatacja jest fundamentalna dla zrozumienia, o co chodzi w wyborach i do jakich czynów zdolna jest koalicja rządząca. Żadne normy przyzwoitości, prawo, instytucje demokratycznego państwa nie powstrzymają uśmiechniętego reżimu. Nie będzie trochę kłamstw, trochę manipulacji, nieco naginania prawa i jakiegoś umiarkowanego niszczenia ludzi. W ciągu najbliższych dwóch miesięcy czeka nas totalna operacja z wykorzystaniem instytucji państwa, także siłowych, by ostatecznie domknąć system i uniemożliwić nieprawidłowym partiom – jak PiS – zdobycie władzy.

Ta operacja już trwa. Jej elementem jest choćby pozbawienie Prawa i Sprawiedliwości należnych pieniędzy mimo orzeczeń PKW. Podobnie areszty i śledztwa. Nie chodzi tylko o zaspokojenie prymitywnej żądzy zemsty, podsypywanie karmy nienawiści wyznawcom obecnej władzy, lecz także o rozbięcie opozycji, zastraszenie jej działaczy. Od miesięcy trwają też propagandowe przygotowania do tego, by zakwestionować wynik wyborczy, jeśli okaże się on niekorzystny dla PO i reszty. Po 35 latach po raz pierwszy w wolnej Polsce wybory są fundamentalnie zagrożone.

W niszczeniu demokracji rządząca koalicja otrzyma każdą pomoc instytucji Unii, jak Komisja Europejska z jej agencjami, czy pracujących dla niej sądów, jak TSUE. Ze względu na nikczemną

rolę, jaką coraz częściej w wyborach odgrywa KE czy sama bezwstydnie ingerująca w nie przewodnicząca von der Leyen, należy bezdyskusyjnie odrzucić jakiegokolwiek pomysłu z organizowaniem „okrągłego stołu wyborczego”, jak chciałaby komisarz Henna Virkkunen. Precz, nikt obcy, żaden unijny komisarz czy komisarzycza nie będą nam majstrować przy wyborach. Sprzeciw powinien być brutalny, a nawet obraźliwy. Powinien stać się elementem kampanii wyborczej. Oto obecna władza sprowadza obcych, by ingerowali w naszą demokrację.

Zdemolowanie wyborów prezydenckich w Rumunii jest dobitnym przykładem na to, że UE nie cofnie się przed niczym. Ten kraj stał się dla władców i właścicieli Unii laboratorium, w którym bada się, jak bardzo i w jakim tempie można niszczyć demokrację. Polska jest kolejnym poligonem doświadczalnym. Domknięcie systemu nie będzie polegać na naruszaniu norm demokracji i praworządności, tylko na ich zniszczeniu. Jeśli w Rumuni można wsadzić do więzienia najpopularniejszego polityka, uniemożliwić mu start wyborach, anulować ich wyniki, to mamy do czynienia z upadkiem demokracji, a nie z jej naruszeniem.

TOO BIG TO RIG

Skoro mamy do czynienia z zaplanowaną i totalną operacją ze strony władzy – a jestem o tym przekonany – odpowiedź może być tylko totalny opór. Jedyne, co powstrzymać może koalicję warczącą, to obawa przed masowym sprzeciwem społecznym, przed protestami, które mogą całkowicie pozbawić ją władzy, przed procesami i więzieniem za przeprowadzanie zamachu stanu. Każdy reżim potrzebuje zwykłych ludzi – urzędników, funkcjonariuszy czy jurystów prostytutek, jak wicemarszałek Bosacki określił tych, którzy za pieniądze napiszą każdą opinię prawną. Zapal do uczestniczenia w nikczemnym procederze może tym ludziom odebrać jedynie zdecydowane zwycięstwo kandydata opozycji. „Too big to rig” – jak mówi o swojej wygranej Donald Trump. Wiktoria tak duża, tak oczywista, że nikt nie ośmieli się „przekreślić” jej wyników. Oszustwo by-

łoby tak jawne, że zabrakłoby chętnych, by w nim uczestniczyć. A i gniew, mobilizacja obywateli w obronie demokracji tak duża, że nawet reżim się cofa.

„Wariant rumuński nr 1 – telefon do Sądu Najwyższego: »Macie unieważnić wybory«. Wariant rumuński nr 2 – aresztowanie kandydata, który wygrywa wybory, i osadzenie go w więzieniu, tak jak w Rumunii, niestety nam grozi. Dziś w Polsce wszystko jest możliwe – mówił w telewizji w Polsce24 prof. Przemysław Czarnek. „Gdyby do tego wariantu doszło, to będziemy do wszystkich państwa dzwonić i wymagać od państwa, żebyście stawili się w Warszawie, pod pałacem prezydenckim, żeby wprowadzić swojego prezydenta do tego pałacu. I żaden Tusk, żaden Kalisz ani inny Bodnar nie przeszkodzi narodowi polskiemu w tym dziele”.

W ciągu najbliższych dwóch miesięcy czeka nas totalna operacja z wykorzystaniem instytucji państwa, także siłowych, by ostatecznie domknąć system

Prof. Czarnek ma rację, więc już dziś powinna trwać mobilizacja obywateli na taką ewentualność. Ich presja zmusi podporządkowane autorytarnej władzy instytucje, jej aparat urzędniczy i mundurowy do uznania wyników. Nie wiemy, jak rozwinie się sytuacja w Rumunii, ale zdemolowanie demokracji, brutalna interwencja Komisji Europejskiej i Francuzów rozpalili ogień pod kotłem. Nie wystarczy uznać, że „nieprawidłowy” kandydat Călin Georgescu nie może być prezydentem. Miliony jego wyborców nie znikną. Ktokolwiek inny zostanie „wybrany”, ten nie będzie miał demokratycznej legitymacji. Uśmiechnięte reżimy Unii uznają jakiegoś „prawidłowego” prezydenta, ale wiele krajów ze Stanami Zjednoczonymi na czele już niekoniecznie, zwłaszcza że i one mają za sobą próby niszczenia wyborów oraz kandydatów.

PILNUJMY WYBORÓW

Przypadek rumuński to scentralizowane, odgórne rozwalanie demokracji. Ale możemy mieć do czynienia z działaniami rozproszonymi, lokalnymi – tam, gdzie będą oddawane i liczone głosy. Sekretarz Stalina Boris Bażanow przytoczył we wspomnieniach jego słowa: „Nieważne, jak ludzie głosują, ważne kto liczy głosy”. W tym przypadku rozwiązaniem jest odwoływanie się do ludu, mobilizowanie go. Jedna sprawa to głosowanie, a druga – pilnowanie głosowania.

Sztab Karola Nawrockiego powołał Ruch Ochrony Wyborów (ROW), który ma organizować obywateli do kontrolowania elekcji. Dwa najistotniejsze sposoby to członkostwo w komisji wyborczej lub status męża zaufania oddelegowanego przez komitet wyborczy kandydata. Każda wizyta na kampanijnym szlaku Nawrockiego powinna polegać nie tylko na spotkaniu z wyborcami, lecz także na budowaniu lokalnej inicjatywy ROW. Mobilizacja do ochrony wyborów powinna być stałym elementem jego kampanii. Także wciąż powtarzającym się motywem wystąpienia kandydata. Do 30 tys. komisji wyborczych potrzeba ludzi. Niczego nie wolno zostawić bez nadzoru, bo inaczej ta władza oszuka. Wsadzi do komisji ludzi, którzy nie wstydzą się tego, że ruski reżim finansował promocję ich ośmiogwiazdkowego hasła „j...ć PiS”. Im ręka nie zadry.

Lokalne inicjatywy powinny być organizowane nie tylko w oparciu o struktury partyjne, lecz także takie, które są poza polityką. Koła gospodyń wiejskich, ochotnicze straże pożarne czy kluby seniorów nie będą występować oficjalnie, ale wystarczy, że ich członkowie, którzy przecież się znają i są zaangażowani, zostaną skrzyknieni i zorganizowani do ochrony wyborów.

Opozycjni kandydaci, Karol Nawrocki i Sławomir Mentzen, powinni też zawrzeć sojusz dla ochrony wyborów. Jego pierwszym elementem powinna być deklaracja o wzajemnym uznaniu swych wyników, a drugim współpraca mężów zaufania czy obserwatorów wyborczych. Cała opozycja jedzie na tym samym wózku. Niech nikt w Konfederacji nie ma złudzeń, że nie dopadnie ich demokracja walcząca.



Polska bomba.

Czy i w jaki sposób możemy stać się państwem nuklearnym

Raczej nie ma co liczyć na to, że Amerykanie zgodzą się, aby Polska uruchomiła niezależny program jądrowy. Co zresztą byłoby bardzo trudne. Ale przyjęcie naszego kraju do programu Nuclear Sharing, który oznacza zarówno budowę instalacji umożliwiających przechowywanie ładunków jarowych, jak i szkolenie polskich pilotów, powinno być celem naszych polityków



MAREK BUDZISZ

Friedrich Merz, lider niemieckiej chadecji i przyszły kanclerz, dokonał zdumiewającej wolty. Już kilka godzin po zwycięskich dla swej formacji wyborach radykalnie zmienił poglądy w najważniejszych kwestiach. Jego partia prowadziła kampanię m.in. pod hasłami szukania oszczędności budżetowych i dopiero w ostateczności

zreformowania tzw. hamulca zadłużenia, konstytucyjnego zapisu, w świetle którego każdy niemiecki rząd ma ograniczone możliwości zaciągania długów. Jednak już kilka godzin po głosowaniu Merz porzucił ten hamulec i porozumiał się z socjaldemokratami Scholza w sprawie utworzenia nowego, wartego 500 mld euro funduszu specjalnego przeznaczonego na modernizację infrastruktury oraz o wyłączeniu nakładów na obronność z regulacji limitujących poziom długu publicznego. W efekcie, jak obliczyli ekonomiści, do 2030 r. zadłużenie Niemiec ma wzrosnąć o 20 proc., a wydatki o 1 bln euro.

Dzień po porozumieniu z SPD w kwestii polityki finansowej Merz poszedł jeszcze dalej i w wywiadzie dla Deutschlandfunk powiedział, że w obecnej sytuacji, kiedy relacje państw europejskich ze Stanami Zjednoczonymi stają się coraz bardziej

Fot. U.S. Navy photo by Mass Communication Specialist 1st Class Ronald Gurrin

napięte, „dzielenie się bronią jądrową to kwestia, o której musimy rozmawiać... musimy wspólnie stać się silniejsi w odstraszeniu nuklearnym”. Te słowa zostały odczytane jako niemiecka propozycja, której adresatami są Francja i Wielka Brytania, aby zacząć rozmowy na temat rozciągnięcia ich parasola nuklearnego na pozostałe państwa naszego kontynentu.

W Paryżu deklarację Merza zrozumiano jednoznacznie i już kilka dni później w telewizyjnym orędziu do narodu prezydent Macron oznajmił, iż „jest gotów otworzyć debatę strategiczną na temat rozszerzenia francuskiego odstraszania jądrowego” na Europę i będzie dążył do „osiągnięcia większej autonomii” oraz budowy „sił europejskich” zdolnych do realizacji skutecznej polityki odstraszania. Niedługo potem w czasie spotkania w Londynie, kiedy dyskutowano kwestię wysłania kontyngentu pokojowo-stabilizacyjnego na Ukrainę, propozycja, jak donosił „Financial Times”, została ponowiona, a delegacje trzech państw – Litwy, Danii i Polski, miały pozytywnie odpowiedzieć na ofertę Macrona i zaproponować rozmowy. Potwierdził to zresztą publicznie premier Tusk, dodając przy okazji, że modelowym rozwiązaniem gwarantującym Polsce bezpieczeństwo byłoby posiadanie przez nasz kraj broni jądrowej.

ROSYJSKIE PRZEWAGI

Te publiczne oświadczenia i wypowiedzi świadczą o tym, że wraz ze zbliżającym się końcem wojny na Ukrainie, ale przede wszystkim w związku z pogorszeniem się relacji atlantyckich, wraca kwestia odstraszania jądrowego, nierównowagi potencjałów między państwami europejskimi a Rosją. Do tej pory Europejczycy czuli się względnie bezpiecznie, wierząc w siłę amerykańskich gwarancji, jednak teraz to zaufanie zostało nadwątlone. Na porządku dziennym staje więc kwestia, co zrobić, aby Rosja nie wykorzystywała swej przewagi. Z ocen i szacunku ekspertów wynika bowiem, że o ile łącznie Francja i Wielka Brytania posiadają ok. 515 głowic jądrowych, o tyle Rosja ma w tym zakresie co najmniej dziesięciokrotną przewagę. Jeśli brać pod uwagę potencjały taktyczne, czyli zdolno-

ści do atakowania celów w Europie ładunkami o niewielkiej mocy, sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Europejczycy w ogóle nie mają takich zdolności, a Rosjanie, według ostrożnych szacunków, mogą dysponować nawet liczbą 1,8 tys. głowicami i kilkunastoma środkami przenoszenia – od torped atomowych przez rakiety różnego typu po artylerię zdolną do strzelania pociskami z ładunkiem jądrowym, których dyslokację do obwołu królewieckiego zapowiadał kilkanaście miesięcy temu były prezydent Miedwiediew. Jeśli zatem uznać, że więzi atlantyckie słabną, a prasa niemiecka jest

Z szacunku ekspertów wynika, że o ile łącznie Francja i Wielka Brytania posiadają ok. 515 głowic jądrowych, o tyle Rosja ma w tym zakresie co najmniej dziesięciokrotną przewagę. To pokazuje, że bez amerykańskiego wsparcia Europa nie jest w stanie się obronić przed rosyjskim szantażem nuklearnym

pełna alarmistycznych artykułów na ten temat, to problem staje się poważny i Europa powinna zacząć myśleć również o swoich zdolnościach w obszarze atomowym.

NUKLEARNA ZMIANA

Jak zauważył Gideon Rose, ekspert Council on Foreign Relations na łamach „Foreign Affairs”, właśnie upada „psychologiczna bariera”, która w przeszłości decydowała o tym, że państwa przestrzegały porozumień o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i w międzynarodowych porozumieniach wyrzekły się dążenia do jej budowy. W opinii Rose’a, który jest też stałym komentatorem wpływowego dziennika „Financial Times”, „niektórzy polscy generałowie otwierają rozważają pomysł

wyjścia poza gwarancje Francji i Wielkiej Brytanii i dążenie do uzyskania własnych sił nuklearnych”. Podobne głosy słychać też w Szwecji, która dopiero w latach 70. odstąpiła od planów budowy własnej broni jądrowej. Na doświadczonej wojnie Ukrainie już od dłuższego czasu otwarcie mówi się o potrzebie odzyskania własnych zdolności nuklearnych, które są najlepszą gwarancją bezpieczeństwa i uniknięcia powtórki z rosyjskiej agresji. Innymi słowy światowy system nieprolifracji zaczyna się chwiać, coraz więcej państw czuje się zagrożonych i myśli o własnej bombie.

CO ZROBI AMERYKA?

Pojawia się zatem pytanie, co państwa takie jak Polska mogą zrobić, aby zwiększyć swe bezpieczeństwo. Z pewnością należy zabiegać o zwiększenie gwarancji przez naszego amerykańskiego sojusznika. W pierwszym rzędzie konieczne wydaje się oficjalne wypowiedzenie Aktu Stanowiącego Rosja-NATO z 1997 r., którego elementem jest jednostronne stanowisko państw Sojuszu Północnoatlantyckiego, sformułowane jeszcze przed przyjęciem do niego Rzeczypospolitej, iż te „nie mają żadnego zamiaru, planu ani powodu, by rozmieszczać broń nuklearną na terytorium nowych państw członkowskich”. Rosja nie sformułowała podobnych deklaracji, co więcej, przesuwając swój potencjał jądrowy na Białoruś, w oczywisty sposób naruszyła porozumienie.

Zgoda Stanów Zjednoczonych jest konieczna również z tego powodu, że w świetle amerykańskiego ustawodawstwa wszelkie działania państw, których celem jest pozyskanie wojskowych zdolności nuklearnych, muszą wywołać bardzo stanowczą reakcję Waszyngtonu. Automatyczne sankcje przewidują wstrzymanie wszelkiej współpracy wojskowej, co oznacza, że gdyby hipotetycznie Warszawa zdecydowała się na uruchomienie własnego programu nuklearnego, to konsekwencje dla naszego bezpieczeństwa byłyby fatalne. Zmiana dotychczasowej polityki Waszyngtonu oznaczałaby też otworeni możliwości przyjęcia Polski do programu Nuclear Sharing, który oznacza zarówno budowę instalacji umożliwiających

przechowywanie na terenie naszego kraju ładunków jarowych, jak i szkolenie polskich pilotów, a także, o czym się zapomina, wzrost możliwości w zakresie środków konwencjonalnych. Warto bowiem pamiętać, że amerykańska doktryna rozszerzonego odstraszania nuklearnego obejmuje nie tylko potencjał nuklearny – jest w niej mowa o „mieszance” środków jądrowych i zdolności konwencjonalnych. A zatem objęcie nim Polski, o co powinniśmy zabiegać, nie musi oznaczać automatycznego przesunięcia na nasz teren bomb B-61 składowanych m.in. w niemieckiej bazie Büchel. Nie mniej ważne byłoby wzmocnienie przez Amerykanów naszych zdolności konwencjonalnego rażenia celów położonych na rosyjskich tyłach.

Aby Amerykanie zdecydowali się pójść tą drogą, rewizji, a przynajmniej reinterpretacji, powinna ulec ich doktryna rozszerzonego odstraszania, a nie wykluczone, że również nieprolifracji. Rebecca Heinrichs, ekspert w Instytucie Hudsona, która w ub.r. uczestniczyła w pracach specjalnego ponadpartyjnego zespołu powołanego przez Kongres, w opublikowanym raporcie opowiada się zarówno za wzmocnieniem siły odstraszania, jak i zmianami w polityce nierozprzestrzeniania broni jądrowej. Nie ma jednak mowy o gruntownej rewizji tej polityki i wyrażeniu przez Amerykanów zgody na pojawienie się w gronie ich sojuszników nowych państw atomowych. Heinrichs jest bowiem zdania, że utrzymanie reżimu nieprolifracji, czyli dbania o to, aby nie rosła liczba państw nuklearnych, leży w interesie Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy Amerykanie raczej nie zgodzą się, aby Polska uruchomiła niezależny program jądrowy, nie ma co też liczyć na transfer technologii. Możliwe są jednak zmiany stopniowe, z pewnością nie rewolucyjne.

CZEGO NIE MA FRANCJA?

Podobnie winniśmy myśleć o tzw. parasolu Francji. W przypadku Paryża prócz kwestii politycznych i doktrynalnych mamy również problem natury technicznej. Otóż w przeciwieństwie do Amerykanów Francuzi nie dysponują potencjałem nuklearnym o charakterze taktycznym. Ich „force de frappe”, bo tym terminem są określane siły nuklearne, były budowane po to, aby w razie ataku jądrowego na Francję móc

udzielić obezwładniającej odpowiedzi i w ten sposób zniechęcić potencjalnego przeciwnika do użycia tego rodzaju broni. Jak już wspominałem, Francuzi nie mają jednak głowic ani środków przenoszenia o charakterze taktycznym, czyli niewielkiej mocy, zdolnych do rażenia ograniczonych celów. To zaś oznacza, że we wczesnej fazie konfliktu nie są w stanie uczestniczyć w tym, co w strategii określa się mianem „gry eskalacyjnej”. Na czym ona polega?

Przypuśćmy, że Rosjanie atakują i zajmują jakąś część terytorium państwa NATO, umacniają swoją pozycję i grożą użyciem niewielkiej głowicy jądrowej, aby zniechęcić Sojusz Północnoatlantyczny do kontrataków. Odpalają niewielki pocisk jądrowy, aby pokazać swoją determinację i możliwości. Chcąc przełamać ich szantaż, państwa zmagające się z rosyjską agresją muszą mieć zdolność do użycia w odpowiedzi broni jądrowej, ale nie takiej, by zniszczyć rosyjskie miasto wielkości Petersburga, ale by pokazać, że przyjmują licytację i mają zdolność podbicia stawki. Problem francuskiego potencjału nuklearnego sprowadza się do tego, że nie dysponuje on ani odpowiednimi głowicami, ani środkami ich przenoszenia, aby uczestniczyć w takiej grze.

Inną opcją jest to, co specjaliści określają mianem „latencji nuklearnej”. Taki program realizuje Japonia i w praktyce również Korea Południowa, a ostatnio zaczynają też o tym mówić Niemcy. Thorsten Benner, założyciel i dyrektor Global Public Policy Institute w Berlinie, napisał artykuł opublikowany w renomowanym periodyku „Foreign Policy”, w którym proponuje, aby Berlin rozważył wdrożenie tego rodzaju polityki. Jej istotą, którą opisywałem już na portalu wPolityce.pl we wrześniu ub.r., jest posiadanie przez zainteresowane państwo wszystkich „składników” umożliwiających konstrukcję głowicy nuklearnej, ale wstrzymywanie się przed wykonaniem ostatniego kroku. Taką politykę od lat realizuje Japonia, która ma wystarczające zasoby materiałów rozszczepialnych i środki przenoszenia, aby w razie wojny szybko, to znaczy w ciągu 2–3 miesięcy, stać się państwem jądrowym. Nie daje to gwarancji, że nie zostaniemy zaatakowani przez przeciwnika posiadającego bombę atomową, ale

zdaniem ekspertów tego rodzaju polityka blokuje eskalację, czyli uzupełnia lukę w zdolnościach francuskich. Dlatego – co postuluje Benner – Niemcy jednocześnie winni zabiegać o rozszerzenie na ich kraj francuskiego parasola nuklearnego, jak i realizować program „latencji jądrowej”, który miałby za zadanie wypełnić braki w zdolnościach Paryża.

W przypadku Polski tego rodzaju polityka byłaby o tyle trudna (Niemcy nie mają tych problemów), że jeszcze 20 lat temu dysponowaliśmy odpowiednią ilością wzbogaconego uranu, który znajdował się w Świerku, ale na fali rozbrojeniowego uniesienia bezpłatnie oddaliśmy go Rosji. Teraz musielibyśmy porozumieć się w tej kwestii z państwami mającymi rozwiniętą energetykę nuklearną, choćby z Ukrainą. Kijów dysponuje też zaawansowanymi środkami przenoszenia, w tym skonstruowanymi już w czasie wojny rakietami balistycznymi dalekiego zasięgu. Jeśli mówimy o zdolnościach technicznych, Ukraina jest dziś znaczenie bliżej niż Polska do stania się mocarstwem nuklearnym.

POLSKI SCENARIUSZ

Wydaje się zatem, że chcąc poprawić bezpieczeństwo Polski i siłę odstraszania, winniśmy pójść jednocześnie kilkoma drogami, a dopiero w ostateczności zacząć myśleć o polskiej bombie. Warto rozmawiać z Amerykanami, przekonując ich do celowości włączenia Polski do programu Nuclear Sharing, a przynajmniej rozszerzenia niektórych jego elementów na nasz kraj. Warto też rozmawiać z Francuzami, choćby po to, aby sprawdzić ich intencje, trzeźwo oceniając możliwości. Nie zapomnijmy także o własnych zdolnościach, bo może się okazać, że „latencja jądrowa” jest najbardziej obiecującą drogą. Wreszcie trzeba pamiętać – co wyraźnie widać na przykładzie Korei Południowej – że sojusznicy wykazują większą skłonność do słuchania naszych prośb wówczas, kiedy większość społeczeństwa opowiada się za budową własnego potencjału nuklearnego. Pierwszym zatem krokiem, który powinniśmy wykonać, jeśli chcemy poważnie myśleć o naszym programie jądrowym, to przekonanie Polaków, że jest on nam niezbędny, a jeśli zbudujemy naszą bombę, nasi przywódcy będą się nią roztropnie posługiwać.



Dobrowolnie w kamasze

Rabka tajemnicy realiów wojskowego szkolenia uchylała emitowana na antenie TVP2 „Kawaleria powietrzna”. Od premiery pierwszego odcinka tego serialu dokumentalnego minęło już ćwierć wieku. Sprawdzamy, jak obecnie wyglądają pierwsze dni przyszłych żołnierzy w armii



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

W zeszłym tygodniu premier Donald Tusk zapowiedział stworzenie do końca roku modelu ćwiczeń wojskowych, tak aby każdy dorosły mężczyzna w Polsce był przeszkolony na wypadek wojny. W założeniu kursy miałyby być dobrowolne. O to, jak w ten sposób szef rządu chciałby przeszkolić wszystkich, należy pytać gospodarza KPRM. Założenie jest takie, że dzięki szkoleniom polska armia wraz z posiadającymi odpowiednie

umiejętności żołnierzami rezerwy miałyby w krótkim czasie osiągnąć liczebność 500 tys.

Działanie w myśl rzymskiej zasady *si vis pacem, para bellum* (chcesz pokoju, szykuj się do wojny) wydaje się jedynym rozsądnym wyjściem w naszej sytuacji geopolitycznej, co dobitnie uświadomiła pełnoskalowa napaść Rosji na Ukrainę.

Na koniec czerwca 2024 r. wojsko polskie liczyło niemal 200 tys. żołnierzy zawodowych i niezawodowych, z czego ponad 35 tys. to ochotnicy służący w Wojskach Obrony Terytorialnej. Jeszcze nie tak dawno politycy obecnie sprawujący władzę wyszyscy WOT, nazywając tę formację „prywatną armią Macierewicza”. Donald Tusk określał ją parawojskiem, a aktualny minister obrony narodowej

Władysław Kosiniak-Kamysz zamierzał likwidować. Wspominam o tym nie tylko z kronikarskiego obowiązku. Rząd będzie musiał jeszcze bardziej przeprosić się z WOT niż po ich skutecznych działaniach podczas ubiegłorocznej powodzi, bo najprawdopodobniej na tej formacji i przede wszystkim doświadczeniach płynących ze szkolenia działających w jej szeregach mężczyzn i kobiet, łączących służbę wojskową z cywilną pracą zawodową, będzie bazował opracowywany model kursów na wypadek konieczności obrony kraju.

Jak zatem wygląda szkolenie, z czym trzeba się liczyć i jak być przygotowanym, by podjąć trudom tego procesu? By poznać odpowiedź na te pytania, rozmawiałem z kilkoma żołnierzami WOT.

DZIEŃ PIERWSZY

– Do WOT zgłosiłem się, bo uważałem się za patriotę i widzę, co dzieje się za wschodnią granicą – mówi Krzysztof, student. – Zaniósłem dokumenty do Wojskowego Centrum Rekrutacji, po tygodniu przeszedłem badanie lekarskie oraz testy psychologiczne. Przyznano mi etat sapera i wyznaczono termin stawieństwa na szkolenie.

– Brama jednostki otworzyła się o godz. 6.00. Zobaczyłem, że pośród nas, kilkudziesięciu ochotników, była też zauważalna liczba kobiet – wspomina Mateusz, pracownik biurowy. – Sprawdzono nam tożsamość, wydano pliki dokumentów do podpisania i rozpoczęliśmy proces stawania się żołnierzami.

Ci, którzy chcieli, mogli skorzystać z usług fryzjera – żołnierz nie musi już być ogolony na jeża. Regulamin ogólny żołnierza Wojska Polskiego w przypadku mężczyzn zezwala na długość włosów sięgającą 5 cm. Kobiety mają upinać włosy, tak by nie dotykały one kołnierza bluzy mundurowej. Następnie wizyta u fotografa – zdjęcie do dokumentów i książeczki wojskowej, wykład o przepisach bezpieczeństwa informacji i zapoznanie z budową karabinka Grot – podstawowego uzbrojenia żołnierzy piechoty WP. Wszyscy wspominali, że w międzyczasie było śniadanie, obiad i później kolacja. Umykało to w natłoku zajęć oraz miejsc, do których przemieszczano się w uporządkowanych kolumnach.

Tego dnia najwięcej czasu zajęło pobieranie sortów. Każdy dostawał wyposażenie, które musiało wystarczyć na kolejne 16 dni ciągłego kursu podstawowego, a także było wykorzystywane później w comiesięcznych szkoleniach rotacyjnych. Przede wszystkim dwa mundury – letni i zimowy, dwie pary butów, czapki, dresy, trampki, kurtka i spodnie przeciwdeszczowe, kominiarka, dwa śpiwory. Z tym wszystkim i jeszcze innymi drobiazgami spakowanymi do dużych wojskowych plecaków już umundurowani, z oliwkowymi beretami i orzelkami w koronie na głowach, wsiadali na ciężarówki.

– To dodatkowe emocje! Wprawdzie na budowie nie raz się takie rzeczy robiło, ale po raz pierwszy jechałem na pace stara legalnie – mówił Mariusz, krzepki facet, po którym widać, że nie-

jedno już w życiu widział. – U nas tylko wojsko może tak przewozić ludzi. A teraz i ja byłem jego częścią.

Pojazdy przywiozły nowych żołnierzy do miejsca ich zakwaterowania na kolejne dwa tygodnie. Wszyscy zostali rozlokowani po cztery osoby w kontenerze. Mniej więcej 14 m², na których upchnięto dwa piętrowe łóżka, stół, dwa krzesła, stojący wieszak na ubrania i mały kaloryfer w kącie. Jedną wolną ścianę zdobiły regulaminy, schematy broni i teksty wojskowych piosenek.

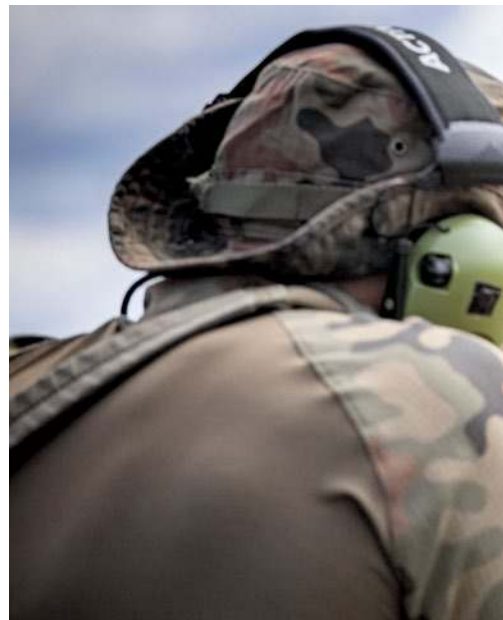
– Dla niektórych nie było to łatwe przeżycie – opowiada Krzysztof, mój pierwszy rozmówca.

– Do każdej z jaskiń przydzielano nas alfabetycznie. Na niewielkiej przestrzeni mieszkali obcy sobie ludzie, często znacznie różniący się od siebie wiekiem, wykształceniem i poglądami. Żołnierz jest żołnierz i ma się dostosować. Jedyne, na co zwracano uwagę, to by zakwaterować mężczyzn i kobiety w osobnych norach – kończy.

Jego słowa potwierdził inny mój rozmówca. Był świadkiem bójki pomiędzy współlokatorami wywołanej z nieistotnego powodu. Świadoma możliwości wystąpienia takich sytuacji kadra szybko schłodziła rozpalone głowy młodych żołnierzy. Dodatkowe ćwiczenia fizyczne i sprzątanie sanitariatów poza kolejnością skierowało ich emocje w inną stronę.

DNI SPRASOWANE

– Pamiętam, że drugiego dnia mieliśmy testy sprawnościowe – bieganie, brzuski i pompki, a wszystko, co było później, sprasowało mi się w jeden dzień. Było tak intensywnie i tak dużo zajęć, że nie jestem w stanie powiedzieć, co konkretnie kiedy się działo – wspomina Agnieszka, wykładowca akademicki, doktor nauk prawnych. – Z jednej strony podczas testów dla kobiet były niższe wymagania fizyczne, ale później, kiedy szliśmy w las z bronią, w kamizelkach kuloodpornych, z pasami bojowymi na amu-



To, bez czego żołnierza trudno nazwać żołnierzem, czyli broń, dostaliśmy na samym początku, drugiego albo trzeciego dnia – wspomina Robert. – Musieliśmy z nią chodzić wszędzie. Jedliśmy z tymi grotami na plecach, spaliśmy z nimi schowanymi pod kocem, prysznic braliśmy z karabinkami położonymi na kabinach, żeby nie zamokły

nicję, w hełmach i z ciężkimi plecakami z ekwipunkiem, to każdy, niezależnie od płci, miał do przejścia tyle samo. Czasami musieliśmy z tym wszystkim biegać, odpowiadając ogniem na ostrzał, wykonywać polecenia dowódcy i oglądać się na innych, czy wszystko z nimi w porządku. Wtedy bywało ciężko – przyznaje.

W słowach każdego z żołnierzy pojawia się ten sam element. Podczas szkolenia wpajano im troskę o siebie nawzajem w różnych aspektach. Od upominania, by pod żadnym pozorem nie kierować nawet nienaladowanej broni w kierunku kolegów przez poprawianie sobie wzajemnie ekwipunku, dzielenie się wodą po pomaganiu najsłabszym w noszeniu plecaków.



– Wspólne pokonywanie trudności, pomaganie sobie w momentach słabości wytwarzało pomiędzy nami więź braterstwa – mówi Robert, kierownik w korporacji. – Z drugiej strony to dbanie o własne bezpieczeństwo, bo później w prawdziwych działaniach będziemy musieli polegać na sobie. Od każdego z nas być może będzie zależało życie kolegi, a każdy oddział jest tak silny jak jego najsłabsze ogniwo.

Niemal każdy z żołnierzy, z którym rozmawiałem, zwracał uwagę na element szkolenia, którym była wspólnota doświadczeń, świadomość, że przeszło się przez to samo. To, że każdy był szkolony podobnie, każdy strzelał, rzucał granatami, czołgał się, ciągnął ciężką skrzynkę z amunicją, okopywał się na czas czy zrywał kontakty z przeciwnikiem, wbiegając w gęsty las. Wszystko to sprawdza się podczas późniejszych comiesięcznych szkoleń rotacyjnych WOT. Żołnierze często ćwiczą z nieznanymi wcześniej ludźmi i dobrze się rozumieją, patrolując teren, zdobywając go skokami czy zmieniając szyki, w których przemieszcza się ich oddział. Można powiedzieć, że wręcz rozumieją się bez słów. W trakcie służby uczą się też znaków dowodzenia, czyli uproszczonego systemu komunikacji, porównywalnego nieco z językiem migowym.

– To, bez czego żołnierza trudno nazwać żołnierzem, czyli broń, dostaliśmy na samym początku, drugiego albo trzeciego dnia – wspomina Robert. – Musieliśmy z nią chodzić wszędzie. Każdemu przypisano konkretnego grota i nie wolno było go nigdzie zostawić. Jedliśmy z nimi na plecach, spaliliśmy z nimi schowanymi pod kocem, prysznic braliśmy z karabinkami położonymi na kabinach, tak żeby nie zamokły. W toaletach oprócz instrukcji obsługi pisuarów (sic!) na ścianach kabin wisiały przypomnienia: „Nie zostawiaj broni, bo dowódca cię dogoni”. Zdarzały się pomyłki, ktoś wziął czyjś grota, każdy w końcu wyglądał tak samo, ale dzięki ich numerom broń wracała do właściwego żołnierza.

Kto i dlaczego rezygnuje w trakcie szkolenia podstawowego? – pytam rozmówców. Powody są różne – przede wszystkim kontuzje. Mimo dbania o bezpieczeństwo podczas zajęć przytrafiają się zwichnięcia, złamania czy przeciążenia. Zdarzają się też nieszczęśliwe wypadki.

– Był żołnierz, który ciągle wiercił się przez sen – wspomina Mariusz, budowlanec. – Do tego stopnia, że jednej nocy wziął i spadł z górnego łóżka i złamał obojczyk. Inna dziewczyna biegła, przewróciła się tak, że złamała nos o własnego grota. Dla obojga był to koniec szkolenia.

Część nie wytrzymuje fizycznie, bo jest to jednak pewne wyzwanie, ale nieprzekraczające możliwości zdrowego, sprawnego fizycznie człowieka. Nieliczni, najczęściej na początku, po prostu stwierdzają, że tu nie pasują i odchodzą. Czasami zdarzają się wypadki losowe w domu, ale w takich przypadkach żołnierze najczęściej próbują jeszcze raz na kolejnym szkoleniu. Zdarzają się też przypadki, kiedy ktoś „jest rezygnowany” przez kadrę. Są to osoby trafiające na szkolenie przypadkowo lub wykazujące objawy zaburzeń psychicznych, agresywne czy stawiające się na szkolenie pod wpływem alkoholu lub innych substancji. Tymi ostatnimi przypadkami zajmuje się Żandarmeria Wojskowa.

PO PRZYSIĘDZE

Ostatniego dnia szkolenia podstawowego odbywa się uroczysta przysięga wojskowa. Po jej złożeniu żołnierz zostaje pełnoprawnym członkiem sił zbrojnych i wraca do domu. Jeżeli zdecyduje się na dalszą służbę w WOT, będzie zobowiązany do poświęcania jednego weekendu miesięcznie na szkolenia rotacyjne według ustalonego harmonogramu. Jeżeli nie ma takiej woli, po złożeniu stosownego pisma zostaje przeniesiony do rezerwy, również zwiększając potencjał obronny kraju.

Po ok. 10 dniach po zakończonym szkoleniu na konta uczestniczących w nim żołnierzy trafia żołd (obecnie ma to być 6 tys. zł), oczywiście nie pomniejszany o koszty ich utrzymania i wyżywienia – według rozmówców całkiem dobrego – w jednostce wojskowej.

Po odświadczeniu minimum dwóch dni miesięcznie żołnierze WOT mogą liczyć na dodatek za gotowość (600 zł), wynagrodzenie również za dodatkowe służby i kursy specjalistyczne oraz 78-proc. zniżkę na bilety PKP.

Czy rozbudowanie korzyści w postaci chociażby ulg podatkowych i wyższego żołdu dla przechodzących szkolenie wojskowe Polaków poskutkuje i zaczną się oni masowo zgłaszać na dobrowolne przeszkolenie wojskowe? Czy może rząd przygotuje innego rodzaju zachęty dla poborowych? Według słów premiera – przekonamy się za rok. 

Jak Nawrocki znokautował „Nikosia”

„G angster gentleman”, „król złodziei”, „herszt polskiej mafi”. Tak celebryckie, milicyjne i esbeckie lobby od dziesięcioleci snuje opowieść o Nikodemie Skotarczaku „Nikosiu”. Tymczasem wystarczyła jedna książka, by rozbić w pył kinową i filmową bajkę o drobnym cwaniaczku, który od początku swojej kariery chodził na pasku komunistycznej milicji i ich mocodawców ze Służby Bezpieczeństwa. Pogromcą mitu „Nikosia” okazał się Karol Nawrocki, prezes Instytutu Pamięci Narodowej i kandydat obywatelski na prezydenta Polski.

ROZPRAWA Z LEGENDĄ

Ale zacznijmy od początku. W 2018 r. na rynek księgarski trafia „Spowiedź Nikosia z za grobu”. Krzykliwa okładka i mocny tytuł mają pomóc wydawnictwu w sprzedaży. Ale treść nie ma nic wspólnego z tabloidową opowieścią, jakich setki pojawiają się w księgarniach. To potężnie udokumentowana praca historyczna. Oparta na dokumentacji Instytutu Pamięci Narodowej i podparta doskonałą wiedzą o działaniu aparatu represji PRL.

Na okładce widnieje nazwisko „autora”. To nikomu nieznany Tadeusz Batory. Kim naprawdę jest ten człowiek? Musiało minąć kilka lat, by to ustalić, zrobiła to redakcja telewizji w Polsce24. Dziś nie ma już wątpliwości, że autorem jest Karol Nawrocki, prezes IPN, który naukowo od lat zajmował się światem przestępczym w czasach PRL i po 1989 r. Książka budzi ogromny respekt, szczególnie swoimi historycznymi materiałami. Jak wygląda postać „Nikosia” w ujęciu obecnego prezesa IPN? Żalśnie.

*Ta książka to efekt
żmudnych badań
historycznych, także
nad materiałami
zgromadzonymi
w Instytucie Pamięci
Narodowej, nad setkami,
jeśli nie tysiącami
stron zeznań, ustaleń
milicyjnych*



WOJCIECH BIEDROŃ

Wiele wskazuje na to, że jako drobny cinkciarz i gospodarczy, wówczas jeszcze trzeciroligowy przestępca, na przełomie lat 70. i 80. XX w. „Nikoś” podejmował pewien rodzaj nieformalnej współpracy nie ze Służbą Bezpieczeństwa, ale z Wydziałem Przestępstw Gospodarczych KW MO/WUSW w Gdańsku, jak niemal każdy reglamentowany wówczas cinkciarz i drobny złodziej, chcący funkcjonować „na mieście”. „Na potwierdzenie oczywistej w tamtym środowisku współpracy można dodać, że »Nikosia« wielokrotnie widziano w towarzystwie płk. Władysława Sikorskiego – ówczesnego szefa

wydziału przestępstw gospodarczych. Spotykali ich razem trójmiejscy złodzieje, milicjanci, w końcu złodzieje w mundurach, z którymi rozmawiałem już w XXI w.” – podkreśla Karol Nawrocki.

Dr Nawrocki w bokserkim stylu rozprawia się z legendą „Nikosia”. Nie pozostawia złudzeń, że „król gangsterów” to w istocie zwykły opryszek, który sprytem i koneksjami w ówczesnym aparacie władzy zdobył sławę w Trójmieście i w całej Polsce. „»Nikoś« nie był ani jedynym, ani wyjątkowym polskim złodziejem samochodów w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. [...] Całą narrację wokół kradzieży samochodów w PRL-u sprowadza się do budowania mitycznego obrazu jednej postaci – »Nikosia«. Naszego »bohatera« nazywa się »największym paserem samochodowym w historii Polski«, nie wymieniając nawet skali tego zjawiska [...]” – zauważa autor książki.

WYGODNY SŁUP

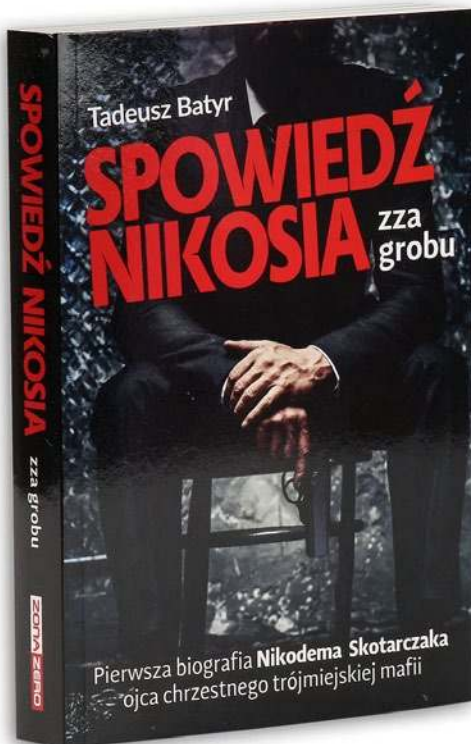
Nawrocki w oparciu o archiwa przekonywał, że „w »Nikosiu« zamknięto całą opowieść o przestępczości zorganizowanej z lat 80.” „Był doskonałym kandydatem – bardzo lubił siebie, media i zbytek, był kontaktowy, akceptowalny do ludzi, żądnym popularności. Świetny kandydat na gangsterską gwiazdę, rzecznika prasowego związków przestępczych. Stąd właśnie był bardzo wygodny dla całego świata przestępczego lat 80., pozostającego w żywych kontaktach ze światem bezpieczeństwa i służb. Zamknął w sobie tę opowieść, a potem zginął. Właśnie po to, aby inni, nieznani gangsterzy mogli dalej robić swoje interesy. Ale już w III Rzeczypospolitej”

– stwierdził Karol Nawrocki w 2018 r. w wywiadzie z portalem wPolityce.pl, kiedy posługiwał się nazwiskiem „Batyr”.

„W życiu zawodowym »Nikosia« oraz w tej książce znajdziemy mechanizm przypominający Amber Gold. W tym znaczeniu mamy do czynienia z rodzajem kontynuacji praktyk. Obrotny »słup«, ściągający na siebie uwagę całej opinii publicznej, spowity ignorancją, współpraca lub nawet opieką służb specjalnych. A wszystko, co najważniejsze, nie dzieje się na scenie, czyli wokół głównego aktora, a głęboko poza nią. Jest to mechanizm gwarantujący bezpieczeństwo głównym rozgrywającym” – tłumaczył autor „Spowiedzi Nikosia z za grobu”.

NAWROCKI PSUJE NARRACJĘ

Książka Karola Nawrockiego rozbija jeszcze jeden mit, tym razem dotyczący samego autora. Wściekle z powodów jego rosnących sondaży lewicowe media od miesięcy snują kłamliwą narrację na temat kandydata obywatelskiego na prezydenta. Próbuje robić z prezesa Instytutu Pamięci Narodowej oprysk, który jest za pan brat z dawnym półświatkiem Trójmiasta. Ta wyssana z palca teoria świetnie się sprzedaje. Szkopuł w tym, że Nawrocki zniszczył legendę „Nikosia”, znokautował ją po mistrzowsku – jak przystało na historyka. Czy zrobiłby to jako „element” słynnego „układu gdańskiego”? Czy narażałby się wciąż jeszcze bardzo



wpływowym przyjaciółom zmarłego tragicznie bandziora?

Co jest istotą tej książki, głównym z niej wnioskiem? To wiedza, kim naprawdę był „Nikoś”, drobny cwaniaczek, cinkciarz, ale medialny ulubieniec, kochany przez ludzi władzy schyłku lat 80., a potem wielki przyjaciel elit po 1989. r. On został przez nie stworzony, narysowany. Tymczasem szczyt jego kariery w PRL przypada na ciemną noc stanu wojennego. Ludzie, o których pisze Karol Nawrocki, a którzy stanowili tło medialnej kariery „Nikosia”, nadal są

bardzo niebezpieczni, mają też bardzo niebezpiecznych przyjaciół. Tym bardziej należy się Nawrockiemu szacunek.

Dzisiaj dla mafiosów, którzy wyrosli w latach 70., 80. i 90. XX w., ta legenda Skotarczaka jest bardzo ważna. Ona ich socjalizuje, pokazuje, że wprawdzie byli strasznymi bandytami, ale przecież „sprytnymi, robiącymi system w balona” itd. To nieprawda, a Karol Nawrocki robi porządek także z tym mitem. Warto dodać,



Nikodem Skotarczak

że obecny prezes IPN nie napisał tej książki jak niegdyś Mario Puzo swojego „Ojca chrzestnego”, gdzie bajka dominowała nad rzeczywistością.

Książka Nawrockiego to efekt żmudnych badań historycznych, także nad materiałami zgromadzonymi w Instytucie Pamięci Narodowej, nad setkami, jeśli nie tysiącami stron zeznań, ustaleń milicyjnych.

Książka Nawrockiego to także opowieść o nim samym. Skutecznym burzycielu dobrego humoru (często postkomunistycznych) elit III RP. Odważnie rozdającego razy postsowieckim sentymentom i ich orędownikom w Polsce po 1989 r. Jest bezkompromisowy, ale nie sili się na moralizatorskie tezy. To fighter, który rozumnie i z dużą gracją zongluje materiałami operacyjnymi, zeznaniami świadków oraz notabli lat 80. i 90. Zadaje też trudne pytania, wskazując, że archiwa Urzędu Ochrony Państwa mogą odkryć kolejną część opowieści o Nikodemie Skotarczaku oraz jego podejrzanych koneksjach w elicie celebryckiej Polski lat 90.

Miejmy nadzieję, że historia dopisze kolejny rozdział do tej ciekawej pozycji na naszych półkach księgarskich. Jedno jest pewne – celebrycka historia „Nikosia” to operacja specjalna komunistycznego aparatu władzy, prawdziwej mafii lat 80. i 90., ludzi, którzy do dziś sporo mogą i doczekali się kolejnych pokoleń naśladowców.

Celebrycka historia „Nikosia” to operacja specjalna komunistycznego aparatu władzy, prawdziwej mafii lat 80. i 90., ludzi, którzy do dziś sporo mogą i doczekali się kolejnych pokoleń naśladowców



Pompowanie Mentzena

Partie koalicji rządzącej, zależne od nich media i sondażownie zawarły sojusz, by wypromować kandydata Konfederacji jako tego drugiego



STANISŁAW JANECKI

Sławomir Mentzen, kandydat Konfederacji na prezydenta, praktycznie niepodważalnie zajmował trzecie miejsce w sondażach. I zawdzięczał to głównie sobie, choć Konfederacja też rosła. Dla samego kandydata oraz jego partii było to oczywiście za mało, dlatego pojawiło się hasło „Mentzen. Druga tura”. Trzecie miejsce w sondażach właściwie nikogo nie zadowalało. Przede wszystkim nie zadowalało Rafała Trzaskowskiego i stojącej za nim Koalicji Obywatelskiej. Im bowiem

silniejszy Mentzen, tym gorszy wynik prezydenta Warszawy w pierwszej turze. A ten wynik ma przecież między turami przekonać Polaków, że Trzaskowski to potęga. Na podobnej zasadzie, jak zebranie 1,1 mln podpisów, choć wymagane jest 100 tys. (skądinąd chyba efekt zepsuło to, że w 2020 r. Trzaskowski zebrał 1,6 mln podpisów).

Ale sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby Mentzen był drugi, a nie trzeci. Dla Trzaskowskiego to wymarzony układ, bo wprawdzie traciłby głosy w pierwszej turze, ale za to miałby „ustawioną” turę drugą. W ten sposób, że Sławomira Mentzena można by przedstawiać jako śmiertelne zagrożenie dla demokracji (mniej więcej takie jak Călin Georgescu w Rumunii), a Rafała Trzaskowskiego jako jej jedyne obrońcę. Zaraz by wyciągnięto tzw. piątkę Mentzena: „Nie chcemy Ży-

dów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”. W ten sposób Trzaskowski uniknąłby przekształcenia się drugiej tury w plebiscyt (referendum) dotyczący rządów Donalda Tuska i koalicji 13 grudnia, co prezydentowi Warszawy ewidentnie szkodzi, bo zła ocena rządu najbardziej ciągnie go w dół. Zamiast tego byłby plebiscyt o przyszłość Polski: czy ma być narodowo-autorytarna, czy demokratyczna.

Mentzen w roli drugiego byłby też zbawienny dla kandydatów Trzeciej Drogi (Szymona Hołowni) i Lewicy (Magdaleny Biejat). A to dlatego, że mieliby oni usprawiedliwienie dla (przewidywanych) własnych słabych wyników. Skoro przegrałby Karol Nawrocki oraz Prawo i Sprawiedliwość, to ich klęska nie rzuciłaby się tak w oczy i nie byłaby bardzo źle oceniana, więc w przegranych partiach można by uniknąć rozliczeń.

Te czynniki zadecydowały, żeby pomóc Mentzenowi i zacząć go pompować. Pomysł pojawił się w Platformie Obywatelskiej (autorstwo przypisuje się Igorowi Ostachowiczowi) i zaczął pączkować na sojusznicze partie, media oraz środowiska opiniotwórcze (w kulturze, nauce, wolnych zawodach).

SONDAŻE KONTROLOWANE

7 marca 2025 r. na portalu Onet ukazał się tekst stawiający tezę, iż PSL pogodziło się z przewidywaną klęską Szymona Hołowni, więc będzie wspierać Sławomira Mentzena, bo to się partii najbardziej opłaci. Akcja PSL, żeby pomóc kandydowi Konfederacji przejść do drugiej tury, jest jednak wtórna w stosunku do tego, co wymyślono w otoczeniu Donalda Tuska. Wśród najbliższych współpracowników premiera krąży taka wersja wydarzeń, że w lutym 2025 r. miał on wydać dyspozycję, by politycy KO nie atakowali Mentzena i wszędzie podkreślali, że już w marcu 2025 r. kandydat Konfederacji wyprzedzi w sondażach Nawrockiego. I to on zmierzył się w drugiej turze z Trzaskowskim.

Umyślnym Tuska ma być Paweł Graś, zaangażowany w przekonywanie polityków Trzeciej Drogi, żeby podjęli podobne decyzje. Z Lewicą jest trudniej z powodów ideowych (dla nich Mentzen to właściwie faszysta), więc wyznaczono jej zadanie propagowania mijanki Ment-

zena z Nawrockim. Wysłannik Tuska miał się też spotykać z szefami różnych pracowni badania opinii publicznej, żeby przekonać ich do pompowania wyników Mentzena. Miały paść obietnice zamówienia korzystnych dla niego badań wprost za pieniądze PO lub współfinansowane razem z prorządowymi mediami, także zobowiązanymi do pompowania Mentzena. Efektem ma być cała seria sondaży dowodzących mijanki, publikowanych przede wszystkim w kwietniu i na początku maja 2025 r. Tak, żeby przed pierwszą turą kandydat Konfederacji funkcjonował jako ten drugi.

Proces pompowania Mentzena zaczął się już w marcu. W badaniu Pollster dla „Super Expressu” z 10 marca 2025 r. już on jest drugi. Wygrywa Trzaskowski (37 proc.), a Mentzen (22 proc.) wyprzedza Nawrockiego (21 proc.). W badaniu „rządowego” CBOS przeprowadzonym 3-6 marca 2025 r. prowadzi wprawdzie Trzaskowski (35 proc.), drugi jest Nawrocki (23 proc.), ale trzeci Mentzen ma już 21 proc. poparcia. Kandydat Konfederacji po raz pierwszy przekroczył próg 20 proc., co ma dowodzić szybkiej pogoni za Nawrockim i mijanki jeszcze w marcu 2025 r. Sondaż pracowni SW Research wygląda tak, jakby błyskawicznie chciano osiągnąć mijankę. W tym badaniu zastosowano tylko technikę CAWI (ankietowany dostaje ankietę przez internet i sam ją wypełnia), która najmocniej wyklucza „nieinternetowych” wyborców, czyli te grupy, w których PiS oraz Nawrocki notują najlepsze poparcie. W efekcie Trzaskowskiemu przypisano poparcie na poziomie 33,6 proc., ale Mentzen był drugi – 18,9 proc. Nastąpiła więc mijanka z Nawrockim – trzecie miejsce i poparcie na poziomie 16,5 proc. W badaniach z marca 2025 r. widać szybki wzrost Mentzena i spadki Nawrockiego, choć jeszcze pod koniec grudnia 2024 r. obu kandydatów dzieliło 13 pp. na korzyść kandydata obywatelskiego.

CZEKANIE NA NOWĄ PRAWICĘ

Akcja zainicjowana przez PO i Tuska, podjęta także przez PSL, wynika z prze-

konania, że pompowanie Mentzena jest opłacalne dla wszystkich, nawet gdy wiąże się z wydaniem pieniędzy na sondaże i akcje lewarujące jego notowania. Wysłannicy premiera mieli przekonywać liderów Polskiego Stronnictwa Ludowego, że porażka wyborcza Nawrockiego zapoczątkuje rozpad PiS i przeobrażenie się prawej strony sceny politycznej. PSL miało się umocnić także w ten sposób, że z częścią polityków należących obecnie do PiS budowałoby nową centroprawicę (z dominacją PSL). W wyborach prezydenckich ludowcy nie wystawili własnego kandydata, ale poparli swojego koalicjanta Szymona Hołownię.

Jednak nikt nie ma już złudzeń, że wynik marszałka Sejmu będzie katastrofalny, więc nie warto tracić

Wśród najbliższych współpracowników premiera krąży taka wersja wydarzeń, że w lutym 2025 r. miał on wydać dyspozycję, by politycy KO nie atakowali Mentzena i wszędzie podkreślali, że już w marcu 2025 r. wyprzedzi on w sondażach Nawrockiego

głosów i pieniędzy. Lepiej taktycznie wesprzeć Mentzena. Tym bardziej że w Trzeciej Drodze coraz liczniejsze są głosy, iż marszałek Sejmu wycofa się z kandydowania, a na pocieszenie zostanie na obecnym stanowisku do końca kadencji. Problemem jest tylko to, że stanowczo nie godzą się na Lewica i „następcę” Hołowni Włodzimierz Czarzasty. Porażka lidera Polski 2050 prawie na pewno zakończy wspólny z PSL projekt Trzeciej Drogi, więc ludowcy przymierzają się do nowego otwarcia na prawicy. A utracenie Nawrockiego poprzez wsparcie Mentzena miałoby sprawić, że Polskie Stronnictwo Ludowe będzie lepiej przygotowane na

wybory parlamentarne w 2027 r. i uzyskać wtedy wyższe poparcie.

W PSL kombinują, że jeśli Nawrocki nie wszedłby do drugiej tury, dla PiS oznaczałoby to trzęsienie ziemi. Ludowcy przygotowują się więc do tworzenia wspólnej prawicowej siły z „umiarkowanymi” pisowcami, którzy odejdą z partii Jarosława Kaczyńskiego. Wśród polityków PiS wzbudza to raczej wesołość niż przynęcenie, bo uważają oni, że nie ma żadnych szans na przebudowę prawej strony sceny politycznej, a w samym PiS dawno już nie ma ewentualnych rozłamowców – jak w wypadku tych, którzy w grudniu 2010 r. założyli partię Polska Jest Najważniejsza. Są frakcje, ale nie ma zagrożenia rozpadem.

W akcję pompowania Mentzena zaangażowała się nawet „Gazeta Wyborcza”, choć z pewnym obrzydzeniem. W relacji z objazdu kandydata Konfederacji po Polsce często go chwali. W tekście z 9 marca 2025 r. niejaki „pan Roman” przyszedł posłuchać Mentzena w Ostrowie Wielkopolskim. I ponoć stwierdził: „PiS przesadził, źle potraktował te mniejsze partie, okopał się i to nie wyszło. Ja bym chciał, żeby Mentzen dostał się do drugiej tury. Mówi do rzeczy, nie kłamie. Tamci jednego dnia mówią jedno, innego drugie. Dobre ma poglądy”. Z kolei „pan Jarosław” stwierdził, że „Nawrocki jest troszeczkę nijaki. Szczepke mówiąc, myślałem, że wypuszczą Tarczyńskiego. On miałby większe poparcie, to jest facet konkretny. Powiem panu, że z Mentzenem może być niespodzianka”. Gazeta Michnika cytuje Krzysztofa Rzońcę, sekretarza wchodzącej w skład Konfederacji partii Mentzena – Nowej Nadziei: „Od stycznia tego roku przybyło łącznie kilka tysięcy nowych członków partii, sympatyków i wolontariuszy”. Konkluzja jednego z tekstów „Gazety Wyborczej”, jest taka (miał tak powiedzieć jeden z uczestników spotkań z Mentzenem): „Jak będzie dogrywka między Mentzenem a Trzaskowskim, to Mentzen wygra”. Oczywiście autorzy planu pompowania kandydata Konfederacji w to nie wierzą, choć w „Gazecie Wyborczej” trochę się boją, że może z tym być jak z osobnikiem stworzonym przez doktora Frankenstein. 

Życie jak w Madrycie

Polacy boją się wojny. Ci, których na to stać, szukają dróg ucieczki. Myślą o tym, aby znaleźć się jak najdalej od Rosji. Najdalej w Europie znajduje się Hiszpania. Dlatego na wypadek wojny właśnie tam chcą się ewakuować nasi najbardziej zamożni rodacy



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po wybuchu wojny za naszą wschodnią granicą w Polsce pojawiły się setki tysięcy uchodźców z Ukrainy. Większość z nich stanowiły kobiety z dziećmi, które aby się utrzymać, podejmowały pracę w sektorze usługowym – najczęściej w sklepach, restauracjach, salonach fryzjerskich itp. Jednak to nie one najbardziej rzuciły się w oczy.

W tym samym czasie pojawiła się bowiem zupełnie inna grupa, która, choć znacznie mniejsza, szybko wysunęła się na pierwszy plan. Byli to ludzie zamożni, w drogich samochodach, którzy wynajmowali apartamenty na grodzonych osiedlach dużych miast. Pomimo że byli uchodźcami wojennymi, ich standard życia pozostawał wysoki, często wyższy niż większości Polaków. Epatowali pieniędzmi, stołowali się w eleganckich restauracjach, robili zakupy w drogich sklepach. Oczywiście wszystko to nie świadczyło o niczym złym, w końcu schronili się u nas ludzie z różnych środowisk i o różnym statusie

majątkowym, jednak dla wielu Polaków, zwłaszcza tych biedniejszych, był to zgrzyt.

DEKOWNICY

W powszechnym odczuciu uciekinier wojenny powinien być przerażonym człowiekiem, który ratując życie, musiał nagle porzucić swój dom. Tacy, a była ich większość, budzili wśród Polaków ogromne współczucie. Co innego jednak bogaci, których było stać w Polsce na drogie mieszkania, samochody i wystawne życie. Tych obdarzano niechęcią, która po jakimś czasie stała się tak silna, że zaczęła rzutować na postrzeganie ukraińskich uchodźców w ogóle.

Szczególny niesmak budzili młodzieńcy w wieku poborowym, którzy zamiast stanąć w obronie swojego kraju, rozbijali się po polskich ulicach w drogich samochodach. Jeszcze większą irytację wywołał ukraiński tiktoker Crowley, budujący swoją popularność w internecie na złośliwych wybrykach w warszawskich centrach handlowych.



O ile można było zrozumieć, że nie każdy młody człowiek chciał ginąć na wojnie, o tyle niepojęta była ostentacja, z jaką ci bogaci młodzi Ukraińcy zachowywali się na uchodźstwie. Zamiast siedzieć cicho, po prostu dawali wszystkim do zrozumienia, jak bardzo mają gdzieś wojnę i swoich – mniej bogatych i mniej zaradnych rówieśników, którzy polegli na froncie.

W ten sposób do wielu Polaków dotarła kolejna prawda o wojnie – że jej konsekwencje nie dotyczą wszystkich w tym samym stopniu. Że najbogatsi zawsze uciekną i będą mogli żyć, często na podobnym poziomie jak wcześniej, podczas gdy bomby uderzą w całą resztę, przede wszystkim w tych biedniejszych. Ta prawda jest uniwersalna i nie dotyczy wyłącznie Ukraińców. Po-



lacy niewiele różnią się bowiem w tej kwestii od swoich sąsiadów ze wschodu.

BYŁE DALEJ OD WOJNY

Polacy boją się wojny. Pokazują to wszystkie badania opinii publicznej. W grudniowym sondażu przeprowadzonym przez United Surveys dla „DGP” ankietowanym zadano pytanie, czego najbardziej obawiają się w 2025 r.

Najwięcej odpowiedzi (51,6 proc.) dotyczyło strachu przed wciągnięciem Polski do wojny. Jak widać, ten strach dotyczy ponad połowy społeczeństwa, ale reakcje na to zagrożenie są różne i najczęściej wynikają z grubości portfela.

Ci, których na to stać, szukają dróg ucieczki. Myślą o tym, aby znaleźć się jak najdalej od Rosji i potencjalnej linii frontu. Najdalej w Europie znajdują się Hiszpania i Portugalia. Dlatego na wypadek wojny właśnie tam chcą się ewakuować nasi najbardziej zamożni rodacy.

Ich szczególnym zainteresowaniem cieszy się Hiszpania. Bo łatwiej tam dojechać, mieszka tam więcej Polaków niż w Portugalii i jest relatywnie tanio. Przy czym ci najbogatsi wybierają Wyspy Kanaryjskie, a ci z nieco chudszy portfelem Hiszpanię kontynentalną – najczęściej śródziemnomorskie wybrzeże: Katalonię, Walencję (Costa Blanca) oraz Andaluzję, gdzie znajduje się słynny region turystyczny Costa del Sol. Zdecydowana większość mieszkańców (90 proc.) jest kupowanych za gotówkę, pozostałe na kredyt bankowy.

Według danych Biura Maklerskiego Pekao w 2023 r. nasi rodacy kupili w Hiszpanii 3118 apartamentów. Dla porównania, w 2022 r. było to niemal 3 tys. mieszkań i domów. Pełnych danych za 2024 r. jeszcze nie ma, ale wszystko wskazuje na to, że utrzyma się trend wzrostowy.

„Wiosną zainteresowanie było tak duże, że nie byliśmy w stanie wszystkich obsłużyć. Niektórym klientom musieliśmy niestety odmawiać” – przyznał w rozmowie z portalem money.pl Jacek Szyc, właściciel biura nieruchomości Carisma.

Jego słowa potwierdza rejestr urzędu Registradores de España, według którego w trzecim kwartale 2024 r. Polacy wspięli się na czwarte miejsce wśród obcokrajowców kupujących nieruchomości w Hiszpanii (za Brytyjczykami, Niemcami i Marokańczykami). Udział naszych rodaków w hiszpańskim rynku nieruchomości wyniósł w tym czasie 5,32 proc. Najczęściej kupowane są używane dwu- lub trzypokojowe mieszkania o powierzchni 60–120 m² i wartości do 150 tys. euro, choć nie brakuje chętnych na nowe apartamenty w dobrych lokalizacjach powyżej 4 tys. euro za 1 m².

MIESZKANIA EWAKUACYJNE

Boom na Hiszpanię rozpoczął się, co przyznają wszyscy pośrednicy w handlu nieruchomościami, natychmiast po wybuchu wojny na Ukrainie. „W momencie ataku Rosji na Ukrainę rozdzwoniły się telefony. Wielu klientów szuka na południu Europy bezpiecznej przystani dla rodziny” – mówił w rozmowie z miesięcznikiem „Forbes” Grzegorz Wojciechowski zajmujący się hiszpańskim rynkiem nieruchomości. Wtórę mu – w wypowiedzi dla tego samego pisma – analityk Tomasz Narkun. „Nagle osoby z grubszym portfelem zdecydowały się na zakup poza granicami Polski” – zauważył.

Ja sam miałem podobną sytuację, gdy tuż po wybuchu wojny na Ukrainie niespodziewanie zadzwonił do mnie bardzo bogaty znajomy, środowiskowo związany z obozem Platformy, aby poznać moją opinię na temat dalszych losów wojny („Jak to się rozwinie?”) i czy „należy już uciekać do Hiszpanii”. Podobne plany i rozterki zaobserwowałem też wśród kilku znanych mi osób iście lemingów. Jakie były rezultaty tych rozmów? I czy mieszkania zostały już kupione – nie wiem. Wiem natomiast, że ewakuacja do Hiszpanii w chwili wybuchu wojny ciągle jest aktualna.

Co ciekawe, mało kto z kupujących hiszpańskie nieruchomości oficjalnie przyznaje, że te inwestycje mają związek z wojną na Ukrainie. Zakup mieszkań ewakuacyjnych najczęściej jest uzasadniany potrzebą znalezienia wygodnego lokum wakacyjnego („w Hiszpanii jest 300 słonecznych dni w roku”), chęcią ulokowania oszczędności („w Polsce jest za wysoka inflacja”) albo podjęcia pracy („studiowałem/studiowałam w Hiszpanii i bardzo mi się tam spodobało”). Tak się przy tym złożyło, że to nagle oczarowanie Hiszpanią pojawiło się u większości kupujących dopiero w 2022 r.

W tym kontekście najbardziej rozbijająca była para celebrytów: Joanna Koroniewska i Maciej Dowbor, którzy przekonywali, że decyzję o zakupie dwupiętrowego domu w Marbelli podjęli zupełnie spontanicznie – w pierwszej połowie 2022 r. „Czasem najbardziej szalony pomysł okazuje się najlepszą decyzją w twoim życiu” – napisali w mediach społecznościowych.

JAKOŚ TO BĘDZIE

Czy zakup nieruchomości w Hiszpanii będzie „najlepszą decyzją podjętą w życiu”? To się jeszcze okaże. Tamtejsze władze są zaniepokojone inwazją cudzoziemców. Coraz więcej Hiszpanów narzeka, że nie stać ich na zakup mieszkania, bo przyjezdni podbijają ceny (wzrost 6 proc. rok do roku). Niektórzy protestują. Dlatego pojawił się pomysł, aby opodatkować wakacyjne nieruchomości. Z wysokich opłat byłoby zwolnieni wyłącznie ci, którzy mieszkają w Hiszpanii na stałe i rozliczają się z tamtejszym urzędem skarbowym. Jeśli do tego dojdzie, nasi zaradni rodacy będą musieli zdecydować, czy przenoszą się do Hiszpanii na dobre i złe, czy wolą nadal trzymać mieszkania ewakuacyjne w pogotowiu i płacić w zamian wysokie podatki.

Na razie bowiem przeważa model Polaka dojeżdżającego. Mieszkanie w Hiszpanii jest zazwyczaj rezerwowym lokum na wypadek wojny. Jego polscy właściciele spędzają w nim kilka tygodni lub miesięcy w roku, ale na stałe mieszkają w kraju. Bywa też tak, że ktoś mieszka dłużej – nawet na stałe – ale pracuje zdalnie w Polsce i tu rozlicza się z podatków.

Miłośnicy Hiszpanii mogą mieć też inne kłopoty. Przede wszystkim ocupas, czyli nielegalni lokatorzy. Zgodnie z tamtejszym prawem, po upływie 48 godz. od włamania bardzo trudno jest usunąć z własnego mieszkania osoby, które wdarły się do niego nielegalnie. W Hiszpanii notuje się ok. 15 tys. takich przypadków w roku. Rozwiązaniem jest założenie alarmu oraz zakup abonamentu w firmie ochroniarskiej, która interweniuje w przypadku wejścia intruzów i usunie ich z mieszkania przed upływem krytycznych 48 godz. Zaleca się także kupowanie nowych nieruchomości na strzeżonych osiedlach, które są mniej narażone na takie sytuacje. Oczywiście takie mieszkania są droższe.

Jeszcze innym problemem, na który narzekają polscy przybysze, są nieźne upały (ach, te 300 słonecznych dni w roku) oraz związana z nimi susza. Są miejsca, gdzie skutek utrzymującej się suszy woda może być racjonowana.

Okazuje się także, iż życie w Hiszpanii może być trudne z innych powodów. Kłopot sprawiają skomplikowane przepisy i podatki oraz słaba znajomość angielskiego w wielu miejscowych urzędach. Hiszpanie mają też inny niż Polacy stosunek do upływu czasu i obowiązków. Nie ma żadnej gwarancji, że ustalony termin będzie dotrzymany, a ważna sprawa załatwiona. Również niektórzy pośrednicy w handlu nieruchomościami mogą się okazać nieuczciwi. Atrakcyjne ceny mieszkań często bywają na wyludnionej prowincji, gdzie w promieniu wielu kilometrów nic nie ma.

Boom na hiszpańskie mieszkania rozpoczął się, co przyznają wszyscy pośrednicy w handlu nieruchomościami, natychmiast po wybuchu wojny na Ukrainie

Życie w Hiszpanii nie musi więc być takie słodkie, jak się zdaje. Jednak nasi „wojenni inwestorzy” starają się o tym nie myśleć. Niektórzy – to relacje z pierwszej ręki – uważają, że najważniejsze, aby wydostać się spod kul i bomb, a potem przyjdzie czas, by martwić się o warunki i środki do życia. Inni, ci najbogatsi, są przekonani, że nawiązali już tyle kontaktów biznesowych, że wszędzie dadzą sobie radę.

SOLIDARNI NA ODLEGŁOŚĆ

Wśród Polaków szukających schronienia przed wojną w Hiszpanii dominują ludzie, którym się w Polsce powodzi. I nie chodzi tylko o to, że stać ich na zakup nieruchomości za granicą, ale również o to, że nie muszą codziennie zasuwać do pracy. To często adwokaci, wysoko postawieni biznesmeni, finansisci oraz celebryci. Hiszpania jest modna szczególnie wśród tych

ostatnich. Jak można wyczytać w internecie, w ostatnim czasie – oprócz wspomnianych już Koroniewskiej i Dowbora – nieruchomości kupili tam m.in. Beata Kozidrak, Patrycja Markowska (córka wokalisty „Perfectu”), prezenterka TVN Małgorzata Szlagowska, Kazik Staszewski (na Teneryfie) oraz Agata Młynarska. Ta ostatnia, choć bardzo zauroczona Hiszpanią, woli jednak, jak pisze, korzystać ze służby zdrowia w Polsce.

Większość z wyżej wymienionych trafiła na Półwysep Iberyjski „po pandemii”, jak eufemistycznie określają wojenną zawieruchę na Ukrainie. Oczywiście byli to zapewne zupełnie spontaniczne decyzje, podjęte na wieść o 300 dniach nasłonecznienia w Hiszpanii.

Jednak żarty na bok. Prawda jest taka, że wielu ludzi, którzy odnieśli w Polsce finansowy sukces (w tym przypadku wszystko jedno w jaki sposób) i zawdzięczają swojemu krajowi dobre życie, zamierza z tego kraju zwać, gdy tylko sytuacja się pogorszy. Byłoby to jeszcze zrozumiałe wśród tych, których w Polsce spotkała krzywda i niesprawiedliwość, ale akurat ci nigdzie się nie wybierają. Nie tylko dlatego, że ich nie stać, lecz także z tego powodu, że mimo niższej pozycji społecznej i finansowej czują się bardziej związani z własnym krajem niż beneficjenci ostatnich 35 lat istnienia III RP.

Wspominał o tym Jarosław Kaczyński, komentując sejmowe wystąpienie Donalda Tuska na temat sytuacji międzynarodowej. Obóz reprezentowany dziś przez premiera od początku swojego istnienia promował w społeczeństwie postawy permissywne, anty-wspólnotowe i w gruncie rzeczy antypatriotyczne. Były to – jak opisał to Kaczyński – „działania w kierunku wykorzenienia patriotycznego etosu rycerskiego”. Trudno się zatem dziwić, że elity III RP nie czują dziś żadnej odpowiedzialności za swój kraj. I przy nadarzającej się okazji czmychną, gdzie pieprz rośnie, nawołując innych do walki. Wzgardzona tłuszcza ma się za nich bić, podczas gdy oni sami będą jej solidarnie kibicować ze swoich słonecznych tarasów w Marbelli.



Bezprawie szerzone siłą

Przyszli parę minut
po godz. 6.00.
Zapukali do drzwi.
Dwóch mężczyzn
i jedna kobieta.
Żandarmeria
Wojskowa. Byli też
w dwóch innych
obiektach związanych
ze mną i mężem,
trzy ekipy – w sumie
chyba 11 osób

**Z Ewą Stankiewicz-
Jørgensen**, dziennikarką,
reżyserką, autorką filmów
o tragedii smoleńskiej,
rozmawia Piotr Gursztyn

*Spodziewała się pani rewizji
w swoim domu?*

Ewa Stankiewicz-Jørgensen: Po
tej władzy wszystkiego się można spo-
dziewać. Co nie oznacza, że kiedy to się
dzieje, człowiek nie jest zaskoczony.

*Według oficjalnego komunikatu
Żandarmeria Wojskowa szukała
dowodów związanych ze śledz-
twem smoleńskim. Była mowa
o 20 fragmentach samolotu Tupolew.
Czy w domu pani i pani męża
Glenna Jørgensena, byłego członka
podkomisji smoleńskiej, było coś
takiego?*

Oczywiście, że nie. Szukano fragmen-
tów rozbitego tupolewa. Większość
wraku samolotu wciąż jest u Putina
na mocy podstawy prawnej śledztwa.
Ta podstawa, na którą zgodził się Do-
nald Tusk, oddawała mu do dyspozycji
wszystkie dowody – ciała ofiar, wrak
samolotu, wszystko. Choć umowa po-
między Polską a Rosją gwarantowała
Polsce równy dostęp do dowodów.

Fot. Andrzej Wiktor

Innymi słowy Donald Tusk zrezygnował z uprawnień Polski na korzyść Rosji i odebrał nam szansę na realne własne śledztwo. Owszem, Polacy mogli otworzyć swoje śledztwo, ale tylko na bazie „dowodów” czy analiz, które zechciała udostępnić Rosja.

To był sabotaż polskich interesów. Wobec tak haniebnej postawy premiera i ówczesnego państwa prywatni ludzie, chcąc zdobyć jakiekolwiek dowody, jeszcze wiele miesięcy po tragedii zbierali z pola szczątki, pozostawione fragmenty wraku. Przywozili je do Polski i przekazywali prokuraturze. Ta twierdzi teraz, że część tych fragmentów zaginęła.

Jak wyglądało przeszukanie? Jak zachowywali się żandarmi?

Przyszli parę minut po godz. 6.00. Zapukali do drzwi. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Żandarmeria Wojskowa. Byli też w dwóch innych obiektach związanych ze mną i mężem, trzy ekipy – w sumie chyba 11 osób. U nas w mieszkaniu zachowywali się kulturalnie i starali się nie robić bałaganu. Aczkolwiek uczucie nie jest przyjemne. Nie wiem, czy to nie była jakaś wizja lokalna, wstęp do dalszych szykan. Przeglądano też szafy z dokumentami i książki.

Mówili coś poza protokołem?

Nie mówili nic poza protokołem. Byli uprzejmi i oficjalni. Kazali mi wydać 20 części rozbitego tupolewa. Powiedziałam, że ich nie mam, a oni zaznaczyli w protokole, że odmawiam wydania. Zaprotestowałam. Jak mogę odmówić wydania czegoś, czego nie mam. Powiedzieli, że formuła protokołu tego nie przewiduje, ale dopisali, co powiedziałam. Później to samo powtórzyło się w piwnicy. Zwykle pracuję do późnej nocy, więc rano nie byłam zbyt przytomna. Przeszukali wszystkie pomieszczenia, sporządzili protokół, wezwali mnie na przesłuchanie do prokuratury i wyszli. A ja poszłam otworzyć piwnicę pod innym adresem i tam na nowo rozpoczęła się rewizja. Ekipa, która była u nas w piwnicy, początkowo utrudniała pracę dziennikarzom. A dla mnie ich obecność była ogromnym wsparciem. Byli

ze wszystkich konserwatywnych mediów. Nie wymieniam nazw mediów, bo chciałabym wszystkich umieścić na pierwszym miejscu. Jestem wam bardzo wdzięczna. Dziękuję za każdy telefon, za obecność w mieszkaniu, za wyrazy solidarności i wsparcia. Dzięki wam udało mi się przetrwać to wszystko. Trudno wyrazić, jak bardzo się to liczy. Jesteście niezwykle potrzebni. Zwłaszcza teraz. Właśnie tacy, jacy jesteście – różni, o własnym, niepowtarzalnym charakterze.

Co zabrali? Dokumenty? Nośniki i urządzenia elektroniczne?

Niczego nie zabrali.

Powiedziała pani, że to działanie, którego celem jest uderzenie w pani męża. O co w tym chodzi?

Mąż zaangażował się w badanie katastrofy smoleńskiej. Jest inżynierem o specjalizacji wykorzystywanej w badaniu katastrof lotniczych. Ponadto jest certyfikowanym śledczym katastrof lotniczych po pięcioletnich studiach w jednym z dwóch najpoważniejszych ośrodków na świecie – Cranfield University w Anglii. Z jego badań wynika, że samolot uległ rozpadowi w wyniku serii eksplozji materiałów wybuchowych (wykluczając wybuch paliwa lotniczego, którego prędkość eksplozji jest znacznie niższa od materiałów używanych w przemyśle lub wojsku). Strona odpowiedzialna za zamach od lat próbuje zaatakować osoby, które udowadniają przyczynę rozpadu samolotu. Zwłaszcza tych, którzy mają argumenty i nie kompromitują śledztwa. Mąż był odpowiedzialny za współpracę badawczą ze stroną amerykańską. Przeszukanie może być wstępem do zaatakowania mojego męża.

Podjęmą państwo jakąś kontrakcję?

Tak. Nie będę uprzedzać.

Jaki jest głębszy sens tych działań? Przecież według oficjalnej narracji w sprawie Smoleńska wszystko wiadomo, to był nieszczęśliwy wypadek, a ludzie, którzy podważają tę wersję, są niepoważnymi i nieprzytomnymi szaleńcami. Po co prokuratura inte-

resuje się „niepoważnymi ludźmi” i „teoriami spiskowymi”?

Oszolomstwem jest twierdzenie, że 80-tonowy samolot rozpadł się na kilkadziesiąt tysięcy części w wyniku „uderzenia o rozmokły grunt pod niewielkim kątem” i nie pozostawił krateru. Oszolomstwem jest wiara, że brzoza może przeciąć skrzydło tupolewa. Że odseparowane drzwi samolotu mogły zostać wystrzelone z taką siłą, by zakopać się na 1 m pod powierzchnią ziemi, w okolicznościach katastrofy opisywanych przez rosyjską komisję MAK i żyrującą ją polską komisję Millera. Oficjalna narracja jest kłamstwem i ludzie, którzy ją głoszą, wiedzą to. Bardzo się boją, bo działali we współpracy z Putinem lub na rzecz jego interesu. To był rosyjski atak na państwo polskie, który byłby nie możliwy bez współudziału strony polskiej. Ci ludzie wciąż piastują wysokie stanowiska. Co do działań prokuratury i nakierowaniu jej zainteresowań... Wyobraźmy sobie hipotetyczną sytuację postrzelenia mężczyzny przechodzącego przez jezdnię, na pasach. Na miejsce przyjeżdża prokurator i bada przyczynę śmierci. Ale nie skupia się na ranie postrzałowej. Drobiazgowo ustala, czy mężczyzna przypadkiem nie wtargnął na jezdnię przy żółtym świetle. Właśnie takie mam skojarzenia z pracą prokuratury nad zamachem smoleńskim przez ostatnie 15 lat. Znam akta prokuratury z pierwszych lat badania i wiem, co mówię.

Zdawałoby się, że z punktu widzenia dzisiejszej władzy lepiej jest wyciszyć temat Smoleńska, niż go ożywiać.

Dzisiejsza władza kojarzy mi się z działaniem gangsterskim, a to są inne prawa. Zastraszanie, testowanie reakcji, gra na najniższych instynktach w celu mobilizacji półświatka...

Czy rzeczywiście powodem jest sprawa Smoleńska, czy stanowi ona pretekst, w którym chodzi o coś innego?

Smoleńsk to bardzo ważna sprawa. Bez ukarania zbrodniarzy nie będziemy mieć suwerennego, szanującego się państwa. Jeśli nie rozliczamy

tej zbrodni, a nawet pozwalamy, by Bronisław Komorowski nagrodził Mariana Janickiego, współodpowiedzialnego za odebranie ochrony należnej prezydentowi RP w dniu jego zabicia, to kim jesteśmy? Kto będzie nas szanował?

Czego się pani spodziewa od prokuratury i innych organów władzy?

Nie mówię teraz konkretnie o prokuraturze. Mówię o władzy Donalda Tuska. Mamy do czynienia z bezprawiem szerzonym siłą. W dodatku jesteśmy w bardzo niebezpiecznym momencie historii. Gdyby właściwie odpowiedzieć na Smoleńsk, być może można było zapobiec dzisiejszemu zagrożeniu. Ale tego nie zrobiono i teraz spodziewam się brutalnej walki. Na szczęście każda dyktatura upada. Problem z Polską jest taki, że zdrajcy często bywają bezkarni i dlatego co jakiś czas tracimy Polskę z mapy świata. Czas wyciągnąć wnioski.

Za chwilę 15. rocznica tragedii smoleńskiej. Jaka jest pani główna refleksja w tej kwestii?

Gorzka. Ekipa Donalda Tuska co najmniej zdradziła polskie interesy, a rola premiera w zamachu nigdy nie została dogłębnie zbadana. Z kolei ekipa prawicowa mimo wielu dobrych działań na rzecz bezpieczeństwa państwa nie zabezpieczyła państwa polskiego wystarczająco. A w sprawie Smoleńska nie wykazała skuteczności, determinacji ani faktycznej woli rozliczenia tej zbrodni. To się teraz bardzo, bardzo mści. I ma bezpośrednie przełożenie na nasze bezpieczeństwo. Może się okazać grzechem nie do odkupienia, przesądzającym o losach naszej ojczyzny. Przestrzegam przed sprowadzaniem Smoleńska wyłącznie do tego, jak wpływa na sondaże. To bardzo krótkowzroczne działanie. Jest to na rękę sprawcom. Niestety ulega temu część polityków po prawej stronie. Nie mówmy, bo się „nie oplaca”, bo to „polaryzuje”. Tym, co autentycznie polaryzuje, jest kłamstwo. I tym, co rzeczywiście „się nie oplaca”, a co najbardziej nam zagraża, to posiadanie

bezkarnych sprawców czy współwinnych tej zbrodni u władzy.

Gdzie jesteśmy na drodze ku finalnemu wyjaśnieniu Smoleńska? Czy jest możliwe, że w dobie konfrontacji z Rosją jakieś państwa trzecie ujawnią swoją wiedzę?

Od strony technicznej Polska ma dowody na eksplozję w Smoleńsku. Z kolei badanie łańcucha decyzyjnego skutkującego intencjonalną śmiercią polskiego prezydenta i 95 osób nigdy nie zostało przeprowadzone, za PiS była podjęta próba, ale ją zabloko-

Byli uprzejmi i oficjalni.
Kazali mi wydać 20 części
rozbitego tupolewa.
Powiedziałam, że ich nie mam,
a oni zaznaczyli w protokole,
że odmawiam wydania.
Zaprotestowałam. Jak mogę
odmówić wydania czegoś,
czego nie mam?

wano. Na przeszkodzie stoją władze i brak woli politycznej. Obijamy się pomiędzy tymi, którzy zacierają ślady, a tymi, którzy są słabi, nieskuteczni, bez determinacji, którzy tylko przemawiają na wiecach. Im większa ich bierność, tym większa krzywda ludzi i szybsza utrata państwa.

Nie mam wrażenia, by dzisiejsza opozycja polityczna reagowała odpowiednio do stopnia niszczenia państwa. To tak, jakby przeciwko gangsterom do walki wystawić letnich urzędników. Przecież po aresztowaniu posła Dariusza Mateckiego w Sejmie powinno się rozpętać piekło. A ja słyszę, że „skończy się podawanie rąk kolegom na korytarzu”. Serio? Ta słabość opozycji politycznej jest zachętą do dalszych represji. Czy ktoś planuje skoordynowane działania?

Wszystkie biura poselskie powinny zostać zaangażowane do ciągłej pracy – demokratycznego protestu i informowania świata o bezprawiu w Polsce. Powinny zostać udostępnione pomieszczenia na zorganizowaną pomoc prawną. Gdzie próba włączenia społeczeństwa w pracę na rzecz Polski? Autentycznej, podmiotowej współpracy? Przecież np. spotkania Karola Nawrockiego ujawniają kolosalny kapitał ludzki. Tych ludzi nie wolno się bać, że nie myślą partyjnie. Trzeba stworzyć przestrzeń na zagospodarowanie tego kapitału.

Musimy się samoorganizować. Bronić poszkodowanych. Nie dać się zastraszyć. Wzajemnie wspierać. I nie być bezkrytycznym dla liderów. Nie być pieniaczem, nie rozbijać, a także nie autoryzować nieudacznictwa. Oceniać po owocach. W sprawie Smoleńska państwo wciąż nie zdało egzaminu.

A co do ujawnienia wiedzy przez państwa trzecie... Nie sądzę, by np. Stany Zjednoczone podzieliły się wiedzą na temat Smoleńska. Zwłaszcza jeśli państwo polskie nie będzie o to usilnie zabiegać. Chciałabym się mylić. W historii pojawiają się różne karty przetargowe, ale tu trzeba liczyć na siebie.

Na koniec chciałabym jeszcze raz wszystkim podziękować.

Dzięki wam, dziennikarzom wolnościowych mediów, działania władzy dewastujące demokrację nie pozostają w ukryciu. To ekstremalnie ważne. Rośnie liczba ofiar represji. Posłowie Wąsik i Kamiński, ks. Olszewski i współpracujące z nim urzędniczki, urzędniczka premiera Morawieckiego – matka niepełnosprawnego dziecka i jej mąż, poseł Matecki, który siedzi w areszcie w Radomiu. To tylko najbardziej medialne „przypadki”, *de facto* ludzkie tragedie. Nie wolno nam zostawiać tych ludzi na pastwę reżimu Tuska.

W wyniku przeszukania otrzymaliśmy z mężem wsparcie od przyjaciół, znajomych i bardzo wielu zwykłych ludzi, którzy podchodzą do mnie na ulicy, by wyrazić solidarność. Dziękuję! Skala fali tej reakcji jest budująca. To daje nadzieję, że nikogo nie zostawimy samego.

Lekcja 10 dni kryzysu

Niezależnie od tego, czy Trump potrafi, czy nie skłonić Putina do zawarcia bezwarunkowego rozejmu, kluczowy jest powrót w saudyjskiej Dżuddzie do naturalnego układu sojuszów



JAN ROKITA

Fotografię z frontu w Donbasie, którą we wtorek 11 marca upowszechniono w sieci, zamieściły na swoich łamach czołowe europejskie gazety. Przedstawia ona zakonspirowany czołg na stanowisku ogniowym, a wokół niego grupę ukraińskich żołnierzy, po których widać, że dopiero co odebrali się od walki. Odwrócenie w stronę fotografa trzymają przed sobą plakaty, na których wydrukowano kolorowe flagi Ameryki i Ukrainy oraz napis w języku angielskim: „USA DZIĘKUJEMY ZA WSPARCIE, KTÓRE OCALA NASZ NARÓD”.

Na pierwszy rzut oka upozowana scenka robi surrealistyczne wrażenie,

tak bardzo ów kolorowy PR nie pasuje do realnej grozy sytuacji na pierwszej linii frontu. Ale fotografia jest przecież jednym z licznych świadectw tego, jak sprawnie i szybko przywództwo Ukrainy uczy się skutecznego działania w sytuacji, którą wielu uznało za beznadziejną. Ktoś przywiózł na front te plakaty, ktoś na chwilę odciągnął żołnierzy od walki, ktoś zrobił to zdjęcie i ktoś je upowszechnił. Ten ktoś dobrze rozumiał, co robi i po co.

Ministrowie Donalda Trumpa mają zobaczyć, a zwykli Amerykanie – wzruszyć, że to nie tylko Wołodymyr Zełenski bez ustanku powtarza, iż chce pracować „pod silnym przywództwem prezydenta Trumpa”, lecz nawet zwykli żołnierze na froncie mają potrzebę wyrażenia wdzięczności Ameryce. Cezarystyczny Trump wymaga od sojuszników posłuszeństwa i okazywania wdzięczności, więc otrzymuje z Kijowa to, czego pożąda. Tak samo jak w negocjacjach Andrija Jermaka i Andrija Sybiły z Mikem Waltzem i Markiem Rubio, które w ten sam wtorek miały miejsce w saudyjskiej Dżuddzie.

ZAWIESZENIE BRONI

Wyjściowy plan częściowego rozejmu przedstawiony tam przez Kijów z istotnym udziałem Anglików (w szczególności wysłanego przez Londyn doświadczonego mediatora Jonathana Powella) miał służyć okazaniu zaangażowania Ukrainy w osiągnięcie pokoju. W istocie był to tylko negocjacyjny gest dobrej woli, o którym z góry było wiadomo, że nie zostanie przyjęty. Amerykanie nie przedstawiliby przecież Putinowi oferty, wedle której to on miałby *de facto* przestać bombardować ukraińskie miasta, nie otrzymując niemal niczego w zamian.

Ukraina szybko przyjęła zatem plan pełnego i bezwarunkowego zawieszenia broni, o które z determinacją zabiega Trump, a które Zełenski odrzucił podczas nieszczęsnej wizyty w Białym Domu. Jeśli wierzyć przyciekom, Jermak upewnił się tylko wcześniej, że sekretarz stanu Rubio wydał właśnie amerykańskim agencjom wywiadowczym

rozkaz przywrócenia pełnej współpracy z ukraińską armią.

Dla Kijowa nie było we wtorek ważniejszej i bardziej pilnej sprawy do załatwienia. 30 dni rozejmu teoretycznie ma dać czas na dalsze, bardziej szczegółowe rozmowy pokojowe. Moskwa zapewne zrobi wszystko, aby nie doszły one do skutku, tyle tylko, że wina za to nie będzie już dalej mogła być przypisywana Ukraińcom. Ale niezależnie od tego, czy Trump potrafi, czy nie skłonić Putina do zawarcia bezwarunkowego rozejmu, kluczowy jest powrót w Dżuddzie do naturalnego układu sojuszów.

To Ameryka jako polityczny i militarny patron Ukrainy, nadal umożliwiając – jeśli będzie taka potrzeba – skuteczne prowadzenie wojny armii ukraińskiej, występuje z akceptowaną przez Kijów ofertą rozejmową wobec Moskwy. Tym samym Zelenski powraca do politycznej roli „lennika” amerykańskiego imperium, w najlepszym, średniowiecznym znaczeniu tego terminu. To znaczy dumnego władcy swojego kraju, który wszakże wie,

że może ocalić ów kraj przed wrogami tylko wtedy, jeśli otrzyma i przyjmie opiekę imperatora. Trump chce i bardzo lubi czuć się imperatorem, a dziś Zelenskiemu i jego krajowi nie może się zdarzyć nic lepszego niżli ten rodzaj amerykańskiego protektoratu.

TRUMP ZYSKAŁ, CO CHCIAŁ

Po Dżuddzie do swej normalnej, to znaczy drugoplanowej, roli wraca także Europa. Koncentracja uwagi świata na trzech następujących po sobie europejskich szczytach – w Paryżu, Londynie i Brukseli była czymś sztucznym, choć zrozumiałym w realiach głębokiego amerykańsko-ukraińskiego kryzysu. W kwestii wojny i pokoju od tych szczytów oraz występujących na nich europejskich liderów zależało niewiele albo zgoła nic. Ale proukraińska część opinii publicznej tak się przeraziła skutkami wydarzeń, które 28 lutego miały miejsce w Białym Domu, że rozpaczliwie poszukiwała kogoś, kto znajdzie wyjście z sytuacji.

Europa dobrze zrobiła, pocieszając Zelenskiego w opalach, a dobrą rolę odegrali przede wszystkim ci, którzy jak brytyjski premier Starmer naklaniali obie nagle pokłócone strony do zgody.

Ale przez tych 10 długich dni od 28 lutego do 11 marca Europa nie zdziałała niczego istotnego, bo też ze swą polityczną, finansową i militarną słabością niczego nie była w stanie zdziałać.

Te wszystkie nerwowe szczyty w jakimś sensie jeszcze bardziej obnażyły słabość Europy. Dwaj liderzy, którzy objęli przywództwo w akcji „ratowania Ukrainy” – premier Starmer i prezydent Macron, tym razem wyjątkowo (zwłaszcza jak na Francuza) nie kryli roli petentów ślących do Waszyngtonu przesłanie: „Bez ciebie, Ameryko, nic nie poradzimy”.

Trump zakpił sobie nawet z tego płacziwego tonu Europy, ale wolno sądzić, że wywołując kryzys z Zelenskim, musiał mieć na oku taki efekt uboczny. Znamienne pod tym względem były wystąpienia w toku kryzysu wiceprezydenta Vance’a, który jednego dnia perorował,

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl



Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas
oraz Banków Spółdzielczych

SALTUS - Mój DOM UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Szeroki zakres ochrony, który możesz
dopasować do swoich potrzeb.

→ ubezpiecz to,
co się liczy!

T TOWARZYSTWO
UBEZPIECZONYCH

iz Ukraina to państwo europejskie, więc niech Europejczycy zajmują się jej losem, a już następnego stwierdzał, że przecież bez Ameryki Europa o niczym nie może zdecydować.

W każdym razie pod względem stosunków atlantyckich 10 dni kryzysu to bardzo pouczający czas. Dowodzi bowiem wyraźnie, że nawet ktoś taki jak Trump, który nie lubi politycznej Europy, a gdyby mógł, natychmiast rozwiązałby Unię Europejską jako niezdolny twór, doskonale rozumie, że kompromitujące dla Ameryki ucieczki z wojen w Wietnamie czy Afganistanie to furda w obliczu skutków hipotetycznej ucieczki z wojny toczącej się w Europie. Biden bardzo zaangażował Amerykę w tę wojnę, choć za grosz nie miał wizji, do czego miałyby prowadzić owo zaangażowanie. Trump przynajmniej wie, że chce jak najszybciej skończyć wojnę, a z nierozebrałej przez Moskwę części Ukrainy zrobić amerykańskie „lenno”.

Wyrzucając Zełenskigo z Białego Domu i zostawiając Ukrainę bez pomocy na 10 dni, wpędził swych sojuszników w panikę, co ciekawe – bardziej nawet Europę niżli porzuconą nagle Ukrainę. Grając brutalnie, kosztem życia ukraińskich żołnierzy, zyskał jednak w zasadzie to, co chciał. Od Kijowa moment pełnego posłuszeństwa, który – miejmy nadzieję – okaże się przełomem w zamulonych jeszcze od 2019 r. stosunkach z Zełenskim, kiedy to przywódca Ukrainy odrzucił żądanie wytoczenia oskarżenia przeciw synowi Bidena, a w odwecie Ameryka po raz pierwszy ukarała Kijów blokadą dostaw wojskowych. Od Europy Trump uzyskał solenne zobowiązanie poprawy, gdy idzie o dalsze zbrojenia, byle tylko zachował NATO bez narażania go na szwank.

Po szczycie w Brukseli Europa obiecuje zapożyczyć się na co najmniej 150 mld euro, aby zainwestować je we własną obronę. Warto pamiętać, że Trump bezskutecznie domagał się tego od 2016 r., a więc praktycznie od dekady. Czy teraz, gdy gwałtowny kryzys polityczny minął, te zobowiązania zostaną dotzymane? Prawdę mówiąc, nie ma takiej pewności, gdyż przyczyny obecnego bezwładu Europy są głębokie i raczej nieusuwalne.

EUROPA W MYŚLOWYM ZAMĘCIE

10 dni kryzysu jednak wystarczyło, aby niektórzy politycy i publicyści zdążyli się ośmieszyć. Na czoło tej listy wysuwa się szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas, gdyż obrażona na Amerykę, bo nie wpuszczono jej do gmachu Departamentu Stanu, gdzie chciała negocjować z Rubio, wezwwała do... obalenia przywództwa USA w świecie zachodnim. Trudno powiedzieć, jak w ogóle po tak ośmiesz-

Cała amerykańska kampania obwiniająca Kijów za brak dążenia do pokoju była w istocie polityczną maskaradą mającą wymusić mocniejszą hegemonię USA nad Ukrainą, a po części także nad Europą

jącym ekscesie Estonka dalej zamierza prowadzić unijną politykę zagraniczną, dla której Waszyngton jest dziś pierwszorzędnym celem.

Z kolei jeden z przywódców francuskiej lewicy, były prezydent François Hollande, nawoływał do „zadania decydujących ciosów Ameryce”, bez czego jego zdaniem nie zostanie przywrócona równowaga atlantycka. Jakże to miałyby być ciosy, zaciętrzewiony Hollande wołał już nie wyjaśniać.

Pod tym względem najbardziej chyba zaskoczył przyszły kanclerz Friedrich Merz, proklamując niemiecki plan „wyzwolenia się od Ameryki”. Prawdę mówiąc, trudno o większą polityczną niedoręczność w ustach lidera niemieckiej chadecji; w jego przypadku można żywić nadzieję, że to tylko jakieś chwilowe odrętwienie myśli.

Ale jeszcze bardziej godni pożałowania okazali się niektórzy publicyści. Na przykład redaktor potężnego „Financial Times” obwieścił swym czytelnikom, że... „Ameryka stała się wrogiem Za-

chodu”. Zresztą ogólnie wywołany przez Trumpa gwałtowny kryzys zakłócił wielu ludziom racjonalny ogląd rzeczywistości. Węgierski premier, zapatrzony w jakąś mityczną oś, którą Węgry mieliby stworzyć z Moskalami i Chińczykami, uznał, że Ameryka wzięła kurs na likwidację ukraińskiej państwowości, więc na szczycie w Brukseli gardłował przeciw – nikłej zresztą, bo raptem 20-mld – perspektywie europejskiego wsparcia dla Kijowa. Jakby w zaślepieniu nie dostrzegł, iż Trump m.in. po to wywołał kryzys, aby wymusić na Europie, by w końcu sama zajęła się finansowym bezpieczeństwem kontynentu z Ukrainą włącznie. W tę samą iluzję dali się zresztą złapać niektórzy politycy z innych państw Europy Środkowej, w tym część polskiej prawicy. Tak jakby uznali, iż Trump dał im sygnał do uwolnienia tłumionych dotąd antyukraińskich emocji.

Oczywiście za sprawą Dżuddy wojna się nie skończyła, a do pokoju na Wschodzie jest równie daleko, jak dotychczas. Tyle tylko, że w Kijowie nauczyli się, że otwarte mówienie prawdy na ten temat, jak jeszcze niedawno czynił Zełenski ku wybuchowi twitterowej furii Trumpa, niekoniecznie służy interesowi Ukrainy. Ale przecież cała amerykańska kampania obwiniająca Kijów za brak dążenia do pokoju była w istocie polityczną maskaradą mającą wymusić mocniejszą hegemonię USA nad Ukrainą, a po części także nad Europą.

Powtórzmy zatem to, co niestety w czasach powszechnego myślowego zamętu należy powtarzać do znudzenia. Pokój na Wschodzie może zapewnić tylko Moskwa, o ile Trump – jedyny realny przywódca wolnego świata – ma sposób, aby ją do tego zmusić. Oczywiście ów sposób musi być jakimś połączeniem amerykańskiej siły i amerykańskich umizgów.

Moim zdaniem nie ma dziś na świecie nikogo (włącznie z Trumpem), kto by wiedział, w jakich proporcjach zmieszać tę miksturę, aby zadziałała na Putina. Dlatego polityczna logika nakazywałaby ostrożne przyzwolenie dla Trumpa, zarówno wtedy, gdy nieprzyjemnie mizdrzy się do Moskali, jak i wówczas, gdyby pewnego dnia zdecydował się na groźby, za którymi stałoby realne ryzyko globalnej wojny. 

6 sierpnia 1978 r. w pałacu Castel Gandolfo zmarł Paweł VI. Przyczyną był rozległy zawał serca z obrzękiem płuc. Jeden z włoskich dziennikarzy zwrócił wtedy uwagę głównemu lekarzowi papieskiemu, że gdyby był to pan Giovanni Battista Montini, natychmiast zabrano by go do szpitala i być może uratowano mu życie. Doktor odpowiedział: „Tak, ale to nie był pan Montini, ale Paweł VI. Papieża nie można hospitalizować tak jak każdego innego człowieka”.

Koncepcja, że następcą św. Piotra może być zwykłym pacjentem w szpitalu, była wówczas nie do pomyślenia. Kiedy w 1967 r. Paweł VI musiał przejść zabieg usunięcia gruczołu prostaty, zespół chirurgów, anestezjologów i pielęgniarzy przyjechał do Watykanu, a jedna z komnat w pałacu apostolskim została przerobiona na salę operacyjną.

Nieszczęsna tradycja została przerwana 13 maja 1981 r., gdy Jan Paweł II w ciężkim stanie z ranami postrzałowymi został przewieziony do kliniki Gemelli, gdzie prof. Francesco Crucitti uratował mu życie. Później Karol Wojtyła tak często przebywał w tej placówce, że powtarzał, iż jest oną jego trzecim domem: po Watykanie i Castel Gandolfo.

„PÓŁWAKAT” W STOLICY APOSTOLSKIEJ

Gdy 14 lutego trafił do tego szpitala Franciszek, zapewne niewielu przypuszczało, że jego pobyt tam potrwa dłużej niż Jana Pawła II w 1981 r. Jorge Mario Bergoglio okazał się najdłużej niepojawiającym się publicznie papieżem od ponad 200 lat, czyli od czasów Piusa VII. Absencja tego ostatniego wynikała jednak z innych powodów: od sierpnia 1809 r. do czerwca 1812 r. był on więźniem Napoleona. Pius VII był też ostatnim papieżem nieobecnym w Wa-

tykanie podczas uroczystości wielkonoctnych. Wiele wskazuje na to, że następnym będzie Franciszek, ponieważ stan zdrowia mu na to nie pozwoli.

O tym, że sytuacja jest poważna, świadczy fakt, że do Rzymu przybyła jego siostra, 77-letnia Maria Elena Bergoglio. Rodzeństwo nie widziało się od 2013 r., gdy metropolita Buenos Aires wyruszył na konklawe. Od tamtego

Przedłużająca się publiczna nieobecność papieża i brak jakichkolwiek zdjęć z hospitalizacji wywołały plotki o śmierci Franciszka. Tak zaczęli utrzymywać m.in. popularni we Włoszech internetowi influencerzy. Jeden z nich, gwiazdor TikToka, niejaki Er Bombolino, dotarł do kliniki Gemelli i trzymając w ręku telefon komórkowy, prowadził dla swych fanów transmi-

sję na żywo. Twierdził, że dostał się na słynne 10 piętro, ale nigdzie nie trafił nawet na ślad Franciszka. Za nim poszedł inny influencer o pseudonimie Ottavo, który także dotarł w to samo miejsce. Pokazując widzom pusty korytarz, mówił: „Nie ma ochrony. Zupełnie nikogo. Nigdy bym się nie dostał tak daleko, gdyby papież żył. Dlatego mówię wam: moim zdaniem papież Franciszek już nie żyje”.

Niektórzy użytkownicy internetu zwrócili uwagę wspomnianym influencerom, że nie natknęli się oni na ochroniarzy, ponieważ weszli do innego pawilonu

polikliniki. Obaj tiktokerzy pozostali jednak niewzruszeni. Nie przekonało ich nawet upublicznione przez Watykan krótkie, zaledwie 15-sekundowe nagranie audio z przesłaniem papieża skierowanym do wiernych. Er Bombolino, który ma wytatuowany na ramieniu wizerunek Franciszka, nadal utrzymuje, że jego idol nie żyje już prawie od miesiąca, a otoczenie ukrywa ten fakt przed światem.

88 DZWONÓW

W rzeczywistości brak zdjęć Franciszka z okresu choroby i rekonwalescencji nie powinien być zaskoczeniem. Wyścig zapoznać się z ogłoszoną przez Jana Pawła II konstytucją apostolską „Universi Dominici Gregis” z 1996 r. Zabrania ona robienia zdjęć papieżowi, gdy jest chory i leży w łóżku, a także nagrywania jego słów w celu późniejszego

Gorączka w Watykanie

Przedłużająca się publiczna nieobecność Franciszka oraz niepewny stan jego zdrowia zmuszają do pytania, kto ma zarządzać Kościołem, jeśli papież nie będzie w stanie wykonywać swych obowiązków



GRZEGORZ GÓRNY

czasu papież ani razu nie był w ojczyście Argentynie (choć odbył podróże apostolskie aż do 10 innych krajów łacynoamerykańskich), natomiast siostra ani razu nie odwiedziła go w Watykanie.

Jeśli doszło do ich spotkania, to nie opublikowano żadnych zdjęć z tego wydarzenia. Od czasu, gdy Franciszek został przewieziony do szpitala, do mediów nie trafiła ani jedna jego fotografia. Ani razu nie pojawił się też w oknie kliniki Gemelli, by pozdrowić modlących się przed budynkiem wiernych, tak jak miał to w zwyczaju Jan Paweł II.



jego poprzednicy w bazylice św. Piotra. Dlatego media spekulują, że po opuszczeniu kliniki Gemelli papież może przenieść się do bazyliki Santa Maria Maggiore i tam spędzić ostatni okres swojego pontyfikatu.

PRACA W STANIE KRYTYCZNYM

W mediach pojawiły się też głosy niektórych kardynałów, np. Gianfranca Ravasiego, Jeana-Marca Aveline'a czy Juana José Omelli, którzy nie wykluczali, że Franciszek może podać się do dymisji. Włoski dziennik „Il Fatto Quotidiano” napisał o tym tekst, któremu nadał znamienity tytuł: „W Watykanie rozpoczęła się »operacja Biden« mająca na celu przekonanie papieża do rezygnacji »dla dobra Kościoła«”. Osoby, które bliżej znają Franciszka, twierdzą jednak, że nie jest on typem człowieka, który zrezygnuje z urzędu. Trudno sobie zresztą wyobrazić, że usuwa się w cień, by w samotności modlić się i kontemplować jak Benedykt XVI.

Wiele osób zadaje sobie pytanie, kto będzie *de facto* zarządzał Kościołem, jeśli Franciszek (w szpitalu lub po wyjściu stamtąd) nie będzie mógł w pełni wykonywać swoich obowiązków z powodu stanu zdrowia. Dla watykanistów pewną odpowiedź stanowi informacja, kogo Franciszek przyjął w klinice Gemelli. W ciągu pierwszych trzech tygodni hospitalizacji odwiedziło go zaledwie dwóch hierarchów. Trzykrotnie byli u niego wspólnie sekretarz Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolin oraz jego zastępca abp Edgar Peña Parra.

Oficjalne komunikaty medyczne z jednej strony alarmowały, że papież „znajduje się w stanie krytycznym”, z drugiej zaś uspokajały, że mimo to „pracuje”. Nie jest jednak jasne, co kryje się za pojęciem pracy: czy ma on dość siły, by czytać dłuższe teksty, analizować je i podejmować decyzje, czy jest w stanie tylko podpisywać przedstawione mu dokumenty.

rozpowszechniania. Celem tego przepisu była ochrona godności papieskiej w trudnych momentach życiowych, takich jak choroba i umieranie.

O tym, że ta ostatnia możliwość jest poważnie brana pod uwagę, świadczy komunikat kurii nowojorskiej wysłany do wszystkich księży tej archidiecezji. Dokument zawiera instrukcje, jak postępować, gdy Franciszek opuści ten świat: „Po usłyszeniu wiadomości o śmierci Papieża, dzwony kościelne powinny zadzwonić 88 razy, co odpowiada liczbie lat życia Papieża”.

Oczywiście nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak zachowa się wycieńczony chorobami organizm Jorge Maria Bergoglia. Ostrożne komunikaty medyczne powstrzymują się przed rokowaniem na przyszłość. Nawet jeśli jednak Franciszek wyjdzie z obecnej zaopieki zdrowotnej, to rekonwalescencja potrwa przez długie tygodnie, a może

nawet miesiące. Powrót do normalnego funkcjonowania sprzed hospitalizacji może być bardzo utrudniony lub wręcz niemożliwy.

Lekarze mówią, że jeśli papież ma wrócić do Domu św. Marty, to w środku musi powstać mała klinika ambulatoryjna wyposażona w sprzęt najnowszej generacji, m.in. do rehabilitacji oddechowej. Jak jednak poinformował Watykan, w budynku „nie trwają obecnie żadne prace remontowe ani konstrukcyjne, które miałyby na celu dostosowanie jej do nowych i możliwych potrzeb papieża po hospitalizacji”.

Latem ub.r. dokonano natomiast gruntownej renowacji mieszkania w pałacu przy rzymskiej bazylice Santa Maria Maggiore, wyposażając je w zaawansowany sprzęt szpitalny do intensywnej opieki medycznej. Wiadomo, że Franciszek zażyczył sobie być pochowanym właśnie w tej świątyni, a nie jak

W związku z niepewną sytuacją Watykan bierze pod uwagę potrzebę wprowadzenia przepisów nadzwyczajnych na czas dłuższej niedyspozycji papieża. Zespół międzynarodowych kanonistów

Część watykanistów uważa, że bergoglianizm wśród kardynałów zakończy się z chwilą odejścia z tego świata Jorge Maria Bergoglia. Lojalność wobec papieża kończy się bowiem w momencie jego śmierci. Najważniejsza linia podziału podczas najbliższego konklawe dotyczyć będzie natomiast dziedzictwa po Franciszku

pod przewodnictwem prof. Geraldiny Boni bada więc prawo kościelne, by sprawdzić, czy zapisy mówiące o przeszkodzie w sprawowaniu urzędu przez biskupa można odnieść także do papieża. Takie przepisy przyznawałyby specjalne uprawnienia sekretarzowi stanu i kurii rzymskiej na wypadek, gdyby następca św. Piotra nie mógł zarządzać Kościołem, a zwłaszcza podejmować decyzji w sprawach, które należą do jego wyłącznej kompetencji.

DYLEMAT KOLEGIUM KARDYNALSKIEGO

Przedłużająca się choroba Franciszka uruchomiła też spekulacje dotyczące najbliższego konklawe. Interesujący tekst na ten temat napisał nestor współczesnej watykanistyki, Chilijczyk Luis Badilla. Jego ocena purpuratów, którzy wybiorą kolejnego następcę św. Piotra, pozostaje niezwykle surowa: „Średni poziom kompetencji nowych kardynałów znacznie spadł po nominacjach Franciszka. W kolegium kardynalskim

nie ma wybitnych umysłów o niepodważalnej moralności. Ponieważ brakuje im charyzmy i zdolności przywódczych, kardynałowie sprawiają wrażenie biurokratów, nudnych, a nawet nieciekawych. Kardynałowie, którzy najczęściej rozmawiają z prasą, nie są ważniejsi od biskupów w przeciętnej diecezji, nawet jeśli są współpracownikami Franciszka. Wyraźnie brakuje im poczucia własnej wartości, wizji i planowania. Kardynałowie nie wydają się duchowymi, którzy chcą służyć Kościołowi, lecz raczej postaciami, które robią wszystko, aby Kościół im służył”. Zdaniem Badilli główną cechą większości dzisiejszych purpuratów jest „kameleonizm”, który oni sami nazywają „miłością i lojalnością wobec papieża”.

Część watykanistów uważa, że bergoglianizm wśród kardynałów zakończy się z chwilą odejścia z tego świata Jorge Maria Bergoglia. Lojalność wobec papieża kończy się bowiem w momencie jego śmierci. Najważniejsza linia podziału podczas najbliższego konklawe dotyczyć będzie natomiast dziedzictwa po Franciszku: czy następny papież okaże się kontynuatorem jego rewolucji teologicznej, czy postanowi z nią zerwać?

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że skoro w 137-osobowym gronie elektorów aż 110 purpuratów to nominaci argentyńskiego papieża, nie powinno być problemów z zabezpieczeniem kursu obecnego pontyfikatu. Nie jest to jednak tak oczywiste, zwłaszcza w odniesieniu do kardynałów z tzw. Globalnego Południa. Wielu z nich zraziły niektóre radykalne decyzje Stolicy Apostolskiej. Np. dla Kościoła w Afryce cienką czerwoną linią, którą przekroczył Franciszek, była zgoda na błogosławienie par homoseksualnych przez księży na podstawie deklaracji „Fiducia supplicans”. Większość episkopatów na Czarnym Lądzie zbunto-

wała się przeciwko temu i oficjalnie odrzuciła watykański dokument, uznając go za całkowicie sprzeczny z katolickim nauczaniem.

CZEKAJĄC NA KONKLAVE

W tej sytuacji jako przygotowanie do zbliżającego się konklawe należy odczytywać niektóre publiczne wystąpienia hierarchów, np. prefekta Dykasterii Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów kard. Arthura Roche’a, który przez ostatnie lata robił wszystko, by ograniczyć nadzwyczajną formę rytu rzymskiego, rozpowszechnioną w środowiskach tradycjonalistów. W niedawnym wywiadzie dla „Catholic Herald” hierarcha wprowadził jednak wszystkich w osłupienie, deklarując się wręcz jako zwolennik mszy trydenckich.

Innym ważnym głosem była homilia kard. Gerharda Müllera w Instytucie Dobrego Pasterza poświęcona kolejnemu konklawe. Jego zdaniem: „Kardynałowie nie powinni szukać papieża na wzór swojego poprzednika, ale prawdziwego następcy św. Piotra, który będzie bronił nauk Chrystusa bez ustępstw”. Niemiecki hierarcha wyraził nadzieję, że „w kolegium kardynalskim nastąpi głębsza refleksja nad stanem i sytuacją wiary i Kościoła w tym postchrześcijańskim lub antychrześcijańskim świecie, świecie zachodnim”. Jego zdaniem nowy papież będzie musiał stawić czoła wyzwaniom związanym z rozwojem islamu, marksizmu, „zielonej” ideologii klimatyzmu, transhumanizmu, a także z wpływami antychrześcijańskich środowisk, takich jak Grupa Rockfellerów, czy myślicieli, jak Yuval Noah Harari.

Kard. Müller dodał, że podczas konklawe purpuraci nie powinni się oglądać na media ani kierować drugorzędnymi kryteriami, np. narodowymi lub geograficznymi. Muszą wybrać kandydata, który wypełni najważniejszy obowiązek nałożony na św. Piotra przez samego Chrystusa, polegający na tym, by „utwierdzać swoich braci w wierze”. Kolejny papież musi pamiętać, że nie będzie zasiadał na katedrze Franciszka czy Benedykta, lecz na tronie Piotrowym. Franciszek i Benedykt byli tylko jego chronologicznymi poprzednikami, on zaś będzie następcą św. Piotra. ➤



Patrioci w kajdanach

Trwają aresztowania kolejnych osób związanych z obozem Zjednoczonej Prawicy. Organy ścigania dokonują zatrzymań na podstawie zarzutów o korupcję i nadużycie władzy, jednak wyraźnie widać, że są to przede wszystkim decyzje polityczne. Coraz bardziej przypomina się walka z opozycją w minionej epoce



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Historia walk o wolność i niepodległość Polski to także losy tych, którzy za swoje przekonania, działalność opozycyjną i niezłomność byli represjonowani, aresztowani i więzieni. Nie tak dawno, ponieważ jeszcze 40 lat temu, na porządku dziennym było tłumienie wszelkich prądów niezależnego myślenia, a tysiące patriotów przebywało za kratami.

PEŁNE WIEZIENIA

Największa fala zatrzymań przetoczyła się przez Polskę pod koniec 1981 r., w pierwszych dniach stanu wojennego. W więzieniach i ośrodkach internowania znalazło się wówczas ok. 5 tys. osób. Ogółem podczas wojny jaruzelsko-polskiej zatrzymano ok. 10 tys. osób. Ale przecież represje wobec opozycjonistów miały miejsce zarówno wcześniej, jak i później. Jak ludzie przetrzymywani w komunistycznych więzieniach, miejscach odosobnienia czy ośrodkach internowania radzili sobie z tą sytuacją? Jak walczyli o zachowanie godności i nadziei? W jaki sposób ich bliscy przeżywali te chwile? Co w zaistniałej sytuacji mogli

robić ludzie pozostający na wolności? Odpowiedzi na te pytania pozwolą nam lepiej zrozumieć znaczenie odwagi i solidarności w najtrudniejszych czasach.

GŁODÓWKI, NAUKA, MODLITWA

Uwięzieni opozycjoniści zmagali się nie tylko z fizycznymi trudnościami, lecz także z psychiczną presją i próbami złamania ich charakteru. Władze więzienne stosowały różne metody, aby osłabić morale osadzonych – izolację, ograniczanie kontaktów z rodziną, poniżanie, groźby, a przede wszystkim długie brutalne przesłuchania i tortury. Jednak mimo tych trudności wielu z nich znalazło sposoby na podtrzymywanie ducha i zachowanie godności. Opór nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach dawał niesamowite świadectwo pozostającym na wolności.

Często wybieranym sposobem wywierania presji na władzę przez zatrzymanych było prowadzenie głodówek. Andrzej Czuma, Zbigniew Romaszewski oraz Antoni Macierewicz to tylko kilku opozycjonistów, którzy odmawiali jedzenia, by zwrócić uwagę na niehumanitarne warunki panujące w więzieniach. „Killkanaście tygodni trwa już głódówka więźniów z »Solidarności« (Barczewo,

Braniewo, Strzelin, Łęczyca) na rzecz uzyskania statusu więźnia politycznego. Głodujący Pałubicki (Poznań) w stanie ciężkim został przeniesiony do szpitala – informowało w 1984 r. czasopismo „Solidarność Nauczycielska”. Wobec nieustępliwości władz, które były gotowe poprawić warunki więźniów, jednak stanowczo odmawiały przyznania statusu politycznego, głódówki były powtarzane. „Ponieważ prowadzona od sierpnia akcja protestacyjna sześciu więźniów w Braniewie, wśród nich księdza Zycha, polegająca na odmawianiu przyjmowania posiłków co drugi dzień, nie przyniosła rezultatów, z dniem 26 listopada pięciu więźniów podjęło całkowitą głódówkę, domagając się przyznania statusu więźnia politycznego, poprawy warunków, a ksiądz Zych dodatkowo – prawa do odprawiania mszy w więzieniu. Nazajutrz strażnicy pobili księdza Zycha i Henryka Grządzielskiego, starając się ich zmusić do przerwania akcji” – donosiło w 1985 r. podziemne pismo „KOS”.

Inną, mniej inwazyjną formą oporu był sprzeciw wobec regulaminu więziennego. Najczęściej polegał na odmawianiu udziału w apelach czy noszenia więziennych mundurów albo niezgodzie na inne formy podporządkowania się zasadom narzuconym przez władze.

Więźniowie starali się być na bieżąco z wydarzeniami z Polski i świata. W obozach internowania podczas stanu wojennego tworzone nawet podziemną prasę, zazwyczaj przepisywaną ręcznie na podstawie nasłuchu audycji zagranicznych (udawało się przezmoczyć do cel radioodbiorniki) lub informacji z zewnątrz uzyskiwanych od wizytujących „ośrodki odosobnienia” księży czy odwiedzających internowanych członków rodzin. W samym Ośrodku Odosobnienia Warszawa-Białoleka powstawało nawet siedem różnych tytułów, a pierwszy numer jednego z nich – „AS” – ukazał się już cztery dni po wprowadzeniu stanu wojennego. Niezwykle ważne było też pisanie listów przemycanych na zewnątrz. Oprócz informowania rodzin o swoim losie więźniowie dokumentowali w ten sposób represje i warunki, w których się znajdowali.

W korespondencji między internowanymi a ich bliskimi dużo miejsca zajmowała troska o codzienne bołaczki. Historyk Henryk Sporoń, internowany w Katowicach, w liście do swojej rodziny pisał: „Kochane córeczki! Bądźcie spokojne i pomagajcie mamie. Uczcie się dużo, bo wiecie, że uczycie się dla siebie. Ty Aldoniu skoncentruj się na pisaniu pracy końcowej. Omnie się nie martwcie. Nie jest mi tu źle. Już gorsze w życiu przeżyłem”.

Mimo ciężkich warunków nie tracili ducha i wierzyli, że prędzej czy później odzyskają wolność, a Polska będzie niepodległa. Andrzej Rozpłochowski, współtwórca śląskiej Solidarności, pisał z inter-

Często wybieranym sposobem wywierania presji na władzę przez zatrzymanych było prowadzenie głódówek. Andrzej Czuma, Zbigniew Romaszewski oraz Antoni Macierewicz to tylko kilku opozycjonistów, którzy odmawiali jedzenia, by zwrócić uwagę na niehumanitarne warunki panujące w więzieniach

nowania do swojej przyszłej żony Barbary Zawady: „Oni twierdzą, że nie boją się tysięcy ludzi na ulicach, a boją się wypuścić nas? Po prostu się mścą, dranie, czerwone pluskwy. Jednak wszystko ma swój kres. Jestem pewien, że to wszystko runie, i to niedługo, jeszcze w tym roku. Wbrew pozorom cienko im już piszczą głosiki. To nic, że represjonują, zamykają itd. Jest to objaw wręcz słabości, a nie siły. Boją się już własnego cienia. Ludzie też już są inni, i to coraz więcej. Nic sobie z ich gróźb nie robią. [...] Nigdy nie wolno tracić ducha, nigdy. Sprawiedliwość, mniejsza czy większa, zawsze w końcu zwycięża”.

Inną metodą oporu było organizowanie nieoficjalnych wykładów i zajęć

edukacyjnych. Powstawały tajne grupy samokształceniowe, w których bar dziej doświadczeni więźniowie dzielili się z innymi swoją wiedzą. Prowadzono m.in. wykłady historyczne, naukę języków obcych, a nawet teoretyczne kursy prawa jazdy. Dzięki temu więźniowie nie tylko podtrzymywali swoją determinację, lecz także pogłębiali świadomość polityczną i historyczną.

Niezwykle istotną rolę odgrywała solidarność między więźniami. Wspólne modlitwy, dzielenie się skromnym jedzeniem, wsparcie psychiczne – to wszystko pomagało im przetrwać. Dla wielu zatrzymanych właśnie wiara była

fundamentem ich niezłomnej postawy. Dlatego celebrowanie świąt zarówno narodowych, jak i religijnych było dla nich szczególnie ważne. Często opoką dla pozostałych byli zatrzymani duchowni, jak ks. Sylwester Zych, który odprawiał tajne nabożeństwa, uczestniczył w głódówkach i wspierał współwięźniów. Niestety swoją wspaniałą postawę przypłacił życiem. Po wyjściu na wolność został zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach w 1989 r.

WALKA Z NIEPEWNOŚCIĄ I LĘKIEM

Podczas gdy więźniowie znosili trudne warunki za kratami, ich bliscy musieli zmierzyć się z samotnością, represjami i niepewnością co do losu swoich ukochanych. Rodziny internowanych były inwigilowane przez SB, utrudniano im kontakty z zatrzymanymi, w wielu przypadkach traciły także źródła utrzymania. Mimo to wielu z nich wykazywało niezwykłą determinację i odwagę. Żony, matki i dzieci więźniów politycznych organizowały protesty, pisały petycje, interweniowały u przedstawicieli Kościoła i organizacji międzynarodowych. Przykładem może być działalność Barbary Sadowskiej, matki Grzegorza Przemyskiego, która walczyła o sprawiedliwość dla swojego syna zamordowanego w 1983 r. i wspierała inne rodziny represjonowanych.

O więzionych pamiętały nie tylko rodziny. Pomoc płynęła również ze strony społeczeństwa. Listy internowanych



oraz ich relacje z więzień były regularnie publikowane przez podziemną prasę, np. „Biuletyn Informacyjny KOR” czy „Tygodnik Mazowsze”. Polacy mobilizowali się do różnego rodzaju zbierek, a także wyrażania sprzeciwu przeciwko działaniom władz. Jedną z form protestu były demonstracje uliczne. Ludzie wychodzili na ulicę, domagając się m.in. uwolnienia internowanych, mimo że byli rozganiani przez ZOMO. Słynna manifestacja z 3 maja 1982 r. w Warszawie, która przerodziła się w walki uliczne w całym mieście, została brutalnie stłumiona przez milicję. Była jednak dowodem na to, że społeczeństwo nie godziło się na represje.

Cały czas starano się nagłaśniać na arenie międzynarodowej sytuację panującą w Polsce. Z pomocą polskiej emigracji oraz zagranicznych organizacji praw człowieka, np. Amnesty International, starano się wywierać presję na władze PRL. Po emigracji do Francji w 1977 r. Mirosław Chojecki organizował akcje informacyjne o represjach w Polsce, m.in. poprzez wydawnictwo „Kontakt” i współpracę z Radiem Wolna Europa.

Organizacje takie jak Komitet Obrony Robotników czy Solidarność prowadziły zbiórki pieniędzy, wsparcie dla rodzin represjonowanych, finansowanie adwokatów i dostarczanie paczek do więzień. Postacią absolutnie wybitną w tej dziedzinie był wspomniany wyżej Zbigniew Romaszewski. Od 1976 r. uczestniczył on w organizowanej przez KOR akcji pomocy represjonowanym. Wraz z żoną Zofią prowadził biuro interwencyjne rejestrujące

przypadki łamania praw człowieka i niosące pomoc ofiarom bezprawia. W stanie wojennym był poszukiwany przez SB. Współtworzył podziemne radia Solidarność. Aresztowany w sierpniu 1982 r. i sądzony w dwóch kolejnych procesach brał udział w więziennych aktach buntu i odmawiał współpracy z władzami. Jego żona Zofia (która również była zatrzymana i skazana) nie tylko wspierała męża w czasie jego uwięzienia, lecz także współorganizowała pomoc dla innych rodzin represjonowanych działaczy. Po wyjściu na wolność Zbigniew Romaszewski wraz z Zofią powołał Polski Fundusz Praworządności i został jego prezesem. Od grudnia 1986 r. kierował stworzoną w podziemiu Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, która zajmowała się dokumentowaniem przypadków represji i pomocą ofiarom. Takich osób było znacznie więcej.

Szczególną rolę odegrał Kościół katolicki, który udzielał schronienia, organizował paczki żywnościowe, informował opinię publiczną o zatrzymaniach i usiłował rozmawiać z przedstawicielami władz, by złagodzić represje. Msze za ojczyznę organizowane w kościołach np. przez ks. Jerzego Popiełuszkę gromadziły tysiące ludzi i były ważnym miejscem wyrażania sprzeciwu wobec działań komunistów. Ks. Jerzy odprawiał takie nabożeństwa w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie. Stawały się one manifestacjami sprzeciwu wobec reżimu. Popiełuszko także aktywnie wspierał represjonowanych. Funkcjonariusze SB zamordowali go 19 października 1984 r.

Nie można zapomnieć również o osobach, które przez wiele lat ukrywały się przed aresztowaniem i internowaniem, a mimo to kontynuowały działalność opozycyjną. Wśród ukrywających się byli liderzy opozycji, dziennikarze, drukarze podziemnej prasy i działacze struktur podziemnych. Często korzystali oni z pomocy Kościoła oraz zwykłych obywateli, którzy udostępniali im mieszkania i zapewniaли środki do życia. Wielu z nich działało w konspiracji, organizując strajki, kolportaż ulotek i podziemne wydawnictwa.

Ukrywanie się trwało niekiedy wiele miesięcy, a nawet lat, aż do ogłoszenia amnestii lub przemian ustrojowych w 1989 r. Działacz Solidarności Bogdan Lis tak jak wielu zaczął się ukrywać po 13 grudnia 1981 r., długo unikając aresztowania. Został zatrzymany w 1984 r. Zbigniew Bujak, przewodniczący NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, często zmieniał kryjówki, dzięki czemu komuniści schwytali go dopiero w 1986 r. Z kolei Kornel Morawiecki, założyciel Solidarności Walczącej, działał aż do zatrzymania w 1987 r. we Wrocławiu.

PRZEŚLANIE DLA WSPÓŁCZESNYCH

Historia więzionych patriotów jest świadectwem heroizmu, a także cierpienia. Mimo represji więźniowie polityczni nie poddawali się, walcząc o wolność poprzez protesty, tajną edukację i wzajemne wsparcie. Ich rodziny i społeczeństwo także nie pozostały bierne, angażując się w pomoc i nagłaśniając ich losy. Postawa prześladowanych uczy nas, że nawet w najtrudniejszych warunkach można zachować godność, niezłomność i poczucie wspólnoty. Solidarność, która pozwoliła przetrwać więźniom i ich rodzinom, powinna być inspiracją także dziś. Wspomniane historie przypominają, że wolność nie jest dana raz na zawsze. Wymaga odwagi, aktywnego działania i odpowiedzialności za innych. Dzisiejsze pokolenia mogą i powinny czerpać z tych doświadczeń, broniąc wartości demokratycznych, wspierając prześladowanych i angażując się w życie społeczne. To, co wydawało się niemożliwe w latach 80., stało się rzeczywistością dzięki determinacji i niezłomności ludzi, którzy nie bali się przeciwstawić dyktaturze. To lekcja, którą warto pamiętać i przekazywać kolejnym pokoleniom.

A photograph of two men at an awards ceremony. The man on the left, Allan Starski, is wearing a white tuxedo jacket, a black bow tie, and glasses. He is smiling and holding a golden Orły trophy. The man on the right is wearing a dark suit jacket over a light-colored shirt. He is also smiling and looking towards the first man. They are standing behind a podium with microphones. The background is blurred, showing other people and lights.

Orły i dziewczyna

Polskie Nagrody Filmowe rozdane. 11 statuetek trafiło do twórców filmu „Dziewczyna z igłą”. Allan Starski odebrał Orła za osiągnięcia życia. Autorki „Matek pingwinów”, najlepszy serial fabularny, zaapelowały do rządzących o realne wsparcie



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Nominowana w 13 kategoriach „Dziewczyna z igłą” w reżyserii Magnusa von Horna okazała się największym zwycięzcą 27. edycji Polskich Nagród Filmowych. Podczas gali, która tradycyjnie odbyła się w warszawskim Teatrze Polskim, zdobyła aż 11 statuetek Orła, w tym dla najlepszego filmu.

Zrealizowana w czerni i bieli koprodukcja (duńsko-polsko-szwedzka), doceniona również na ubiegłorocznym festiwalu w Gdyni (gdzie uhonorowano ją Srebrnymi Lwami oraz nagrodami za zdjęcia, muzykę, scenografię, kostiumy, reżyserię obsady i drugoplanową rolę kobiecą), sięgnęła tym razem po „polskie Oscary”.

MIARY KINA

O Orłach mówi się, że to najbardziej kompetentne i miarodajne nagrody, bo przyznawane przez samych twórców. Głosowanie środowiska (na produkcje, które od 1 stycznia do 31 grudnia przynajmniej przez tydzień były pokazywane w kinach) jest dwuetapowe. W pierwszej turze członkowie Akademii (jest ich blisko tysiąc) głosują w kategoriach: najlepszy film, role aktorskie, film europejski, a także proponują laureata nagrody za osiągnięcia życia. W pozostałych kategoriach głosują wyłącznie specjaliści danej branży.

Przed oddaniem głosu akademicy powinni obejrzeć wszystkie kandydujące obrazy (jest ich kilkadziesiąt) i obiektywnie je ocenić. W praktyce wielu z nich wydaje się mocno podatnymi na to, co się dzieje wokół filmów – jak postrzegani są ich twórcy oraz budowany przez nich przekaz, jak i przez kogo są nagradzane te filmy. W czasie, gdy powszechne stają się koprodukcje, pojawia się też inna kwestia.

Doceniając znakomitą filmową robotę twórców „Dziewczyny z igłą” i otwierając się na europejską współpracę (w tym przypadku duńsko-polsko-szwedzką), chyba powinniśmy brać pod uwagę, że „Dziewczyna...” nie bez powodu została zakwalifikowana do Oscara jako film narodowy,

duński. W końcu została zagrana w języku duńskim i z duńską obsadą. Może warto zacząć poważnie rozmawiać o tym, jakie elementy i jaki procentowy wkład w produkcję pozwalałby na ocenianie obrazu np. w kategorii najlepszy polski film.

DWIE STRONY MEDALU

Oczywiście cieszymy się, że Orły trafiły do świetnego reżysera Magnusa von Horna (Szweda zadomowionego i od lat tworzącego w Polsce), a także do młodego zdolnego operatora Michała Dymka, scenografki Jagny Dobesz, autorki kostiumów Małgorzaty Fudali czy odpowiadającej za montaż Agnieszki Glińskiej. W końcu ich praca przysłużyła się do międzynarodowego sukcesu filmu.

Pozostaje pytanie o cel nagradzania Duńczyków m.in. w takich kategoriach, jak muzyka (tu nominowano aż ośmiu twórców), charakteryzacja czy pierwszo- i drugoplanowa rola kobieca. Zwłaszcza że naprawdę było kogo wyróżnić. Choćby rewelacyjną jako filmowa żona Jerzego Kuleja („Kulej. Dwie strony medalu”) – Michalinę Olszańską. Ale też skrajnie różne postaci stworzone (w filmach „Biała odwaga” i „Simona Kossak”) przez Sandrę Drzymalską.

Można się spierać, na ile Filip Pławiak, uhonorowany Orłem za (rozegraną całym sobą, z pasją i talentem) główną rolę męską, zdystansował np. Marcina Dorocińskiego, którego bohater rozdzierająco eksplodował wewnętrznymi przeżyciami w filmie „Minghun”. Można dyskutować, czy rewelacyjny Julian Świeżewski (drugoplanowa rola w „Białej odwadze”) nie miał lepszych od siebie, ale to są dywagacje wspaniałe dla widzów. Pokazując, jak

znakomitych mamy aktorów i twórców filmowych. Także w coraz młodszych pokoleniach. Tylko czy pokazały to Orły?

DODATKOWY FILTR

Sądząc po liście nominowanych, w minionym roku polska kinematografia nie była tak twórcza, różnorodna, ciekawa i formalnie poszukująca, jak mogłoby się wydawać zwyczajnym widzom. Powstało wręcz wrażenie, że opiniując polskie produkcje, akademicy włączyli jakiś dodatkowy filtr. I zamiast zasady „doceniajmy się i promujmy” (jak się to dzieje od Pragi po Paryż), przeważało u nich podprogowe przekonanie, że choćby nasze było naprawdę dobre, czyjeś jest lepsze, ważniejsze.

Tymczasem np. Francuzi od dekad – z bardzo konkretnym finansowym sukcesem – lansują swoje kino, swoje historie, swoich twórców, swoje gwiazdy. U nas po mistrzowsku zrealizowany i wygrany – zarówno w ringu, między bohaterami, jak i w obrazie peerelowskiej przeszłości – film „Kulej. Dwie strony medalu” został znokautowany przez aktualną w przekazie duńską opowieść sprzed 100 lat (inspiracją był proces Dagmar Overby skazanej za zabójstwo kilkanaścioro noworodków na początku XX w.). Warto przy tym zaznaczyć, że film Xawerego Żuławskiego otrzymał – już poza decyzjami akademików – nagrodę publiczności.

POZOSTALI USKRZYDLENI

Statuetką Orła za osiągnięcia życia został uhonorowany wybitny scenograf Allan Starski, dla którego (odtworzone na wielkim ekranie) życzenia nagrali m.in. Steven Spielberg i Roman Polański.

Za najlepszy filmowy serial fabularny uznano „Matki pingwinów” w reżyserii Klary Kochańskiej-Bajon i Jagody Szcel. Opowiadająca o mierzeniu się z niepełnosprawnością dzieci produkcja podbiła widzów platformy Netflix także poza Polską. Odbierając nagrodę, Kochańska-Bajon zwróciła się do rządzących: „Skoro nam się udało stworzyć inkluzywne społeczeństwo, to wy też przestańcie to zaniedbywać”.

Najlepszym dokumentem został film „Wanda Rutkiewicz. Ostatnia wyprawa” w reżyserii Elizy Kubarskiej. Statuetkę w kategorii odkrycie roku odebrała Maria Zbąska za obraz „To nie mój film”.



Allan Starski

Dyskretny urok kanibali

Wszyscy, którzy zerkają na moją pisaninę, wiedzą, że lubię horrory. Zawsze ich bronię argumentem Stephena Kinga, ich najwybitniejszego twórcy: bywają efektowną rozrywką, wszak lubimy się bać. Ale są też często sugestywnymi metaforami zagrożeń. Przede wszystkim groźby podstawowej: obecności zła na ziemi.

Nie mogłem więc nie zerknąć na film „Do ostatniej kości” na Cinemaksie – reżyserem jest Włoch Luca Guadagnino, produkcja sprzed trzech lat. Amerykańska – rzecz dzieje się w plenerach środkowego zachodu USA, na mocno zaniedbanej prowincji.

Od razu zastrzegam: moja sympatia do gatunku nie oznacza sympatii do każdego filmowego ekscesu. Bywało, że przerywałem oglądanie horroru z powodu zbyt okrutnych scen. Epatujący naturalistycznym okrucieństwem nurt gore to nie mój świat. Akurat w tym filmie naturalizmu jest niewiele, a jednak ciężko mi go zaakceptować. Wyjdzie, że niepotrzebnie moralizuję, a powinienem albo odrzucić całą konwencję, albo łykać i nie dyskutować. Trudno.

Nie ma tu duchów ani upiórów. Jest wymyślone założenie, że pośród ludzi żyją osobniki (i to we wcale niemałej liczbie), które mają naturalne skłonności kanibali. Muszą się żywić ludzkim mięsem – to odruch, którego nie mogą powstrzymać. To coś podobnego do odkrywania rzekomo żyjących na marginesie naszego świata wampirów. Które z kolei muszą się żywić krwią.

Jeśli muszą, to w zasadzie o co mieć do nich pretensję? Kiedyś wampir był mroczną postacią, groźnym złem, nawet jeśli zarazem samotnym i smutnym, to jednak skazanym na likwidację przez dzielnych ludzi, jeśli świat ma być bezpieczny. Dziś czasem wraca się do tego archetypu, jak w nakręconym dopiero co „Nosferatu” Roberta Eggersa, ale to adaptacja klasyki. Zarazem zaczęły się mnożyć filmy coraz bardziej obłaskawiające dawny mit. W dwóch kolejnych wersjach „Pozwól mi wejść” – szwedzkiej i amerykańskiej – dziewczynka wampirzyca jest wręcz potrzebna. Kto inny

pomógłby samotnemu chłopcu? A że po drodze zabija innych nastolatków? Oni się nie liczą.

Kanibale nieczęsto byli bohaterami kina. Ale Guadagnino buduje podobne sytuacje. Nastoletnia dziewczynka, notabene Mulatka, odkrywa w sobie tę skłonność, odgryzając palec koleżance z nowej szkoły. Musi uciekać wraz z ojcem, który ją jednak porzuca. Wkrótce znajduje nowego towarzysza, też nastoletniego kanibala. Razem z nim wędruje po bezdrożach, zapomnianych miasteczkach. A ponieważ jest nim urokliwy i modny aktor Timothée Chalamet, tym bardziej podsuwa nam się myśl: to tylko biedne, uciekające dzieciaki. Owszem, kilka razy kogoś zjadają, ale dyskretnie – prawie tego nie widzimy.

To wystarczy, żeby zachwycić krytyków. Pisze na Filmwebie Łukasz Muszyński: „Odpowiedź, której udzielają Guadagnino i Camille DeAngelis (autor adaptowanej książki), nie jest tak oczywista, jak mogłoby się wydawać. »Bones and All« na każdym kroku ucieka od ocen, moralizowania i łatwych opozycji. Kanibale (sami nazywający siebie zjadaczami) dopuszczają się potwornych czynów, ale pozostają przy tym głęboko ludzcy: spragnieni bliskości drugiej osoby, zmęczeni ciężarem tajemnicy, którą muszą dźwigać na barkach”.



Oczywiście czasem warto spojrzeć na świat oczami sprawców, próbować pojąć jego uwarunkowania. Ale kiedy to jedyna perspektywa, tracimy miarę. Zło przestaje być złem, a co gorsza, my się wobec niego rozbrajamy. Oczywiście kanibale nie krążą po Ameryce na co dzień. Ale przemoc jest tam nieustannie obecna. I nawet jeśli ktoś bardzo „musi” ją stosować, my nie powinniśmy ulegać owemu przymusowi. Niemalsentymentalna opowieść o „zjadaczach” to tak naprawdę laurka dla wszystkich zabójców. Oni też miewają ważne powody...

Piotr Zaremba

Polski etos i telos

Katolicyzm jest naszym jedynym idiomem kulturowym i źródłem społecznego kapitału

W tym roku przypada 1000. rocznica koronacji Bolesława Chrobrego i jego syna Mieszka II. Obie wprowadzają nas w odmienne doświadczenia historyczne. Korona włożona na skroń Bolesława jest zwieńczeniem pierwszego okresu budowy państwa i zapowiedzią wielkości, a druga seria klęsk prowadzących do katastrofy. Tak też kształtować będą się nasze losy, balansując między mocarstwowością a niebytem. Jednak zmagania prowadzone przez Mieszka I, a potem samego Bolesława legły u politycznych, ale i duchowych podstaw narodowego istnienia. Mogliśmy przecież podzielić los Polabian, Wieleatów, Dziadoszan, Obodrytów, którzy przepadli w wyniku gwałtownej niemieckiej akcji chrystianizacyjnej.

Nie ma przecież Polski przedchrześcijańskiej, a chrześcijaństwo nie dotarło do gotowego organizmu państwowego, ale dopiero go ukształtowało. Plemiona pod wodzą pierwszych władców dowiedziały się bowiem, że istnieje coś szerszego niż lokalna rywalizacja plemienna i klanowa. Przyjęcie chrztu otworzyło przed nami drogę ku kulturze łacińskiej, państwu prawa, uniwersytetom i całej wspólnocie politycznej ówczesnej Europy. Dzięki niemu kultura miała swój udział do „przestrzeni dzieł wiecznych”, a polszczyzna ukształtowała się dzięki łacińskiej składni, dając nam własną literaturę.

SPOTKANIE BOGA Z CZŁOWIEKIEM

„Nie można zrozumieć Polski bez Chrystusa” – twierdził św. Jan Paweł II, którego 20. rocznicę śmierci będziemy obchodzić za kilkanaście dni. A może inaczej? Ochrona życia zyskała w Polsce najsilniejszą sankcję konstytucyjną dzięki aktowi prawnemu, który powstał pod nadzorem postkomunistów. Na ten paradoks zwraca w pewnej chwili uwagę Grzegorz Górny w swojej „Duchowej historii Polski”. To nie tyle książka historyczna, ile przystępny traktat historiozoficzny, którego klucz interpretacyjny opiera się na przekonaniu, że człowiek będący podmiotem historii jest istotą religijną.

Bitwa pod Grunwaldem, obrona Częstochowy, Chocimia, zwycięstwo pod Wiedniem i pod Radzyminem czy upadek Związku Sowieckiego. Wszędzie tam oprócz polityki, wojen i ekonomii także doszukiwano się interwencji nadprzyrodzonej, efektu skutecznej modlitwy i ofiary. Jak na obrazach Matejki, w których dominuje przekonanie, że Opatrzność kieruje losami świata i ludzi. Autor podkreśla, że tego ro-



MACIEJ WALASZCZYK

dzażu pojmowanie historii powinno zniknąć wraz z nowoczesnością i być zdegradowane do poziomu zabobonu. Historia jest jednak przestrzenią, w której dokonuje się spotkanie Boga z człowiekiem i toczy się na dwóch planach, które się przenikają – przekonuje autor. Dał temu wyraz papież, przemawiając w 1999 r. w polskim Sejmie. Był bez trudu rozumiany, gdy opowiadał o polityce i pań-

stwie jako przejawach przeżywania ich w świetle chrześcijańskiej duchowości. W Niemczech państwo i polityka są raczej problemem jej nieustannego przewycięzania.

ŹRÓDŁA SIŁY I ODNOWY

Stało się tak dlatego, że Kościół w Polsce ujawniał nie tylko swój uniwersalizm, lecz także wzmacniał partykularyzm narodowy, czego dowodem jest postać abp. Jakuba Świnki, największego męża stanu XIII w. W krytycznym momencie zdawał sobie sprawę nie tylko z politycznych skutków rozbięcia dzielnicowego, lecz także z niebezpieczeństwa, jakim od pewnego momentu była niemiecka kolonizacja miast. „To właśnie duchowieństwo uratowało w tamtych czasach naszą tożsamość” – pisze Górny. W czasie ostatniej wojny Niemcy zamordowali 20 proc. księży, Sowieci niewiele mniej. Także akcje wywłaszczania Kościoła z jego majątku odbywały się u nas z inspiracji lub rękami okupantów. To Kościół był centralnym miejscem pomocy Żydom, a o pomocy przesądzała motywacja religijna.

Chrześcijaństwo jest w Polsce wyzwolicielem energii publicznej, źródłem kapitału społecznego, pracowitości, uczciwości, bezinteresowności. Stało się też źródłem rachunku sumienia i odnowy duchowej, a więc przekonania, że nasza nędza i zapaść wynikają z wad, które należy uleczyć. Cnoty znów przekazuje głównie rodzina, podtrzymując też pamięć historyczną i sam biologiczny byt narodu. To także sakramentalne więzy, które także prowadziły do aktów politycznych. Świadczy o tym założycielskie małżeństwo Mieszka z czeską księżniczką Dąbrówką, a także liczne mariaże polsko-węgierskie, np. Kingi i Bolesława Wstydlwego, Anny Jagiellonki i Stefana Batorego, a w końcu wielka ofiara, jaką z własnego szczerstwa osobistego i młodości złożyła Jadwiga, godząc się na ślub z Litwinem Jagiellą. Wieloetniczna i wielowyznaniowa Rzeczpospolita miała początek właśnie w małżeństwie, a chrześcijańska *caritas* stała się też sposobem dochodzenia do jedności politycznej, bez niszczenia poszczególnych

odrębności (unia w Horodle), czego wyrazem była adopcja litewskich rodów bojarskich przez polskie rody herbowe.

ŹRÓDŁA SŁABOŚCI?

Klimat tolerancji na pewno sprzyjał kolejnym próbom zbliżania Kościołów, jednak narracja o jej dobrodziejstwach w pewnej chwili zostaje podniesiona do rangi cnoty mającej cementować wielokulturowe imperium, a jednocześnie taką samą pochwałę zyskuje polska kontrreformacja, mająca przecież zwalczać ofensywę protestantyzmu. Religii rywalizującej nie tylko o dusze, lecz także dokonującej politycznego przewrotu, który kulminował w czasie szwedzkiego potopu. Koncepcja polityczna sarmatyzmu, dwóch współsuwerenów – szlachty i króla, choć uratowała wolność przed despotcją samodzielną czy Habsburgów, okazała się bezbronna wobec zmian umysłowych.

Porządek I Rzeczypospolitej mógł bowiem funkcjonować w świecie, w którym podstawowym punktem odniesienia był Bóg. Upadek kraju nastąpił zaś wraz z kryzysem myślenia nowożytnego i przewrotem kartezjańskim. Za sprawą Jadwigi powstały w Polsce katolickie instytucje, w tym uniwersytet, kuźnia jagiellońskich elit, w której wykuwała się odrębna szkoła filozoficzna z jasno określoną myślą państwowo-prawną. Charakteryzował ją prymat etyki nad polityką, przekonanie o komplementarności dobra społecznego z dobrem jednostki oraz potępienie podbojów i monarszego absolutyzmu. Większość uczonych wyżej stawała katolicką koncepcję władzy ograniczonej nad państwem Lewiatanem, co było wynikiem odrzucenia nominalizmu. To tłumaczy, dlaczego w Polsce nigdy nie przyjęły się koncepcje dążące np. do dowolnego modelowania człowieka i jego natury. Stąd późniejsze papieskie ostrzeżenia przed próbą zawłaszczenia narodowej kultury przez interesy ekonomiczne, polityczne, w których człowiek liczy się tylko jako przedmiot dominacji. Postępowe dziwołagi są na polskim gruncie traktowane jako zamach na tożsamość.

WSPÓLNOTA ETYCZNA, NIE ETNICZNA

W Polsce wszystko jest inne. Reprezentantami polskiego oświecenia, promotorami nauki i reform ustrojowych okazują się więc księża katolicy. Nawet mesjanizm przenosi poczucie miłości bliźniego na wielkie masy ludów, a romantyzm Mickie-

wicza i Słowackiego okazuje się zwycięstwem katolickiego ducha nad lucyferycznym buntem. Nowoczesny nacjonalizm Dmowskiego podjęło pokolenie ludzi niewierzących, jednak po kilku dekadach nastąpił powrót do wiary, wyrażony przez niego w słowach o katolicyzmie, który nie jest „dodatkiem do polskości”, ale jej istotą. Także część lewicowej inteligencji, m.in. Nałkowski, Limanowski, Brzozowski czy Pużak, również wierzyła w idee socjalizmu rozumianego jako walkę o godność człowieka stworzonego na obraz Boga, a sam Piłsudski, człowiek zupełnie areligijny, nigdy nie wdał się w wojnę z Kościołem. W końcu uzyskanie przez kobiety powszechnego prawa wyborczego ujawniło, że masowo głosowały one na... narodową prawicę.

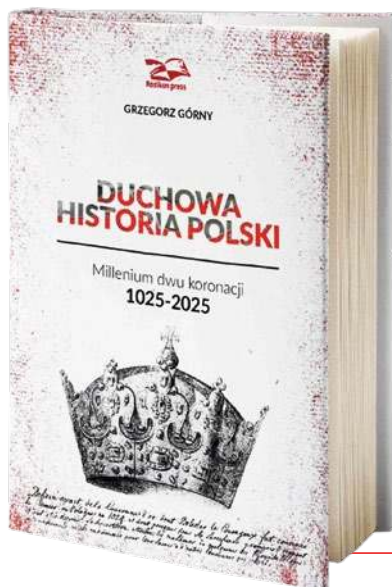
Gdy na Zachodzie marsz przez instytucje rozpoczęło pokolenie lewackich rewolucjonistów 1968 r., w Polsce do głosu doszło pokolenie 1966 r., ukształtowane przez milenijną Wielką Nowennę mającą na celu odnowę życia osobistego, małżeńskiego i narodowego. Katolicyzm inspirował raczej do łagodzenia społecznych partykularyzmów, składał propozycję trzeciej drogi między liberalizmem a kolektywizmem, tyra-

nią a anarchią, czego przykładami w okresie okupacji były koncepcje uniwersalizmu ks. Józefa Warszawskiego czy unionizmu Jerzego Brauna. Później Jan Paweł II nadał solidarności jako cnotcie społecznej wymiaru teologicznego. Jesteśmy więc ciągiem pokoleń zespolonych tymi samymi cnotami obywatelskimi i moralnymi. Polską rozumianą jako wspólnota etyczna, ale niekoniecznie etniczna.

Upadek Rzeczypospolitej zauważyło i przeżyło najwyżej 5 proc. stanu szlacheckiego będącego narodem. Zdecydowana większość, głównie chłopstwa, nawet o tym nie wiedziała. Przewycięzanie tego stanu

trwało jeszcze przed kilka pierwszych dekad XX w. Czy jednak w warunkach globalizacji i migracji, sekularyzacji i gwałtownego spadku praktyk religijnych, rewolucyjnych zmian w Kościele tak rozumiana polsność będzie atrakcyjna dla potomków tych chłopów? Kultura późnokapitalistycznej rzeczywistości przez całą dobę zachęca ich do jej porzucenia. Upadek socjalizmu nastąpił w wyniku robotniczego buntu przeciw państwowemu kapitalizmowi, a także buntu moralnego poruszonego świadomością, że istnienie to znacznie więcej niż konsumpcja. A więc: „Nie lękajcie się”?

To nie tyle książka historyczna, ile przystępny traktat historiozoficzny, którego klucz interpretacyjny opiera się na przekonaniu, że człowiek będący podmiotem historii jest istotą religijną



Grzegorz Górny, „Duchowa historia Polski. Millenium dwu koronacji 1025–2025”, Rosikon Press 2025

Naszego Quislinga trzymajmy w piwnicy

Jeszcze 40 dni, a Europa zostanie zniszczona. Czasy są niespokojne. Wiedzą to ojcowie rodzin i ojcowie narodów. Gorzej, gdy rodziny nie mają ojców rodzin. A narody mężów stanu.

„Kurica nie ptica, Polska nie zagranica”, mawiają Rosjanie. To wyraz ich potężnego kompleksu niższości. Nie pozbyli się go do dziś, ustanawiając w 2004 r. swoje święto narodowe na pamiątkę opuszczenia w 1612 r. Kremla przez polską załogę. Zdobyły go wojska Rzeczypospolitej pod dowództwem hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Łomot, którego nie zapomina się przez 400 lat.

Polsza nie zagranica? Imperia nie mają sąsiadów, których uznają za równych sobie. Rosjanie nazywają swoją strefę lenną „bliska zagranica”. Niemcy są w tej kwestii bardziej poetyccy: w myśl imperialnej strategii z 1915 r. buforowe państwo polskie, część Mitteleuropy, to Pufferstaat. Nie wiem, dlaczego to słowo kojarzy mi się z filmem „Tragarz puchu”.

Trwa koncert mocarstw. Propaganda trzymających władzę na Zachodzie od dekad udaje, że tak się nie dzieje. Liberalne media opiniotwórcze są przecież od tworzenia opinii, nie od opisywania świata. Kto wie, że traktat jałtański określał w poszczególnych mniejszych krajach procentowy zakres wpływów Wielkiej Trójki, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego?

„Polacy stracili dobrą okazję, aby siedzieć cicho” – powiedział w 2003 r. prezydent Francji Jacques Chirac, gdy Polska wybrała opcję atlantycką, dołączając do grupy państw popierających wojnę w Iraku. Od lat celem imperialnych Berlina i Paryża jest wypchnięcie Stanów Zjednoczonych z Europy. Stąd ten pełen bezsilności, imperialnej buty i poczucia niczym nieuzasadnionej wyższości komentarz prezydenta Francji na temat geopolitycznego wyboru Polski.

Mamy znać miejsce w szeregu i być francuskim albo niemieckim zasobem. Wykarmione przez obcych elity usiłują wbić nas w ziemię. Niemcy wywierają presję, by Polska porzuciła wyjątkowe stosunki z USA. Jak karmi się elity?

Kilku polskich pisarzy, moich dawnych znajomych, żyje z grantów fundacji afiliowanych przy największych niemieckich partiach politycznych. Dla Bartłomieja Sienkiewicza Polska jest tylko częścią niemieckiej gospodarki, a dla Adama Bodnara oswojonym zwierzęciem, za które cywilizowani Niemcy muszą wziąć odpowiedzialność. W „Gazecie Wyborczej” czytam znanego polskiego

Warszawa ma do wyboru atlantycki lub niemiecki model bezpieczeństwa, zwany dla niepoznaki europejskim. Już samo sformułowanie „niemiecki model bezpieczeństwa” po dwóch wojnach światowych brzmi jak wisielczy dowcip. Wariant atlantycki jest dla nas opcją najlepszą z możliwych

pisarza: „Polska sercem Europy? Raczej chorą wątrową. Nikt się Polską nie interesuje”, według noblistki Polacy byli „kolonizatorami, właścicielami niewolników i mordercami Żydów”. Nie to, co cywilizowani Niemcy. Chętni cywilizować dalej. Tyle że w Mitteleuropie już nie ma Żydów.



ROBERT TEKIELI

Istota imperialnego systemu rządzenia wspiera się na modelu centrum – peryferie. Centrum decyduje o wszystkim, wywierając wpływ i kontrolując państwa satelickie. Nie chodzi tylko o kontrolę militarną, polityczną i gospodarczą, lecz przede wszystkim o kontrolę kulturową. Instalowanie kompradorskich elit. Kiedyś sowietyzacja, dziś germanizacja kulturowa. Zawsze: eksploatacja.

Dlaczego Donald Tusk postanowił zaryzykować interesy Polski, wdając się wraz ze swym ministrem spraw zagranicznych w zaczepki pod adresem Donalda Trumpa i członków jego gabinetu? Niemcy wywierają presję, by Polska odrzuciła opcję atlantycką. Tusk i jego współpracownicy, identycznie jak Szczęsny Potocki i Rzewuski, wybrali nową ojczyznę.

Podczas I wojny światowej cel wojenny Niemiec to panowanie pomiędzy Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem. To wersja najmniej ambitna, ultranacjonalści chcieli zdobyć terytoriów na wschodzie. Celem wywołanej przez Niemcy II wojny światowej była dominacja nad światem. Dla tego celu zginęło 60 mln ludzi? 85 mln? Najbardziej przeraża mnie szacunek, w którym gubi się 25 mln ludzkich istnień.

Dziś Berlin ma mniejsze zasoby, zatem i ambicje. Ale panowanie nad Europą wielu krajów pomiędzy trzema morzami mieści się w aktualnie realizowanym

planie. Chorwacja i Słowenia wróciły do niemieckiej strefy wpływu w 1991 r., już rok po zjednoczeniu Niemiec.

Celem Berlina jest usunięcie amerykańskich wojsk okupacyjnych z kraju. Niemcy zrobią też wszystko, by storpedować amerykańskie pomysły na związanie Ukrainy z USA. Żadne porozumienie Kijów-Waszyngton, z Zelenskim czy bez, nie będzie bezpieczne. Aż pojawią się amerykańscy inżynierowie i amerykańskie bataliony. Powtórzę: zakotwiczenie Ukrainy w sferze amerykańskich interesów to klęska imperialnego projektu Niemiec.

Europa nie ma wystarczającego potencjału, by samodzielnie wesprzeć Kijów w osiągnięciu zwycięstwa. Wystarczy sobie wyobrazić: Ukraina zawiera jakiś rodzaj pokoju czy trwałego zawieszenia broni z Moskwą (trudno mieć pretensje), 10 tygodni później rosyjskie wojska atakują Łotwę lub Estonię. Co robi Macron? Co robi Starmer? Co robią Niemcy? Handlują Polską. W rozgrywce z Moskwą Europa nie może nic konstytywnego bez USA.

Wielka Brytania chce coś na tej wojnie ugrać, Francja chce coś ugrać, Niemcy chcą Ukrainy. Te imperialne rozgrywki państw słabszych militarnie od Rosji są dla Polski bardzo niebezpieczne.

Europa ma do wyboru – albo w silnym związku z USA zacząć odbudowywać potęgę militarną, albo skazać się na niewiadomą. Stany Zjednoczone, których wojsk nie ma w Europie, nie obronią Europy.

Liczy się tylko Polska. Musimy grać na największą szansę. Nie da się jednak wykluczyć, że za jakiś czas USA wycofają swoje wojska z Europy. Trzeba blokować zmierzające do tego działania Berlina i Paryża, a nie im sprzyjać. Musimy być też gotowi na rozmowy we własnym imieniu z każdym, gdyby od tego zależało bezpieczeństwo polskich kobiet, dziewczynek i dzieci. Również na rozmowy z Putinem. Ale nie dziś. Naszego Quislinga trzymajmy na razie w piwnicy. Zbrojenia, gospodarka, dyplomacja – plan na teraz. Rosja nie może stać się gwarantem niczego bezpiecznego w Europie.

Warszawa ma do wyboru atlantycki lub niemiecki model bezpieczeństwa, zwany dla niepoznaki europejskim. Już samo sformułowanie „niemiecki model



Obraz Jana Matejki „Carolewszyscy na sejmie warszawskim”

bezpieczeństwa” po dwóch wojnach światowych brzmi jak wisielczy dowcip. Wariant atlantycki jest dla nas opcją najlepszą z możliwych. Administracja Trumpa i najpewniej dwie następne będą sojusznikiem Polaków w walce z cywilizacją śmierci.

Jeszcze 40 dni, a Europa zostanie zniszczona. Żydzi to wiedzą, mówi im o tym ich Świątynia. Każde siedlisko pedofilii, dewiacji, grzechu będzie wypalone ogniem. Konsekwencje wielkiego grzechu narodów kończą się niewolą egipską, babilońską, rzymską, niemiecką. Bałwochwalstwo narodu wybranego kilkakrotnie doprowadzało go na próg zagłady. Zostawała kilkutyśięczna Reszta.

Kto w Paryżu, kto w Berlinie, kto w Londynie czy Warszawie zaczął już pościć, kto już zaczyna przeproszać Dawcę Miłości za swoje egoizmy? Kto rozdziera swoje serce, bo słowem, czynem i zaniebdaniem skrzywdził słabszego? Odmówił pomocy cierpiącemu, zamordował niewinne życie pod sercem matki?

Jeszcze cztery lata, a Europa zostanie zniszczona, jeśli się nie nawróci. I nie będzie to żadna kara boża, a konsekwencja sumy grzechów wszystkich mieszkających w niej ludzi. Tak się dzieje, kiedy grzech przekracza miarę.

Grzech nakazany przez prawo, wpisany do ustawy zasadniczej! Aborcja wpisana we Francji do konstytucji. Miliony aborcji w Europie i zmuszanie biedniejszych krajów na całym świecie do wprowadzenia morderczego prawa finansowym szantażem. Usypianie zbędnych ekonomicznie staruszków. Okaleczone pokolenie, amputacje zdro-

wych części ciała u dzieci, ciało i krew składane na ołtarzu buntu przeciwko życiu i Bogu.

Prawa Ameryka pyta Europę: wartością jest życie czy wybór? Kto ma decydować, iluletniego człowieka można uspić, gdy się przewróci na ulicy? 75-letniego? 80-letniego? Ilutygodniowego zamordować? Czy jesteśmy za życiem, czy za śmiercią? Jesteśmy w tym wszystkim jeszcze razem? Jesteśmy aliantami?

Niechaj każdy odwróci się od swojego złego postępowania i nieprawości, którą popelnia swoimi rękami. Każdy. Ty i ja. Kto wie, może Bóg się ulituje. Jego Syn zgarnął w swoją pierś te wszystkie ostrza. Ościć każdego ludzkiego grzechu. Mojego i twojego. Trzeba wołać. Zrozumieć swoją winę, przyjąć ją, wtedy da się żałować. Prosić o przebaczenie. Sercem skruszonym nie pogardzisz, Panie.

Nic jeszcze nie jest przesądzone. Niniwa została uratowana, może będzie i Europa. Krwawa luna na Wschodzie. Ciemność od Zachodu. Brytyjskie i ukraińskie państwo upokorzone. Gwałcone w Buczy i Rotherham 10-letnie dziewczynki.

Zmiłuj się nade mną, Boże, w łaskowości swojej, w ogromie swej litości zgładź moją nieprawość. Obmyj mnie z grzechu mojego. Nie jestem lepszy od tych, którzy gwałcą i mordują. Jak dobrze rozumiem w swoim sercu, że nie jestem lepszy.

Dzięki nawoływaniu Jonasza Niniwa się nawróciła. Krzyczymy, rozdzieramy gardła. Jest jeszcze nadzieja dla naszych kobiet i dzieci.

Podróż do starożytności

Już ilustrujący pierwsze sekwencje tego filmu muzyczny motyw „Gladiator II Overture” wykorzystuje nastrojowy i orientalizujący głos Lisy Gerrard, wraz z partiami smyczków, chóru i orientalnych instrumentalizacji, z rozmysłem przywołując obraz falującego pola pszenicy z pierwszej części filmu Ridleya Scotta.

Pierwszy „Gladiator” sprzed ćwierć wieku to przecież bardzo udane monumentalne kino, któremu towarzyszyła równie udana muzyka Hansa Zimmera oraz wspomnianej kobiecej części duetu Dead Can Dance. To podobno jedna z najpopularniejszych ścieżek dźwiękowych minionych dekad. Podjęcie się przez Harry’ego Gregsona-Williamsa zadania skomponowania muzyki do sequeła było więc ryzykownym pomysłem. Ale przynajmniej, że protegowanemu Zimmera udało się utrzymać poziom, dramaturgię i atrakcyjną kontynuację tamtego brzmienia. Jednak tworzące ją motywy nie zapadają w pamięć tak, jak przywoływana w kilku aluzyjnych cytatach słynna eteryczna wokaliza („Strength and Honor”), która stała się dla tego soundtracku rodzajem muzycznej franczyzy.

Jednocześnie kompozytor zaproponował osobne i przeplatające się ze sobą frazy dla różnych postaci, dzięki czemu mamy nieco monumentalny temat gen. Acaciusa, miłosne wokalizy towarzyszące Lucjuszowi i Arishat, złowieszcze tony ilustrujące Makrynusa. Ostatecznie nagromadzenie krótkich i przywołujących starożytny nastrój wątków jest zaskakująco duże i wciągające, o co kompozytor i muzycy postarali się, używając wielu dawnych, a dziś rekonstruowanych instrumentów, nadając brzmieniu koniecznej egzotyki dawnego Rzymu czy Afryki Północnej. Często słyszymy więc flet ney, instrumentu używanego głównie w muzyce perskiej, perskiego cymbału czy karnyksu i rogu iberyjskiego, budowanych od podstaw przez hiszpańskiego muzykologa Abrahama Cupeirę. Oprócz żywej orkiestry symfonicznej w nagraniach brał udział londyński zespół Fretwork Viol Consort specjalizujący się w grze na instrumentach renesansowych i barokowych. Czy jednak Gregsonowi-Williamsowi udało się zaprezentować tę muzykę w sali koncertowej? Może we fragmentach. Album kończy poruszające „Now We Are Free”, będące bezpośrednim nawiązaniem do oryginalnego motywu wraz z przejmującym wokalem Lisy Gerrard. W końcu Lucius staje się Maximusem.

„Gladiator II (Music from the Motion Picture)”, Universal Music Poland 2024



Maciej Walaszczyk

Bogaty dorobek Mariana Zdziechowskiego obejmuje historię, filozofię i refleksję polityczną. Oddziaływał na młodzież akademicką z kręgów katolickich, ale też tę skupioną wokół „Buntu Młodych” i „Polityki”, oraz wileński dziennik „Słowo”. Z pewnością warto powracać do jego myśli.

Posowiecka Rosja, lokująca się programowo w gronie radykalnych ideologicznych i antyliberalnych przeciwników Zachodu, jest łatwiejsza do zrozumienia, gdy weźmiemy pod uwagę jego historiozoficzne obserwacje, które czynił na temat jej totalitarnego poprzednika, szczególnie dramatyczny quasi-reportaż pt. „Czerwony terror”. Tym bardziej że w swoich pesymistycznych ocenach dostrzegał słabość europejskiego ducha zagrożonego przez komunizm i jednocześnie toczzonego przez ateizm, dekadencję czy materializm. Łączył jednak ze sobą te dwa zjawiska. Był przekonany, że bolszewizm, zjawisko „w grozie i obrzydliwości swojej [...] jedynie w dziejach”, mogło się zrodzić nie tylko w euroazjatyckiej Rosji pragnącej „zrzuć jarzmo Zachodu”



W obliczu końca?

i wychowanej w kulcie siły, lecz także w efekcie panującego w Europie od czasów renesansu kultu nieustannego postępu mającego przynieść ostateczny triumf zasady demokratycznej, człowieka i nowoczesności. Zgubny efekt panowania „ilości nad jakością” zatru-

fował bowiem zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie, bo to właśnie w Sowietach po raz pierwszy w pełni zrealizowano wszystkie konsekwencje komunizmu jako „demokracji najczerniejszego odcienia”. Paradoksalnie dziś antyliberalna postowiecka Rosja jest stawiana w szeregu uzdrowicieli zachodniego ducha. Pomysł nie jest nowy, o czym Zdziechowski nadmienia, opisując rozczarowanie, które pod koniec XIX w. spotkało Sotłowiowa wierzącego w jej mesjańskie posłannictwo mające uratować Europę.

W ostatnim okresie swojej działalności filozof przestrzegał, że także nacjonalizmy i demokratyczne cezaryzmy, takie jak faszyzm, są jedynie półśrodkami („W miejsce kapłana dają nam policjanta”). Jedyne źródła odnowy biją bowiem w renesansie zachodniego chrześcijaństwa i papieżowie. Nie był jednak optymistą, spodziewając się raczej obserwowanego dziś triumfu „wewnętrznego barbarzyństwa”. „Stoimy bezsilni i bezradni, ale trwajmy w oporze naszym, może jakiś nowy przypadek, zamiast zgubić tym razem uratuje nas”. Kto wie?

Marian Zdziechowski, „O rewolucji i bolszewizmie”, Ośrodek Myśli Politycznej 2021

Kłopotliwi Niemcy

Niemiecką tożsamość przenika przekonanie, iż rzymskie i katolickie dziedzictwo to rak toczący postępową, nakierowaną na modernizację kulturę europejską. I należy się go pozbyć

W XII w. Jan z Salisbury pytał: „A któż Niemcom dał prawo do dyktowania światu, jak należy postępować?”. Może dziś brzmi to pretensjonalnie, bo później podobne pytanie można było zadać samym Anglikom, Amerykanom, Rosjanom czy Francuzom. Ten zbiór wykładów streszcza w istocie niemieckie zmagania o „własne miejsce pod słońcem”. Te prowadziły ich do konfrontacji z sąsiadami, a na polu filozofii, teologii i kultury do kwestionowania obowiązującego porządku polityczno-duchowego. Cóż, od czasów Ottona I, a więc 962 r., królowie niemieccy byli równocześnie cesarzami rzymskimi, co wywoływało nieustanną rywalizację między cesarstwem a papieżem.

Prof. Grzegorz Kucharczyk lokuje się w tym sporze oczywiście po stronie gwelfów, sporządzając długi protokół rozbieżności między ideałem łacińskiej *christianitas* a „złym ochrzczonym” duchem Germanów. Zgodnie z tym pierwszym rzymskie chrześcijaństwo ustawiło zachodnią cywilizację na fundamencie rozdziału władzy świeckiej od duchowej, umieszczenia człowieka w centralnym miejscu systemu prawa oraz odczarowania świata skutkującego harmonią między racjonalizmem a wiarą. Nasi niesforni Niemcy zasłynęli jednak chęcią podporządkowania sobie Kościoła, rewolucyjnymi przewrotami w teologii i filozofii, romantycznym powrotem do irracjonalizmu, a w końcu skłonnością do postępowych utopii.

To długa historia. Autor powraca więc do analogii podnoszonych np. przez Feliksa Konecznego o „bizantyńskiej” skazie na niemieckiej tożsamości, która ujawniła się już w X w. za sprawą bizantyńskiej księżniczki Teofano. Przez długi czas to ona wraz ze swym dworem sprawowała regencję w imieniu małoletniego Ottona III, postrzegając władzę państwową tak, jak rozumieli ją władcy wschodniego cesarstwa. Stąd chęć ingerowania w sprawy duchowe, eklezjalne, spory o inwestyturę, tendencje do cezaro-papizmu, a ostatecznie w triumf rewolucji luterńskiej, która faktycznie zanegowała jedność świata zachodniego, wyracając jego porządek polityczny. Przyniosła też supremację państwa kosztem niezależnego od niego życia społecznego, państwa jako „wehikułu nieustannej modernizacji” i „instrumentu postępu



moralnego” ustanawiającego normy oraz standardy etyczne.

Później przewrót ten przyniesie filozofię kantowską, podminowując katolicką metafizykę, utoruje drogę filozofii Hegla i jego następców, w tym Marksowi. Będzie sprzyjał przekonaniu, że katolicyzm jest ciałem obcym toczącym postępową, nakierowaną na modernizację kulturę europejską. W praktyce siła tych tendencji wyrażała się w potęgze niemieckiej socjaldemokracji, wsparciu Lenina i bolszewików, pojawieniu się narodowych socjalistów, a w końcu dziesięcioletnim triumfie „marksizmu kulturowego”, czyli teorii krytycznej szkoły frankfurckiej i rewolucji 1968 r. Narodzinom niemieckiego liberalizmu i nacjonalizmu w XIX w. towarzyszyło jednocześnie radykalne osłabianie elementu katolickiego w czasie Kulturkampfu.

Echa tego wybrzmiewają także we współczesnym Kościele w Niemczech, zarówno podczas soboru watykańskiego II, jak i w deklaracji niemieckiego episkopatu z 1968 r. czy postulatach tzw. niemieckiej drogi synodalnej.

Od czasów Fryderyka Wilhelma I, twórcy zmilitaryzowanej monarchii pruskiej, fundamentem niemieckiej strategii jest nieustanne dążenie do jak najlepszych relacji z Rosją przy równoczesnym utrzymywaniu w Polsce stanu politycznego bezwładu. Tak skonstruowana Ostpolitik nie jest oczywiście trwała. Pod koniec 1915 r. wojska niemieckie zajęły właściwie cały obszar XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej, a na tamtejszy rynek księgarski przebojem wdarła się „Mitteleuropa” Friedricha Neumanna. I tutaj wraca wszystko, o czym autor wspomina wcześniej. W wizji Neumanna na obszarze tym miał zostać wykreowany nowy typ „człowieka środkowoeuropejskiego” uformowanego na gruncie niemieckiej filozofii idealistycznej. To ona miała mu dać wspólny świat pojęć, pomóc rozumieć samego siebie i otoczenie społeczno-polityczne. Proponowała też ustalenie takich reguł ekonomicznych, które narzuci Polakom sufit trwałej bariery rozwojowej. Brzmi znajomo. Prof. Kucharczyk nie ma więc złudzeń, że tak nakreślona koncepcja dominacji przez wpływy i kontrolę jest konsekwentnie realizowana po 1990 r.

Grzegorz Kucharczyk, „Kłopoty z Niemcami. Kulturkampf, Ostpolitik, Mitteleuropa”, Fronda 2024

Rekordowy X kongres samorządów w Mikołajkach

Podczas tegorocznej jubileuszowej edycji Europejskiego Kongresu Samorządów do Mikołajek przyjechało ponad 2,8 tys. gości i dziennikarzy – to kolejny rekord frekwencji w historii tej największej międzynarodowej konferencji samorządowej w Polsce. Kongres miał także rekordową liczbę ponad 160 partnerów – firm, instytucji, stowarzyszeń i mediów. EKS został zorganizowany przez Fundację Instytut Studiów Wschodnich, a jego głównym partnerem było województwo warmińsko-mazurskie

Tak wysoka frekwencja umożliwiła organizatorowi – Instytutowi Studiów Wschodnich – osiągnięcie wyższego niż w ubiegłych latach poziomu wymiany doświadczeń i kontaktów wśród liderów samorządowych, przedstawicieli administracji centralnej oraz dużego i lokalnego biznesu. EKS dowiódł, że samorządy są nie tylko fundamentem, lecz także motorem rozwoju w dobie globalnych wyzwań.

GOŚCIE SPECJALNI

X edycja EKS przyciągnęła większą liczbę przedstawicieli administracji centralnej, samorządu i liderów biznesu niż kiedykolwiek wcześniej. Uczestnicy mogli wysłuchać Władysława Kosiniaka-Kamysza, wicepremiera i ministra obrony narodowej,

Krzysztofa Gawkowskiego, wicepremiera i ministra cyfryzacji, Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk, ministra rodziny, pracy i polityki społecznej oraz Marcina Kulaskę, ministra nauki i szkolnictwa wyższego, a także innych przedstawicieli rządu w randze sekretarzy i podsekretarzy stanu.

W kongresie uczestniczyło wielu polityków i parlamentarzystów, w tym Krzysztof Bosak – wicemarszałek Sejmu RP, Krzysztof Kwiatkowski, senator, Mateusz Morawiecki, poseł i wiceprzewodniczący Prawa i Sprawiedliwości. Do najciekawszych wydarzeń należy zaliczyć spotkania z Magdaleną Biejat, kandydatką Nowej Lewicy na urząd prezydenta, oraz cieszące się wyjątkowym zainteresowaniem uczestników kongresu spotkanie z dr. Karolem Nawrockim, kandydatem obywatelskim na urząd prezydenta.

Wśród najważniejszych gości zagranicznych warto wymienić m.in. Ernada Suljevića, ministra rozwoju gospodarczego Czarnogóry, Ingridę Veliutę, wiceministra kultury Litwy, Julianę Pavkovską Bocevską, sekretarz stanu w Ministerstwie Samorządów Lokalnych w Macedonii Północnej, Lindę Helén Haukland, wiceburmistrza okręgu Nordland w Norwegii i wiceprzewodniczącą Zgromadzenia Regionów Europy.

Wiemy też, że w tegorocznym kongresie uczestniczyło ponad 1000 samorządowców 71 prezydentów, 186 burmistrzów, 113 starostów oraz 176 wójtów.

WAŻNE POROZUMIENIA I UMOWY

Kongres był nie tylko miejscem debat, lecz także przestrzenią dla wystawców (ponad 50 stoisk promocyjnych) oraz



wydarzeń specjalnych, wśród których warto zauważyć spotkanie Smart City organizowane przez Związek Cyfrowa Polska, gromadzące kluczowych ekspertów ds. cyfryzacji i nowych technologii z przedstawicielami samorządów i biznesu. Spotkanie samorządowców organizowane przez OK Polska było natomiast platformą rozmów na temat przyszłości niezależnego finansowania jednostek samorządu terytorialnego. W trakcie EKS doszło do podpisania istotnych umów – warto wymienić m.in. umowę „Standardy Współpracy na rzecz Cyfryzacji Polski” – Unia Miasteczek Polskich i PLAY w celu zwiększenia dostępności i jakości usług telekomunikacyjnych by przeciwdziałać wykluczeniu cyfrowemu. Qemetica i Zakład Energetyki Ciepłej w Inowrocławiu podpisały umowę „Współpraca, która ogrzewa miasto!”, dzięki której odzysk ciepła z produkcji przemysłowej obniży koszty energii dla mieszkańców i zmniejszy emisję CO₂.

Niezwykle ważna jest umowa na opracowanie nowego, kompleksowego

raportu, którego treść zostanie zaprezentowana za rok podczas kolejnego Kongresu. To raport pt. „Zrównoważone Miasto Przyszłości” – porozumienie w sprawie jego przygotowania podpisali przedstawiciele Szkoły Głównej Handlowej, Kampania 17 Celów i Fundacja Instytut Studiów Wschodnich. Raport pomoże samorządom skutecznie wdrażać strategię zrównoważonego rozwoju.

Ważnym wydarzeniem było również podpisanie porozumienia dotyczącego opracowania raportu „Bezpieczeństwo łańcucha dostaw w polskim przemyśle obronnym”. Jego sygnatariuszami byli Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier i minister obrony narodowej; Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Europejskiego Kongresu Samorządów oraz rektorki Politechniki Krakowskiej, Szkoły Głównej Handlowej i Wojskowej Akademii Technicznej. Inicjatywa ta ma na celu analizę kluczowych wyzwań i rozwiązań, które wzmocnią stabilność oraz odporność łańcucha dostaw w sektorze



obronnym – kluczowym dla strategicznych interesów Polski.

NAGRODY X EUROPEJSKIEGO KONGRESU SAMORZĄDÓW

Kulminacyjną częścią kongresu było wręczenie nagród dla wybitnych osobowości świata samorządów. Nagrodę Samorządowca Roku 2024 otrzymał Adam Struzik, marszałek województwa mazowieckiego, nagrodę Europejskiego Samorządowca Roku odebrała Linda Helén Haukland, wiceburmistrz okręgu Nordland w Norwegii i wiceprzewodnicząca Zgromadzenia Regionów Europy, a nagrodę specjalną EKS otrzymał Zbigniew Tur, wójt gminy Kłodzko, w uznaniu za wielkie zaangażowanie i ogromny wysiłek włożony w pomoc ofiarom powodzi, która w ub.r. nawiedziła Dolny Śląsk.

WSPARCIE DLA UKRAINY

Podczas gali drugiego dnia X Europejskiego Kongresu Samorządów Instytut Studiów Wschodnich przekazał certyfikat o wartości 50 tys. zł Jurijowi Bowie, merowi wyzwolonego ukraińskiego miasta Trościaniec na wsparcie dla bibliotek.

„Cieszę się, że możemy wspierać Ukrainę. Oprócz wsparcia militarnego Ukraina potrzebuje też wsparcia w edukacji i kulturze dla młodych ludzi” – powiedział Zygmunt Berdychowski, Przewodniczący Rady Programowej Europejskiego Kongresu Samorządów. To kolejna inicjatywa, w której Instytut Studiów Wschodnich, organizator Europejskiego Kongresu Samorządów i Forum Ekonomicznego, istotnie wspiera Ukrainę.

Materiał przygotowany przez Fundację Instytut Studiów Wschodnich

MICHAŁ KONDRAT*

REŻYSER, SCENARZYSTA, PRODUCENT

W filmowej drodze do wiary



zemy przenieść się w czasie o 2 tys. lat, by uczestniczyć w najważniejszych momentach życia Maryi i Jezusa. Obserwujemy więc cud w Kanie Galilejskiej, ostatnią wieczerzę, ukrzyżowanie. Poza tym docieramy też z kamerą w miejsca objawień, m.in. w Paryżu, gdzie Maryja ukazała się Katarzynie Labouré, i do Lourdes, gdzie Bernadette Soubirous przekazała prawdę o swoim niepokalanym poczęciu.

Francja i Włochy stale są obecne w moim życiu. Nie tylko filmowym. Jako nastolatek towarzyszyłem rodzincom na paryskiej placówce. Z francu-

skiej szkoły, w której przez jakiś czas się uczyłem, wyjechałem pierwszy raz do Rzymu. Od tamtego czasu odwiedziłem Wieczne Miasto ponad 30 razy, także realizując zdjęcia do pierwszego filmu. Triduum paschalne i Wielkanoc przez wiele lat spędzałem w Rzymie, by głębiej przeżyć ten czas, skupić tylko na nim. Teraz mam żonę i trójkę dzieci, więc nie mogę się wyłączać tak jak wtedy. Tegoroczne święta Wielkiej Nocy spędzimy w Stanach Zjednoczonych, w Tennessee. Mam tam do załatwienia trochę spraw zawodowych. Połączymy to z rodzinnym wyjazdem.

W Stanach byłem już ponad 20 razy. Można powiedzieć, że także w związku z filmami – ich tematyką i kontaktem z ekspertami – często przemieszczam się między Włochami, Polską a USA. W Ziemi Świętej byłem dwukrotnie, pierwszy raz w 1998 r., a potem w 2010 r. Pojechałem tam prywatnie, ale także to doświadczenie przełożyło się – i nadal przekłada – na filmy, które realizuję.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadzworna**

Moja droga do filmów o tematyce chrześcijańskiej [w kinach możemy oglądać fabularyzowany dokument „Ja jestem Niepokalane Poczęcie” – przyp. red.] nie była oczywista. Od małego marzyłem o reżyserii filmowej, ale ponieważ w rodzinie są sami ekonomiści, więc trochę pod presją rodziców i ja zostałem ekonomistą z wykształcenia. Marzenia jednak przetrwały.

Kiedy z powodu różnych okoliczności doświadczyłem pogłębienia mojej wiary, zdałem sobie sprawę, że film mógłby być znakomitym narzędziem, pośrednikiem w przekazie treści chrześcijańskich. Tak zrealizowałem swój pierwszy projekt – „Jak pokonać szatana”, który w maju 2014 r. zdobył Grand Prix XXIX Międzynarodowego Festiwalu Filmów Niepokalanów, największego tego typu festiwalu w Europie. Od tego się zaczęło.

Potem wyreżyserowałem: „Matteo” (2014), „Dwie korony” (2017), „Miłość i miłosierdzie” (2019), „Czyściciel” (2020), „Proroka” (2022) i teraz „Ja jestem Niepokalane Poczęcie”, w którym dzięki najnowszej technologii cyfrowej mo-



Fot. Archiwum prywatne



SŁODKO-SŁONY



WILCZYM OKIEM

Smaż, co lubisz

ANNA MONICKA

Każdy ma dania, które poprawiają nastrój. Nie muszą być szczególnie wyszukane, ale kojarzą się z ulubionym wakacyjnym miejscem albo wydarzeniem, które wspominamy szczególnie ciepło. Albo z ludźmi, których darzymy uczuciem. A ponieważ obie z córką poprawiamy sobie humor jedzeniem, więc i nasza mapa zapelnia się coraz bardziej. I ewidentnie ciągnie nas w stronę Japonii, Korei, Tajlandii, Chin, Indii.

Kochamy chrupiące spring rolls z warzywami i pachnącą kolendrą, wyskakujemy od czasu do czasu na sycące ramen albo curry, gdy siada nam nastrój, zjadamy się kimchi – i tradycyjnym, z kapusty pekińskiej, i ogórkowym albo ananasowym. Czasami też sushi. Poznaliśmy nowe smaki, wachamy przyprawy, zagadujemy kucharzy, szukamy przepisów i próbujemy odtworzyć w domu niektóre dania.

Ostatnio w japońskiej knajpce, do której od święta wpadamy na zupełne miso, tatar z łososia, pierożki gyoza i zieloną fasolę edamame, odkryliśmy placek z kapustą. Ponoć danie wymyślono w czasie II wojny światowej, gdy trzeba było znaleźć jakiś patent na tanie, łatwe w przygotowaniu i sycące jedzenie. Nazywa się okonomiyaki, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „smaż, co lubisz”. Może się w nim znaleźć niekoniecznie kapusta, ale właściwie większość poszatkowanych warzyw, nawet kiszonych. Wariacji jest sporo – z marchewką, porami, ziemniakami.

Potrzebujemy pół główki młodej, drobno poszatowanej kapusty, czubatej szklanki maki, szklanki bulionu rybnego dashi (ale może być też rosół lub woda, gdy nie ma pod ręką bulionów), 3–4 lekko ubitych jajek, płaskiej łyżeczki proszku do pieczenia, plastra chudego boczku pokrojonego w kostkę, posiekanej dymki wraz ze szczypiorem i majonezu. Dodatkowo robimy sos z łyżki sosu pomidorowego lub ketchupu doprawionego sosem sojowym, kropelką miodu i octu ryżowego. Mieszmaj jajka, bulion i mąkę, dodajemy kapustę i większość dymki, doprawiamy solą i pieprzem. Smażymy placki na patelni posmarowanej olejem na złoto, a zanim przelożymy ostrożnie na drugą stronę, układamy na wierzchu kostki boczku. Znów smaży 5 min i gotowe. Ozdabiamy majonezem, skrapiamy sosem i posypujemy resztą dymki.

Fot. Shutterstock

Bumerang z Karpát

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Bumerang to broń służąca do walki i polowania, jedna z najdawniejszych, jakie wymyślił i używał człowiek. Kojarzy się – i słusznie – z odległymi rejonami świata. Egzotycznymi dla nas do tego stopnia, że Europejczycy poznali bumerang dopiero w XVIII w. „Poznali” nie jest może jednak najlepszym określeniem, ponieważ najstarszy bumerang na świecie odnaleziono w Europie. W dodatku w Polsce, w jaskini w Oblazowej położonej w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej. Wiek ważący niemal 1 kg bumerangu ocenia się nawet na 30 tys. lat, a więc jest on kilkakrotnie starszy od najstarszych znanych bumerangów australijskich czy afrykańskich.

Uwagę zwraca materiał, z którego wykonano polski bumerang – kiel czy też cios mamuta, czyli zmodyfikowany siekacz tego wielkiego włochatego plejstocénsskiego ssaka. Jeżeli chodzi o znawstwo mamutów, również w tej kwestii możemy stawiać się w światowej czołówce.

Jedno z najciekawszych stanowisk związanych z łowcami mamutów znajduje się w Krakowie. Niemal w centrum miasta, niedaleko Rynku, Sukiennic i Wawelu, wznosi się Wzgórze Błogosławionej Bronisławy – to samo, na którym usypa no kopiec Kościuszki. Jest ono niezmiernie ciekawe geologicznie. Jego trzon stanowią wapienie, w tym wapienie ostrygowe, powstałe z muszli mięczaków, które zamieszkiwały ciepłe jurajskie morze miliony lat temu pokrywające dużą część Polski. Te muszle oraz wiele innych skamieniałości wciąż są widoczne w wapiennych skałach. Na wapieniach z kolei osadził się gliniasty less – sypka skała przywiewana na nasze ziemie od końca zlodowaceń aż z Chin.

Właśnie w warstwie lessu archeolodzy odnaleźli ślady świadczące o tym, że 20 tys. lat temu na wzgórzu mieszkali łowcy mamutów. Stamtąd wypatrywali wędrujących zwierząt, tam oprawiali upolowane sztuki, o czym świadczą szczątki niezliczonych mamutów. To jedno z najciekawszych pod tym względem miejsc na świecie.

To tam obozowali nasi przodkowie, przez kolejne niezliczone pokolenia zajmując się tym, na czym upłynął jeden z dłuższych okresów w historii ludzkości: siedzeniem na wzgórzu, obłupywaniem krzemiennych ostrzy oraz wypatrywaniem mamutów, a następnie polowaniem, oprawianiem i zjadaniem zdobyczy.

OGNIEM NA WPROST

Czas końca politycznych frajerów



Andrzej Rafał Potocki

Tydzień temu w tej rubryce nie było prób analizy wielkiej polityki. Daliśmy stronom chwilę wytchnienia z pytaniem, czy USA i Ukraina właściwie wykorzystają „dary im przez nas” czas. Minęło siedem dni i proszę. Po spotkaniach w Arabii Saudyjskiej Kijów przyjął amerykańskie warunki umowy w sprawie minerałów i zgodził się na 30-dniowy rozejm. Natychmiast wznowiono dostawy uzbrojenia z USA przez lotnisko Jasionka pod Rzeszowem i terminal kolejowy na granicy polsko-ukraińskiej. Szef MSZ Radosław Sikorski powiedział nawet, że intensywność pomocy wróciła do poziomu sprzed jej zawieszenia. Nie chcemy polemizować z publicystycznym belkotem ludzi zajmujących się dziennikarstwem, a w swoich analizach kierujących się głównie niechęcią do Donalda Trumpa. Teraz albo milczą, albo błyskawicznie zmienili narrację (jakże to typowe) i doszukują się plusów w polityce prezydenta USA wobec Federacji Moskiewskiej. A wystarczyło trochę poczekać. Ślepy by zauważył, że Ukraina zmęcznie, a rojenia o opieraniu się na pomocy UE Kijów włoży między bajki. Na szczytach w Paryżu i Londynie poklepalili Zelenskiego po plecach, wspierając go przed kamerami i na końcu poradzili mu: wracaj do Waszyngtonu. Tyle może Europa. Kijów walczy jednak o życie i nie może sobie pozwolić na błędy oraz wiarę w puste obietnice. Na świecie nadchodzi czas końca politycznych frajerów. Co widzi Zelenski i jego otoczenie, odwrotnie niż duet Tusk-Sikorski.

Gdy piszemy te słowa, amerykańska delegacja, która ma zrobić podkład pod negocja-

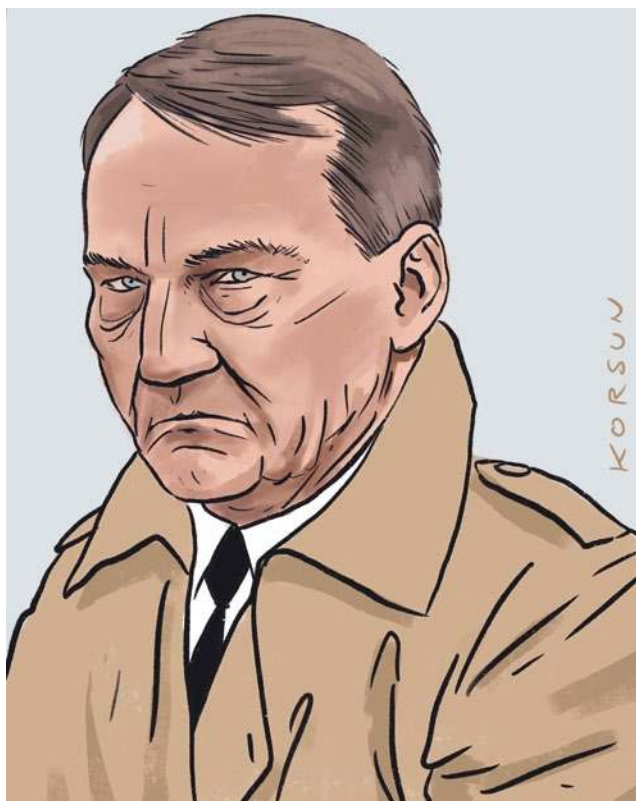
cje o zawieszeniu broni, wylądowała w Moskwie. Specjalny wysłannik Stanów Zjednoczonych na Bliski Wschód Steve Witkoff ma się spotkać z Putinem. Powstaje zasadnicze pytanie, co w tej sytuacji leży w naszym dobrze pojętym interesie, czyli jaka jest polska racja stanu. Rozejm – na pewno tak, a pokój – to zależy. Od czego? Od warunków porozumienia, które do tej pory nie są znane. Jedno jest pewne. Punktem wyjścia powinno być założenie, że Moskwa stara się nigdy nie walczyć na dwa fronty. Ponadto Putin nigdy nie zrezygnuje z rojeń o stworzeniu Europy od Władywostoku po Lizbonę (cel maksimum), a jeśli okaże się to nie do zrealizowania, celem minimum jest odzyskanie strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej jak za czasów ZSRR. Na drodze do realizacji obu tych geostrategicznych celów zawsze będzie stała Polska.

Jeśli chodzi o ewentualny rozejm, Putin wcale nie musi się na niego zgodzić. Na froncie Moskwa jest w uderzeniu. Co prawda rachitycznym, ale jednak. Pewną nadzieję daje pomysł stworzenia strefy buforowej (rozjemczej z wojsk tureckich). Ankara nigdy nie przystąpiła do sankcji, a jednocześnie druga pod względem siły armia NATO w razie jakiejś prowokacji raczej nie będzie grała na korzyść Kacapów ani Ukraińców. Z kolei Putin może zrobić krok w tył, żeby nie być posądzonym o dziką chęć kontynuowania wojny, tym bardziej że wszystko i tak rozstrzygnie się podczas ewentualnych rozmów pokojowych.

Czy pokój na Ukrainie leży w naszym narodowym interesie? Jeżeli Kreml wycofa wojska z frontu, a Europa wróci do polityki „business as usual” i znowu zacznie pompować euro w surowce energetyczne z Federacji, co jest bardzo prawdopodobne, to leżymy. Nowa wojna wybuchnie z dużym prawdopodobieństwem za kilka lat (tyle potrzebuje Moskwa na regenerację sił ofensywnych). Na Ukrainie prawie nie ma ruskich poborowych (są mobiki i kontraktowi), tak samo jak najnowszego sprzętu. Podobnie, jak my, oddając Ukraińcom stare czołgi, które i tak trzeba by było zezłomować, wyczyściliśmy magazyny pod nowy sprzęt, tak samo Rosja czyści na Ukrainie swoje magazyny. Ten sprzęt gdzieś się podziwia. Tyle że głównie nie na froncie. To samo z ludźmi. Walczą uznani za „zbędnych” głównie przedstawiciele mniejszości i imigranci, a nie sprawni i ogarnięci Moskale. Ci po przeszkoleniu w ramach służby zasadniczej wracają do domów i czekają. Tylko nieliczni przechodzą na kontrakt i idą walczyć, ale prawie nigdy nie w ramach oddziałów szturmowych, czyli mięsa armatniego. Oni są w formacjach, które idą za szturmowikami i zajmują już prawie puste stanowiska ukraińskie. Ostrzelani, z doświadczeniem liniowym, będą znakomitymi dowódcami i szkoleniowcami. Mamy nadzieję, że Trump o tym wie. Według autorów tego tekstu optymalne, choć brutalne, byłoby zerwanie przez Moskwę lub Waszyngton rozmów pokojowych i realizacja groźby prezydenta USA „pokój przez siłę – par force”. Ruski jeszcze za mało dostał po mordzie, żeby zacząć myśleć pokojowo. A zyskując tak cenny czas, możemy siłą wziąć wszystko, czym nie chcą się podzielić.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje:
Komu służy „dyplomacja” Radka Sikorskiego?



Wycinki z przeszłości

Tak zaloty do płci przeciwnej widział satyryk w 1934 r. Ilustracja pochodzi z kalendarza dla prenumeratorów „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Sporo tam zresztą narzekań także na dyktat mody. Naiwni! Gdyby popatrzyli na dzisiejsze sklepy, mody i wymiany garderoby co pół roku. W gruncie rzeczy świat na szczęście nie zmienia się tak bardzo. Sympatyczna dziewczyna i interesujący chłopak także dzisiaj znajdują sposób, by się odnaleźć. A że często przez internet – to już inna sprawa. Chociaż tradycyjny podryw, jak donoszą nasze źródła w młodym pokoleniu, nadal trzyma się mocno.

(mk)



Z WOLEJA

Oszuści z Norwegii. Tylko oni?



Ryszard
Czarnecki

W 1938 r. sędziowie pozbawili tytułu mistrza świata polskiego skoczka narciarskiego Stanisława Marusarza, bo monopol na wygrywanie w tej konkurencji mieli wówczas Norwegowie, a zwłaszcza Asbjørn Ruud. Potem potomkowie wikingów przestali zdawać się na sędziów i zaczęli pomagać sami sobie. Już w tym stuleciu byliśmy świadkami rywalizacji dwóch najlepszych biegaczek narciarskich globu: Polki Justyny Kowalczyk i Norweżki Marit Bjørgen. Panna z fiordów była biedna, chora, miała astmę i szprycowała się lekami. I była też na tyle szczerą, że przyznawała: „Bez środków na astmę nie byłabym najlepsza”. Polka jednoznacznie wypowiadała się na temat Norweżki, która ewidentnie wspomagala się tymi medykamentami. W kadrze Norwegii nie była wyjątkiem – jej kolega Martin Sundby został zawieszony za te same leki na astmę i stracił Kryształową Kulę Pucharu Świata, czyli zrzuceno go z tronu najlepszego biegacza sezonu 2014/2015. Ich rodak, telewizyjny ekspert biegów narciarskich Odd-Bjørn Hjelmeset mówił wprost: „Gdyby chodziło o Rosjanina, to krzyczeliśmy o doping”.

Polscy kibice złośliwie nazwali astmatyczkę Marit Bjørgen „Marianem”. Cóż, nie bez kozery. Pomyślałem o tym, gdy wybuchło norweskie szambo w skokach narciarskich. Gospodarze ostatnich mistrzostw świata oszukiwali na potęgę, „korygując” kombinezony, w których skaczą przedstawiciele tej dyscypliny. Wszywali specjalnie usztywniające sznurki oraz dublowali chipy, by w wyrównanej rywalizacji ich reprezentanci mogli zyskać na szybkości lotu i metrach. Charakterystyczne, że Norwegowie nie zaprzeczali, tylko broniąc się, mówili, że... inne nacje też tak robiły! Podejrzenia padają na Austriaków (są nagrania) i Niemców, ale ci byli na tyle sprytni, że nie dali się złapać. Przynajmniej na razie.

To, co się stało w ostatnich dniach, jest największą aferą w historii skoków narciarskich. Nic dziwnego, że z ich transmitowania wycofują się niektóre telewizje, a także sponsorzy. Ów legendarny już „sznurek w kroczu”, dzięki któremu Norwegowie mieli lepiej latać od innych, przejdzie do dziejów sportowych oszustw. Niestety cień pada na całą dyscyplinę – sport uprawiany tak naprawdę w stosunkowo niewielkiej liczbie krajów. Czy będzie to kolejna dyscyplina, która może mieć problemy na igrzyskach olimpijskich, tak jak boks, a wcześniej podnoszenie ciężarów?

Według oficjalnych rankingów w Skandynawii jest najmniejsza korupcja na świecie. Jak widać Norwegowie uznali, że bez korumpowania sędziów też można robić konkurencję w bambuko.



OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Błogosławiona nuda

*Bez okresów nudy nasz umysł
nie odpocznie od ciągłego
bombardowania bodźcami*

Kto pamięta jeszcze iście kultowy Kabaret Starszych Panów, pewnie kojarzy utwór śpiewany przez Barbarę Krafftównę z refrenem:

*W czasie deszczu dzieci się nudzą,
to ogólnie znana rzecz.*

*Choć mniej trzudzą się i mniej brudzą się,
ale strasznie nudzą się w deszcz.*

NIESTETY...

Tak. Niestety dziś dzieci nie nudzą się ani w czasie deszczu, ani podczas żadnej innej aury. Ba, dziś nie nudzi się prawie nikt. Tempo życia nadaje ton myślom i nie puszcza ich w siną dal. Ale o to, by nikt z nas jałowo nie zawieszał się z braku ekscytacji, jeszcze bardziej dba niezawodny smartfon. Zawsze gotowy z ofertą impulsów, gdy za mało jest bodźców z otoczenia. Zawsze nas do czegoś „zainspiruje”, zajmie umysł w czasie długiego czekania na coś lub kogoś. Zdaje się, że wyrugował nudę na dobre.

NIELUDZKIE ŻYCIE

Czy gdy rzeczy dzieją się w takim pośpiechu jak dzisiaj, mamy jeszcze do czynienia z faktycznym ludzkim życiem, czy raczej jego iluzją? Technologie cyfrowe miały oszczędzić nam czas,

uwolnić od uciążliwych czynności i dać więcej wolnego. Ale przecież stało się odwrotnie.

Przykładem niech będą e-maile. Nie trzeba papieru, koperty, znaczka, nie trzeba iść do skrzynki pocztowej, by wysłać list. Dziś wiemy, że w efekcie tej „wygody” każdego dnia uginamy się pod setkami e-maili, w tym spamu, co wieczorem pozostawia nas w poczuciu, że znowu nie zdążyliśmy czegoś zrobić.

Nie tak miało być. Ale tak jest.

OD-PO-CZY-NEK

Nie jest odpoczynkiem poddawanie się ciągłym strumieniom bodźców – gdy zamiast spokojnie obejrzeć jakiś film na Netflixie, przeglądamy dziesiątki zwłastunów. A nuż odkryjemy coś naprawdę fajnego? Podobno niektórzy z nas więcej czasu spędzają na wyszukiwaniu filmów, niż na oglądaniu ich w całości.

Kiepski to odpoczynek, gdy skaczemy z jednego strumienia bodźców do innego. Czy to taka wielka tajemnica, że bez okresów nudy nasz umysł nie odpocznie od ciągłego bombardowania bodźcami? Że nuda daje szansę na refleksję i regenerację emocji? Że uczy cierpliwości i panowania nad sobą? Że badania pokazują, iż bez „nudy” czasem bardzo trudno pobudzić naszą kreatywność? Że gdy nie mamy nic do roboty, często zaczynamy wymyślać zupełnie nowe rzeczy?

CZY NAPRAWDĘ WSZYSTKO WIADOMO?

Ktoś powie – nie bez racji – że to, co powyżej, jest raczej dobrze znane. Niby tak, ale nazbyt płytko.

Oj, miałby tu dużo do powiedzenia Carl Gustav Jung (1875–1961), myśliciel wybitny, choć naszym zdaniem ciągle niedoceniany w kulturze popularnej. Główne przesłanie jego do-

robku ujmijmy tak: ludzki umysł jest zbudowany do tego, co świadome oraz nieświadome. U każdego z nas przez całe życie – jest to prawda obiektywna i nieodwołalna – świadomość toczy z nieświadomością grę, negocjacje, czasem walkę.

Aby człowiek wszedł na ścieżkę zdrowego rozwoju prowadzącego do uformowania dojrzałej, odpowiedzialnej osoby, niezbędne jest, by świadoma część naszego umysłu regularnie wsłuchiwała się w sygnały wysyłane przez nieświadomość. Jest ona bowiem źródłem wiedzy o naszych naprawdę głębokich potrzebach. Brak informacji, symboli i impulsów, które zawiera nieświadomość, prowadzi do rozlicznych szkód. Mogą to być neurozy i konflikty wewnętrzne, lęki, depresje czy inne zaburzenia. Może to być brak autentyczności i samorealizacji.

Człowiek, który nie wsłuchuje się w swoją nieświadomość, bytuje w odezwaniu od swojej prawdziwej natury i potencjału. Może być skazany na powtarzanie destrukcyjnych wzorców z przeszłości. Osoba, która nie nawiązuje kontaktu ze swoją nieświadomością, może doświadczyć poczucia pustki, braku celu lub utraty sensu życia.

CIĄGLE CZEGOŚ O SOBIE NIE WIEMY

Nie pozwalając sobie na okresy nudy, blokujemy swój rozwój. Gdy się nudzimy, przy okazji poznajemy, kim jesteśmy, dowiadujemy się, czego nam brakuje, za czym tęsknimy, co chcielibyśmy robić.

Dla zdrowia psychicznego, zwłaszcza dzieci, ważniejsze jest stworzenie odpowiedniej przestrzeni na nudę, niż wymyślanie kolejnych zabawek, technicznych pomocy dydaktycznych czy aktywizujących programów terapeutycznych.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

Ruszamy w Polskę, żeby spotkać się z naszymi Widzami!

Dołączcie do nas – zrobimy wspólne zdjęcie
i porozmawiamy o polskich sprawach!

Odwiedzimy kilkaset miejscowości.

Sprawdź, gdzie możemy się spotkać.



Do zobaczenia!
Magdalena
Opiech

Widzimy się!
Michał Adamczyk



Szczegóły w telewizji wPolsce24, na facebook.com/telewizjapolsce i portalu wPolsce24.tv

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52

telewizja
naziemna

192

netia

32**825**

vectra

196

polsat box

65

PLAY
dawniej UPC

459

inea



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Niezależny bank centralny

To polski złoty
– własna waluta
i stabilna gospodarka

To wolność,
jaką daje gotówka
– byś płacił, jak chcesz

To rosnące rezerwy złota
– dla bezpieczeństwa
naszych dzieci



nbp.pl

Dzięki konstytucyjnej gwarancji niezależności
Narodowy Bank Polski wzmacnia Twoje bezpieczeństwo finansowe.